

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 5

1948



P. HOSTOWIEC — Corona turrita \* G. ORWELL — Środki zapobiegawcze w literaturze \* W. WEINTRAUB — Fredro-klasik.  
♦ M. WAŃKOWICZ — List do Krysi-córki i Rozmowa w bibliotece ♦  
F. SŁAWOJ SKŁADKOWSKI — Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 ♦ M. SIENNY — Skarby czy groby ♦  
W. A. ZBYSZEWSKI — Wojna 1939-1945 była drobnym epizodem  
♦ TEKSTY ZAPOMNIANE ♦ SPRAWY I TROSKI ♦ KRONIKA KULTURALNA.

## SPIS RZECZY

George Orwell:	<i>Srodki zapobiegawcze w literaturze</i> .....	3
Paweł Hostowicz:	<i>Corona turrita</i> .....	15
Jan Ulatowski:	<i>Inteligentkie herezje polityczne..</i>	31
Wiktor Weintraub:	<i>Fredro-klasyk</i> .....	36



Melchior Wańkowicz:	<i>Dzieje Domeczku</i> .....	45
Józef Ursyn:	<i>Dwa światy i wiatr</i> .....	58



Wacław Iwaniuk:	<i>Balada andaluzyjska</i> .....	64
William Morris:	<i>Letni poranek</i> .....	67

### ŚCIEŻKI

Marek Sienny:	<i>Skarby, czy groby</i> .....	68
---------------	--------------------------------	----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Felicjan Sławoj Składkowski:	<i>Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 r. . .</i>	75
------------------------------	--	----

### TEKSTY ZAPOMNIANE

Stanisław Brzozowski:	<i>Z pamiętnika</i> .....	128
-----------------------	---------------------------	-----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

W. A. Zbyszewski:	<i>Wojna 1939-1945 była drobnym epizodem</i> .....	134
-------------------	--	-----

### SPRAWY I TROSKI

—	<i>Polacy w Palestynie</i> .....	146
---	----------------------------------	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Z. Grocholski:	<i>Plastycy polscy w Paryżu</i> ....	153
----------------	--------------------------------------	-----

**Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »**  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 5

1948

OKAZOWY

INSTYTUT



LITERACKI

## Środki zapobiegawcze w literaturze

Z okazji trzechsetnej rocznicy miltonowskiej rozprawy *Aeropagitica* uczestniczyłem w poświęconym jej zebraniu PEN-Clubu. Rozprawa ta, jak wiadomo, pisana była w obronie wolności prasy. Słynne zdanie o grzechu «zabijania» książki wydrukowano na ulotkach, zapowiadających zebranie i zawnazasu puszczonych w obieg.

Na estradzie było czterech mówców. Jeden z nich wygłosił przemówienie, mówiące co prawda o wolności prasy, ale — jedynie w odniesieniu do Indii; inny orzekł z wahaniem, bardzo ogólnikowo, że wolność jest rzeczą dobrą; trzeci napadł na ustawodawstwa, skierowane przeciwko pornografii w literaturze; czwarty większą część przemówienia poświęcił obronie czystek rosyjskich. Jeśli idzie o przemówienia spośród audytorium, to niektóre nawracały do tematu pornografii i prawnych sposobów jej zwalczania, inne zaś — po prostu wychwalały Rosję Sowiecką. Okazało się, że powszechnie poparto wolność w dziedzinie moralności, czyli swobodę szczerego roztrząsania zagadnień wspomniano. Wśród kilkuset uczestników zebrania, z których może połowa związana była bezpośrednio z zawodem pisarskim, nie znalazł się ani jeden, który by podniósł, że wolność prasy — jeżeli wogóle posiada sens — oznacza swobodę krytyki i opozycji. Znamienne było, że żaden z mówców nie zacytował rozprawy, której to zebranie było poświęcone. Nie wspomniano również o różnych książkach «zabitych» podczas wojny w Anglii i Ameryce. W rezultacie zebranie to stało się demonstracją na cześć cenzury.\*)

Nie było w tym nic osobliwego. W naszych czasach idea wolności intelektualnej atakowana jest z dwóch stron. Z jednej przez jej wrogów teoretycznych — wielbicieli totalizmu, a z drugiej przez wrogów w bezpośredniej praktyce, jakimi są mo-

\*) Należy tu zaznaczyć, że zebrania PEN-Clubu, trwające tydzień lub dłużej, nie zawsze były na takim poziomie. Trafiłem na zły dzień. Lecz bliższe badanie przemówień (opublikowanych pt. «Wolność Słowa») wykazuje, że bodaj nikt nie potrafi dzisiaj wypowiedzieć się tak otwarcie za wolnością intelektualną, jak to czynił Milton przed 300 laty — i to niezależnie od okoliczności, że pisał w okresie wojny domowej.

PRINTED IN FRANCE

napole i biurokracja. Każdy pisarz czy dziennikarz, pragnący zachować prawość, czuje się ubezwłasnowolniony bardziej przez prąd społeczny niż przez osobiste prześladowania. Czynniki działające przeciwko niemu to: skoncentrowanie prasy w ręku bogaczy, opanowanie radia i filmów przez monopole, niechęć publiczności do wydawania pieniędzy na książki, zmuszająca niemal każdego pisarza do częściowego zarobkowania na życie drogą pracy najemnej, następnie ingerencja czynników oficjalnych jak Ministerstwo Informacji i British Council, które pomagają pisarzom materialnie ale marnują ich czas i dyktują im poglądy, wreszcie nieustanna wojenna atmosfera ubiegłego dziesięciolecia, której demoralizujące skutki dały się we znaki każdemu. W naszych czasach wszystko sprzysięga się aby zrobić z pisarza czy każdego artysty innego rodzaju, urzędnika, opracowującego zadane mu z góry tematy i nie wypowiadającego nigdy całej, przez siebie wyczuwanej prawdy. Walka z takim stanem rzeczy jest z góry skazana na niepowodzenie, gdyż żaden z wielkich organów opinii publicznej za nią się nie opowie. W przeszłości, w każdym razie poprzez wieki protestantyzmu, idea buntu mieszała się z pojęciem prawości umysłowej. Herezykiem — politycznym, moralnym, wyznaniowym czy estetycznym — był ten, kto nie dopuszczał do znieważania własnego sumienia. Ten pogląd streszcza się w słowach hymnu apostołów odrodzenia religijnego (*Revivalist Hymn*):

«Odważ się być Danielem  
Odważ się stanąć sam;  
Stój mocno przy swoich zamiarach,  
I odważ się je głosić.»

Chcąc hymn ten dostosować do obecnych czasów wystarczyłoby dodać przeczenie na początku każdego wiersza, gdyż właściwością naszego wieku jest to, że buntujący się przeciwko panującemu łaadowi, przynajmniej najliczniejsi i najwybitniejsi spośród nich, buntują się jednocześnie przeciwko idei prawości indywidualnej. «Odważyć się na osamotnienie» jest ideologicznie cechą kryminalną i w praktyce niebezpieczną. Niezależność pisarza i artysty podważają nieokreślone siły ekonomiczne, a równocześnie jest ona podminowana przez tych, którzy powinni jej bronić. Chcę się tu zająć właśnie tą drugą sprawą.

Wolność myśli i prasy jest zwykle zwalczana argumentami, którymi nie warto zwracać sobie głowy. Kto posiada wprawę przemawiania i dyskusji odpiera je łatwo. Nie chcę tu zajmować się znanym dowodzeniem, że wolność jest złudzeniem, lub też twierdzeniem, że więcej jest wolności w krajach totalistycznych niż demokratycznych, ale o wiele bardziej przemyślanym oraz niebezpieczniejszym wnioskiem, że wolność jest niepożądana i że prawość umysłowa jest formą antyspołecznego egoizmu. Mimo że inne aspekty tej kwestii zazwyczaj wysuwają się na plan pierwszy, spór o wolność słowa i prasy jest w gruncie sporem

o to, czy ta wolność jest pożądana, lub czy, przeciwnie, należy kierować się kłamstwem. Głównie zaś chodzi o prawo informowania o współczesnych wypadkach w sposób rzetelny, lub co najmniej ze stopniem prawdomówności współmiernym z nieuctwem, uprzedzeniem i zakłamaniami na które, z konieczności, cierpi każdy z obserwatorów. Wysuwając to twierdzenie mógłbym być posądzony o to, że uważam szczerzy «reportaży» za jedynie ważny rodzaj piśmiennictwa. Postaram się później dowiedzieć, iż podobne zagadnienie, w mniej lub więcej subtelnej formie, powstaje w każdej dziedzinie literatury, a prawdopodobnie również i w innych dziedzinach sztuki. Na razie należy odsunąć na bok nonsensy, które z reguły rozmyślnie, utrudniają tę dyskusję.

Wrogowie wolności intelektualnej starają się zawsze przedstawić sprawę w świetle obrony dyscypliny przed indywidualizmem. Spór pomiędzy prawdą a fałszem jest w miarę możliwości usuwany na drugi plan. Mimo, że punkt ciężkości może ulec zmianie, zawsze piętnują jako zwykłego egoistę pisarza, który nie dopuszcza do zaprzędania swojej opinii. Oskarżają go albo o zaskłanie się w wieży z kości słoniowej, albo o popisywanie się własną osobowością, lub o przeciwstawianie się biegowi historii i usiłowanie korzystania z nieusprawiedliwionych przywilejów. Katolicy i komuniści idą tu ręką w rękę, zakładając, że przeciwnik nie może być równocześnie uczciwy i inteligentny. I jedni i drudzy dają do zrozumienia, że «prawda» już została objawiona, i że herezyk, nie będący zwykłym błaznem, jest w gruncie świadomy «prawdy», a przeciwstawia się jej jedynie z pobudek egoistycznych. W literaturze komunistycznej, napaść na wolność intelektualną zazwyczaj maskuje się wypowiedziami o «indywidualizmie małomieszczańskim», o «złudzeniach liberalizmu XIX stulecia» itp., popartymi słowami lekceważenia w rodzaju «romantyczny» lub «sentymentalny», na które trudno znaleźć odpowiedź, jako że nie posiadają określonego znaczenia. Tym sposobem dyskusja zostaje wymanewrowana na tory, oddalające od jej istotnej kwestii. Można przyjąć — jakby to zrobiło wielu światłych ludzi — tezę komunistów, głoszącą, że prawdziwa wolność zaistnieje tylko w społeczeństwie bezklasowym i że każdy człowiek, pracujący nad ukształtowaniem się takiego społeczeństwa, przez to samo zbliża się do wolności. Lecz tkwi w tym całkowicie nieuzasadniona sugestia, że tylko partia komunistyczna dąży do stworzenia bezklasowego społeczeństwa i że w Związku Sowieckim cel ten jest obecnie w stadium urzeczywistniania. O ile z tego pierwszego stwierdzenia wynika, że musimy uznać i drugie — wówczas nie ma chyba takiego zamachu na zdrowy rozum i zwykłą przyzwoitość, który by nie dał się usprawiedliwić.

Lecz tymczasem sedno sprawy zostało pominięte. Wolność słowa oznacza wolność informowania o tym co się widziało, słyszało i wyczuło, nie zaś przymus fabrykowania faktów i

uczuc. Zwykle tyrady, skierowane przeciwko «indyferentyzmowi», «indywidualizmowi», «romantyzmowi» itp. są wybiegami, dążącymi do narzucenia pojęcia, że paczenie historii jest słuszne i godne szacunku.

Jeśli chciało się bronić wolności słowa piętnaście lat temu, musiano jej bronić przed konserwatystami, katolikami i — do pewnego stopnia — przed nieposiadającymi w Anglii większego znaczenia, faszystami. Dzisiaj należy jej bronić przed komunistami i ich sympatykami. Nie należy przesadzać bezpośredniego wpływu nielicznej angielskiej partii komunistycznej, lecz nie wolno nie uznać trującego wpływu rosyjskiego *mitu* w angielskim życiu intelektualnym. Dzięki niemu bowiem znane fakty bywają zatajone i wykoszlawione do tego stopnia, że należy wątpić, by ktoś mógł kiedykolwiek napisać prawdziwą historię naszych czasów. Niech mi wolno będzie podać jeden przykład spośród setki innych, które można przytoczyć. Kiedy Niemcy się załamały ujawniono, że bardzo znaczna liczba Rosjan sowieckich — niewątpliwie przeważnie z pobudek apolitycznych — przeszła na stronę wroga i walczyła dla Niemców. Tak samo nieliczna — choć nie znikoma — część rosyjskich jeńców i przesiedleńców odmówiła powrotu do Z.S.R.R., a przynajmniej niektórzy zostali repatriowani wbrew woli. Fakty te, znane licznym dziennikarzom, prawie że nie były wzmiankowane w prasie brytyjskiej, podczas gdy jednocześnie rusofilscy publicyści w Anglii w dalszym ciągu przekonywali, że skutkiem przeprowadzonych w Związku Sowieckim deportacji i przesiedleń było to, że kraj ten «nie miał qujslingów». Jakkolwiek zasłona kłamstw i mylnych informacji, wisząca nad takimi sprawami jak: głód na Ukrainie, wojna domowa w Hiszpanii, polityka rosyjska w Polsce itp., nie wpływa całkowicie ze świadomej nieuczciwości, to jednak każdy pisarz czy dziennikarz, odnoszący się z sympatią do Związku Sowieckiego — to znaczy z rodzajem sympatii, której życzą sobie Rosjanie — zmuszony jest godzić się na rozmaite fałszowanie ważnych spraw. Mam przed sobą zapewne bardzo rzadką broszurę, pisaną przez Maksyma Litwinowa w 1918 r., w której daje on zarys świętych wówczas wydarzeń rosyjskiej rewolucji. Nie wspomina o Stalinie, lecz wysoko chwali Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa i innych. Jakież może być ustosunkowanie się, najbardziej nawet intelektualnie sumiennego komunisty, do takiej broszury? W najlepszym razie, obskuranekie orzeczenie, że lepiej zniszczyć tak niepożądany dokument. I gdyby z jakiegoś powodu zdecydowano się wydać przekręconą wersję tejże broszury, oczerniając Trockiego, a uwzględniając osobę Stalina, żaden wierny swej partii komunisty nie mógłby zaprotestować. W ostatnich latach stosowano niemal równie ordynarne fałszerstwa. Uderzający jest przy tym już nie sam fakt, lecz okoliczność, że podobne wypadki — nawet wówczas kiedy się je ujawnia — nie wywołują reakcji ze strony ogółu inteligencji lewicowej. Argument

głoszący, że ujawnienie prawdy nie jest rzeczą «właściwą», lub, że może to być «wodą na czyjś młyn» uchodzi za druzgoczący, i mało ludzi przejmuje się widokiem kłamstw, ukazujących się w gazetach i w podręcznikach historii.

Zorganizowane kłamstwo, praktykowane przez państwa totalne, nie jest — jak często utrzymują — chwilowym posunięciem tego rodzaju, jak na przykład w czasie wojny wprowadzenie w błąd przeciwnika. Kłamstwo jest integralną częścią totalizmu, jest czymś co by pozostało nawet wtedy, gdyby obozy koncentracyjne i tajna policja przestały być koniecznością. Wśród inteligentnych komunistów obiega podziemna legenda, że rząd rosyjski, mimo iż obecnie zmuszony jest do posługiwania się kłamliwą propagandą, pokazowymi procesami sądowymi itp., — w skrytości notuje prawdziwe fakty, które zamierza kiedyś opublikować. Myślę, że możemy być przekonani, że to nie jest zgodne z prawdą, gdyż podobne postępowanie odpowiadałoby umysłowości liberalnego historyka, wierzącego, że przeszłości nie można przeinaczyć i że dokładna znajomość historii jest rzeczą, której wartość nie ulega kwestii. Z totalitarnego punktu widzenia, historia jest przedmiotem, który należy tworzyć, urabiać, nie badać. Państwo totalne jest w rzeczywistości teokracją, i jej kasta rządząca musi posiadać aureolę nieomyślności, aby móc się utrzymać. Ponieważ jednak naprawdę nikt nie jest nieomyślny, często zachodzi potrzeba przeafansowania wypadków przeszłości w sposób wykazujący, że ten lub inny błąd nie został popełniony, lub, że ten lub inny imaginacyjny triumf miał istotnie miejsce. Tak samo, wszelka zasadnicza zmiana kierunku politycznego wymaga odpowiedniej zmiany doktryny i przewartościowania ocen wybitnych postaci historycznych. Podobne rzeczy zdarzają się wszędzie, lecz bardziej niż gdzie indziej, prowadzą do bezpośredniego fałszowania w społeczeństwach, w których, w danym momencie, dozwolona jest tylko jedna opinia. W rzeczywistości totalizm wymaga ustawicznego przekształcania przeszłości, a na dłuższą metę musi żądać niewiary w samo istnienie obiektywnej prawdy. Zwolennicy totalizmu w Wielkiej Brytanii skłonni są zwykle do utrzymywania, że ponieważ absolutna prawda jest rzeczą niedoścignioną, grubsze kłamstwo w niczym nie jest gorsze od drobnego. Podkreślają, że wszystkie źródła historyczne są stronnicze i nieściśle, a równocześnie, że nowoczesna nauka dowiodła, że to co się nam wydaje światem rzeczywistym, jest złudzeniem. Zatem wiara w świadectwo czichych zmysłów jest po prostu pospolitym filisterstwem. Społeczeństwo totalistyczne, które trwałoby wiecznie, ustanowiłoby prawdopodobnie schizofreniczny system myślenia, w którym prawa zdrowego rozsądku, uznane za dobre w życiu codziennym i w pewnych naukach ścisłych, mogłyby być pomijane przez polityków, historyków i socjologów. Istnieje i teraz niezliczona liczba osób, które oburzają się na fałszowanie podręczników naukowych, lecz nie upatrywałyby nic

zdrożnego w sfalszowaniu faktu historycznego. Totalizm wywiera największą presję na intelektualistów właśnie w tym punkcie, w którym literatura krzyżuje się z polityką. W chwili obecnej nauki ściśle nie są do tego stopnia zafikozowane. Tym się częściowo tłumaczy fakt, że we wszystkich krajach, w których są rządy totalistyczne, łatwiej jest naukowcom niż pisarzom podzić się z ustrojem.

Chcąc przyznać tę sprawę we właściwej perspektywie, muszę powtórzyć to, co powiedziałem na początku tego essay'u, a mianowicie, że w Anglii bezpośredni wrogowie prawdomówności, a zatem i wolności myśli, to potentaci prasowi, magnaci filmowi i biurokraci, lecz że na dalszą metę najgroźniejszym objawem jest osłabienie pragnienia wolności wśród samych intelektualistów. Może wydawać się, że cały czas mówię tu o skutkach cenzury nie na literaturę jako całość, lecz jedynie na jeden jej dział: — dziennikarstwo polityczne. Przyznając, że Rosja Socwiecka stanowi rodzaj tabu w prasie brytyjskiej, że nie dopuszcza się do dyskusji na tematy o Polsce, hiszpańskiej wojnie domowej, pakcie niemiecko-rosyjskim itp., że jeżeli kto posiada informacje sprzeczne z ogólnie przyjętą prawowiernością powinni albo je przekręcić, albo zachować dla siebie; — przyznając to wszystko, dlaczego miałyby to oddziaływać na literaturę w szerszym zakresie? Czy każdy pisarz ma być politykiem i czy każda książka musi być z konieczności dziełem ściśle reportażowym? Czy indywidualny pisarz nie jest w stanie zachować wewnętrznej wolności umysłu nawet pod najsurowszą dyktaturą i czy nie może przeistoczyć czy zamaskować swoich «nieprawowiernych» myśli w sposób, który uszedłby czujności naiwnych władz? A w ogóle, nawet jeżeliby sam autor był w zgodzie z panującą prawowiernością, dlaczego to miałyby go krępować? Czyż literatura i każda inna sztuka nie ma największych możliwości rozkwitu w społeczeństwach, nieznających poważnych konfliktów opinii i w których brak wyraźnej kontrowersji pomiędzy artystą a audytorium? Czyżby należało uznać, że każdy pisarz jest buntownikiem lub nawet, że pisarz musi być wyjątkową osobistością?

Heleń ktoś stara się bronić wolności intelektualnej przeciwko roszczeniom totalizmu, spotyka się z powyższymi argumentami w tej lub innej formie. Podobne twierdzenia opierają się na kompletnym niezrozumieniu czym jest literatura i jak — może raczej należałoby powiedzieć *dlatego* — literatura powstaje. Ludzie ci uważają, że pisarz jest albo zwykłym dostarczycielem rozrywek, albo płatnym najemnikiem, gotowym przetrzącać się z jednego kierunku propagandy na drugi z łatwością katarzyniarza, zmieniającego melodie. A zresztą jak to się dzieje, że w ogóle pisze się książki? Z wyjątkiem najniższego poziomu, literatura jest próbą wplynięcia na zapatrywania współczesnych przez opisywanie doświadczeń i przeżyć. O ile chodzi o wolność ekspresji, nie ma większej różnicy pomiędzy zwykłym

dziennikarzem, a najbardziej «apolitycznym» imaginacyjnym pisarzem. Dziennikarz nie jest wolny i jest tego świadom, gdy go zmuszają do pisania kłamstw lub zatajania wiadomości, które wydają mu się ważne. Pisarz, który obraca się w sferze wydarzeń imaginacyjnych nie jest wolny kiedy cięży na nim przymus fałszowania jego subiektywnych uczuć, które uważa za istotne. Może przekręcać czy karykaturować rzeczywistość w celu udostępnienia swego poglądu, lecz nie jest w stanie przekształcić swego własnego mózgu; nie może oświadczyć, choćby z cieniem przekonania, że lubi to, czego nie lubi, że wierzy w to, co odrzuca. Jeżeli zmuszą go do tego — jedynym wynikiem będzie uwiad jego twórczych zdolności. Nie może też rozwiązać tego problemu unikając drażniących tematów. Naprawdę apolityczna literatura nie istnieje wogóle, zwłaszcza w epokach takich, jak obecna, gdy strach, nienawiść czy też wierność pewnym poglądom o wyraźnie politycznym charakterze, wzbierają w każdej ludzkiej świadomości. Nawet jakieś pojedyncze tabu może wywołać ogólne spaczenie umysłu, ponieważ zawsze zachodzi obawa, że jakaś myśl, za którą dąży się swobodnie, może doprowadzić do tej zakazanej. Wynika z tego, że atmosfera totalizmu jest zabójcza dla każdego autora piszącego prozą, podczas, gdy poeta, a w każdym razie liryczny poeta może potrafić w niej oddychać. Można z góry przewidzieć, że w każdym totalitarnym społeczeństwie, które utrzyma się przez okres dłuższy niż kilka pokoleń, proza literacka w rodzaju tej, jaka istniała w ostatnich czterech stuleciach, *będzie istotnie skazana na zagładę*.

Literatura kwitła niekiedy pod panowaniem despotów, lecz, jak to podkreślano często, despotyczne ustroje przeszłości nie były totalne. Ich aparat represyjny działał zawsze niesprawnie. Ich klasy rządzące bywały zwykle rozwiązań czy apatyczne, lub o poglądach na wpół liberalnych, zaś panujące doktryny religijne zwalczały zwykle idee doskonałości rodzaju ludzkiego i pojęcie o ludzkiej nieomyślności. Mimo to jednak wiadomo powszechnie, że proza literacka doszła do najwyższego poziomu w okresach demokracji i wolności myśli. W totalizmie nowe jest to, że jego doktryny — mimo iż ich nie wolno kwestionować — są niestałe. Muszą być uznawane pod karą wyklęcia, lecz jednocześnie ledwie zostały wypowiedziane, a już mogą ulec zmianie. Rozważmy dla przykładu rozliczne, a nie dające się ze sobą pogodzić stanowiska, jakie angielski komunista, lub zwolennik komunizmu, miał zająć wobec wojny Wielkiej Brytanii z Niemcami. Przez całe lata poprzedzające wrzesień 1939 r. wymagano od niego ustawicznego burzenia się przeciwko «okropieństwu hitleryzmu» i napadania na Hitlera. Po wrześniu 1939 r., miał w ciągu dwudziestu miesięcy uwierzyć w przesadę przypisywanych Niemcom zdrożności, przy tym winien był wykreślić wyraz hitleryzm, przynajmniej w druku. Natomiast w dniu 22 czerwca 1941 r., o godz. 8-ej rano, po zapoznaniu się z komunikatem radiowym, miał zacząć wierzyć na

nowo, że hitleryzm jest najohydniejszym złem, jakie świat widział. Łatwo politykowi tak zmieniać zdanie, lecz trudniejsza to sprawa dla pisarza. Jeżeli musi je zmieniać na rozkaz, zmuszony jest kłamać przed samym sobą lub wogóle wyrzec się całkowicie uczuć subiektywnych. W obu wypadkach niszczy swoje zdolności twórcze. Nie tylko myśli odmówią mu posłuszeństwa, ale słowa same zwiędną pod jego dotykiem. W naszych czasach piśmiennictwo polityczne polega niemal całkowicie na gotowych frazesach zmontowanych jak części mechanicznej zabawki dziecinnej. Jest to nieunikniony wynik autocenzury. By pisać jasnym i mocnym językiem należy myśleć bez obawy, a gdy się bez obawy myśli, nie sposób być politycznie prawowiernym. Może być inaczej «w okresie wiary», gdy górująca prawowierność od dawna się ustaliła i nie jest brana zbyt poważnie. Wtedy zapewne można w wielu dziedzinach zachować swobodę ducha, wbrew nakazowi wiary oficjalnej. Ale warto zanotować, że literatura prozaiczna niemal zanikła w okresie jedynego wieku wiary jakim cieszyła się Europa. Poprzez całe średnie wieki prozaiczna literatura imaginacyjna niemal że nie istniała, piśmiennictwo historyczne przedstawiało się skromnie, a duchowi przewodcy społeczeństwa wyrażali swe najgłębsze myśli posługując się językiem martwym, który od tysiąca lat niewiele co się zmienia.

Jednakowoż totalizm nie tyle zapowiada wiek wiary, co wiek schizofrenii. Społeczeństwo staje się totalistyczne gdy jego budowa staje się jaskrawo sztuczna, czyli wówczas, gdy jego klasa rządząca utraciła swoją rację bytu, lecz utrzymuje się przy władzy siłą lub oszustwem. Niezależnie od czasu przetrwania, tego rodzaju społeczeństwo nie może sobie nigdy pozwolić na tolerancję lub stabilizację intelektualną, nie może nigdy dopuścić do rzetelnego notowania faktów, lub do emocjonalnej szczerości, której domaga się twórczość literacka. Ale nie trzeba żyć w totalistycznym kraju, aby zarazić się totalizmem. Sama już przewaga pewnych idei szerzy rodzaj jadu, uniemożliwiającego traktowanie rozlicznych tematów w literaturze. Gdzie tylko pojawi się narzucona prawowierność, a nawet — jak to się zdarza często, dwie prawowierności — ustaje piśmiennictwo na wysokim poziomie. Sprawdziło się to na wojnie hiszpańskiej. Dla nielicznych intelektualistów angielskich wojna ta była głęboko wzruszającym przeżyciem, lecz nie nadającym się do szczerego opisu. Wolno było głosić jedynie dwie rzeczy, z których obie były oczywistymi kłamstwami. Zatem w rezultacie wojna przyniosła stos drukowanego słowa, lecz prawie nic godnego czytania.

Nie wiadomo, czy skutki totalizmu muszą być równie zabójcze dla poezji, jak dla prozy. Istnieje szereg powodów, dzięki którym poeta łatwiej przywyka do atmosfery autorytatywnego społeczeństwa. Po pierwsze, biurokraci i inni ludzie «praktyczni» zazwyczaj zbyt głęboko pogardzają poetą, by specjalnie intere-

sować się tym co on mówi. Powtóre, to co mówi poeta — czyli to co miałby znaczyć jego poemat tłumaczony na prozę — jest względnie nieważne, nawet dla niego samego. Myśl, zawarta w poemacie, jest zwykle prosta i nie o nią chodzi, tak jak anegdota nie jest celem obrazu. Poemat to układ dźwięków i skojarzeń, tak jak obraz jest układem śladów pędzla. W krótkich urywkach, jak np. w refrenie piosenki, wiersz może być nawet całkiem pozbawiony sensu. Dlatego to poecie dość łatwo jest stronić od niebezpiecznych tematów i unikać wyrażania herezji, a gdyby je nawet wygłosił, mogą ująć uwadze cenzorów. Nade wszystko zaś dobry wiersz, w przeciwieństwie do dobrej prozy, niekoniecznie musi być wytworem indywidualnym. Pewien rodzaj poematu jak ballady, albo też bardzo sztuczne formy wersyfikacyjne mogą być komponowane wspólnymi siłami przez grupy ludzi. Literaci spierają się o to, czy stare angielskie i szkockie ballady były pierwotnie dziełem indywidualnym, czy też zbiorowym. W każdym razie nie są utworami indywidualnymi o tyle, że musiały ulec zmianie, przechodząc z ust do ust. Nawet w druku nie ma dwóch identycznych wersji ballady. Sporo ludów prymitywnych komponowało wiersze zbiorowo. Ktoś zaczyna improwizować, prawdopodobnie przy akompaniamencie instrumentu muzycznego, kto inny podchwytuje wiersz lub wtrąca rym, gdy pierwszy śpiewak ustaje, i tak idzie dalej, aż powstanie cała pieśń lub ballada nie posiadająca dającego się zidentyfikować autora.

Podobna współpraca nie jest do pomyślenia w prozie. Bądź co bądź, poważna proza musi być układana w samotności, podczas gdy podnieta wynikająca z przynależności do zespołu, może rzeczywiście okazać się pomocna przy komponowaniu pewnego gatunku wierszy. Wiersze — i być może nawet dobre w swoim rodzaju wiersze — mimo, że trudno zaliczać je do pierwszorzędných — zdolne są przetrwać najbardziej inkwizycyjny ustrój. Nawet w społeczeństwach, w których wolność i indywidualność wygasły zupełnie, wciąż trwać będzie zapotrzebowanie na pieśni patriotyczne, względnie na heroiczne ballady, gloryfikujące zwycięstwa, lub na skomplikowane peany czyli na rodzaj poezji, mogącej powstawać na obstalunek, a nie koniecznej pozbawionej wartości artystycznej. Inaczej jest z prozą. Prozaik bowiem nie może skurczyć zasięgu swych myśli bez zabijania swojej pomysłowości. Ale historia społeczeństw totalnych, względnie ugrupowań, które przejęły pogląd totalistyczny, wskazuje, że utrata wolności jest ujemna dla *wszelkich* form literatury. Literatura niemiecka prawie zanikła podczas reżimu hitlerowskiego, a nie działo się o wiele lepiej i z włoską. O ile można sądzić z przekładów, rosyjska literatura znacznie podupadła od wczesnych dni rewolucji, mimo że pewne wiersze wydają się lepsze od prozy. W ciągu piętnastu lat przetłumaczono niewiele powieści rosyjskich, które można by traktować na serio. W Europie Zachodniej i Ameryce stosunkowo liczni

literaci wstąpili do partii komunistycznej, względnie z nią gó-  
rąco sympatyzowali, lecz ów prąd lewicowy wyłonił nader mało  
książek godnych przeczytania. Wydaje się, że prawowierny ka-  
tolicyzm ponownie wywiera dominujący wpływ na pewne for-  
my literatury, zwłaszcza na powieść. W okresie, który trwał  
trzysta lat, iluż ludzi mogło być równocześnie dobrymi powie-  
ściopisarzami i dobrymi katolikami? Faktem jest, że pewne  
tematy nie nadają się do gloryfikowania w literaturze, a jed-  
nym z nich jest tyrania. Tak samo nikt nie napisał jeszcze do-  
brej książki na cześć inkwizycji.

Poezja może przetrwać wiek totalizmu, a niektóre sztuki pię-  
kne lub ich odłamy, jak architektura, mogą nawet czerpać ko-  
rzyści z tyranii, podczas gdy prozaik nie ma wyboru pomiędzy  
milczeniem a zagładą. Ta proza literacka, jaką znamy, jest owo-  
cem racjonalizmu wieków reformacji i swobodnego indywidual-  
lizmu. Zniszczenie wolności intelektualnej okalecza dziennika-  
rza, socjologa, historyka, powieściopisarza, krytyka a także i  
poetę — w takiej właśnie kolejności. Możliwe, że w przyszłości  
powstanie nowy gatunek literatury, nie obejmujący uczuć indy-  
widualnych i prawdopodobnej relacji, lecz obecnie trudno to  
sobie wyobrazić. Wydaje się natomiast o wiele prawdopodob-  
niejsze, że o ile kultura liberalna, z którą żyliśmy się od epoki  
odrodzenia, ma się istotnie skończyć, to razem z nią zceźnie  
sztuka literacka.

Oczywiście ludzie będą nadal posługiwać się drukiem i by-  
łoby rzeczą ciekawą przewidzieć jakiego rodzaju lektura prze-  
trwa w społeczeństwie ściśle totalitarnym. Przymuszczalnie  
dzienniki będą nadal wychodziły, do czasu gdy techniczna te-  
lewizja dojdzie do nowych osiągnięć. Zresztą już dziś należy  
wątpić czy szerokie masy krajów uprzemysłowionych odczu-  
wają potrzebę jakiegokolwiek rodzaju lektury — poza dzienni-  
kami. W każdym bądź razie masy te odnoszą się niechętnie do  
wydawania na literaturę choćby części pieniędzy, poświęca-  
nych na inne rozrywki. Zapewne powieści i nowele będą za-  
stąpione produkcją filmową i radiową. Być może też, że utrzy-  
ma się jakiś gatunek tandetnej sensacyjnej powieści, produktu  
seryjnego, w którym ludzka inicjatywa będzie ograniczona do  
minimum. Pomysłowość ludzka zdobędzie się może z czasem na  
zmechanizowanie procesu pisania książek, jak to ma miejsce  
już w filmach i rozgłośniach, w reklamie i propagandzie oraz  
w najniższego typu dziennikarstwie. Filmy Disney'a np. są wy-  
tworem fabrycznym, gdyż w części są wykonywane mechanicz-  
nie, zaś tylko częściowo przy udziale artystów, zmuszonych do  
podporządkowania swego własnego stylu. Szkice na użytek ra-  
dia, są zwykle tworzone przez znużonych pismaków, którym z  
góry podyktowano przedmiot i sposób jego traktowania, przy-  
czym, to co napiszą, służy za ledwie jako rodzaj surowca dla  
wytwórców i cenzorów, nadających szkicom właściwy kształt.  
Tyczy to również niezliczonych książek i broszur, zlecanych

przez urzędy rządowe. Jeszcze bardziej zmechanizowana jest  
wytwórczość krótkich opowieści, felietonów i poematów dla ta-  
nich pism periodycznych. Pisma w rodzaju «The Writer», ob-  
fitują w ogłoszenia szkół literackich, proponujących gotową  
osnowę po kilka szylingów każda. Inne dostarczają rodzaj for-  
mulek algebraicznych, dzięki którym można samemu sobie wy-  
konocypować akcję dla własnego użytku. Jeszcze inne ofiaro-  
wują talię kart, obrazujących charaktery i sytuacje, które wy-  
starczy przetasować i rozłożyć, by się automatycznie wyłoniły  
pomysłowe powieści. Prawdopodobnie literatura społeczeństwa  
totalistycznego będzie tworzyła się przy pomocy podobnych  
sposobów, o ile wogóle będzie uważana za rzecz potrzebną.  
Wyobraźnia, a nawet w miarę możliwości świadomość zostałyby  
wylimitowane z procesu pisania. W grubszych zarysach ksią-  
żki pilnowaliby biurokraci. Takie książki po przejściu szeregu  
instancji stałyby się wytworem ani na jotę bardziej indywidual-  
nym od seryjnego samochodu Forda. Rozumie się samo przez  
się, że podobna produkcja byłaby śmieciem, gdyż wszystko co  
posiadałoby jakąkolwiek wartość mogłoby zagrażać ustrojowi  
państwa. Co się zaś tyczy literatury przeszłości, to ta która by  
przetrwała, musiałaby być skasowana lub co najmniej pilnie  
przerobiona.

Jak dotychczas totalizm nigdzie nie zatriumfował w  
pełni. Nasze własne społeczeństwo na ogół biorąc, pozostaje li-  
beralne. Chcąc skorzystać z prawa wolności słowa, trzeba wal-  
czyć z uciskiem ekonomicznym i z silnymi odłamami opinii  
publicznej, lecz jak dotąd, nie z tajną policją. Można mówić i  
drukować niemal wszystko, co się chce, jak długo pisarz zgadza  
się to czynić w sposób dyskretny. Lecz, jak podkreśliłem na  
początku tego essay'u, i to jest najbardziej ponure — świado-  
mymi wrogami wolności są ci ludzie, dla których powinna ona  
mieć największe znaczenie. Szeroka publiczność nie troszczy  
się o to w jakiś określony sposób. Nie sprzyja prześladowaniom  
heretyka, ani nie będzie usiłowała go bronić. Na ogół, nasi ro-  
dacy są zarazem zbyt rozsądni i zbyt głupi by przesiąknąć  
poglądami totalistycznymi. Bezpośredni, świadomy atak na  
przyzwoitość intelektualną, pochodzi od samych intelektualistów.

Możliwe, że jeśliby inteligencja rusofilska nie ulegała temu  
osobliwemu mitowi, poddałaby się innemu, zbliżonemu doń ga-  
tunkowo. W każdym razie mit rosyjski istnieje; czuć smród roz-  
kładu, jaki szerzy. Kiedy się widzi wysoce wykształconych lu-  
dzi, patrzących obojętnie na ucisk i prześladowanie, nie wia-  
domo co jest bardziej godne pogardy: ich cynizm czy krótko-  
wzroczność? Wielu uczonych np. ujawnia bezkrytyczny podziw  
dla Związku Sowieckiego. Zapewne myślą, że zagłada wolności  
nie ma znaczenia, dopóki ich własna praca pozostanie nietknię-  
ta. Związek Sowiecki jest obszernym, szybko rozwijającym się  
krajem, który odczuwa gwałtowną potrzebę pracowników nau-  
kowych i skutkiem tego traktuje ich szczerze. Uczeni są oso-



bami uprzywilejowanymi, pod warunkiem stronięcia od niebezpiecznych przedmiotów w rodzaju psychologii. Skądinąd, pisarze są prześladowani namiętnie. Wprawdzie prostytutkom literackim jak Ilii Ehrenburgowi i Aleksemu Tołstojowi płaci się grube pieniądze, lecz odbiera się pisarzowi jedyną rzecz wartościową, jaką dla niego jest wolność słowa. Niektórzy uczeni angielscy, którzy wyrażają się tak entuzjastycznie o losie uczonych w Rosji, rozumieją tę sytuację, lecz rozumują w sposób następujący: «Pisarze w Rosji są prześladowani, więc cóż z tego? Ja przecież nie jestem pisarzem». Nie widzą, że każda napaść na swobodę intelektualną i na zasadę obiektywnej prawdy grozi na dalszą metę wszelkiej dziedzinie myśli.

Na razie państwa totalne tolerują uczonych, bo ich potrzebują. Nawet w hitlerowskich Niemczech uczeni, wyjąwszy Żydów, byli względnie dobrze traktowani, zaś niemieckie środowisko uczonych, jako całość, nie zwróciło się przeciwko Hitlerowi. W obecnym stadium historycznym, nawet najautokratyczniejszy władca musi liczyć się z fizyczną rzeczywistością, po części z powodu obciążenia myślenia liberalizmem, po części zaś z potrzeby przygotowywania się do wojny. Jak długo rzeczywistość fizyczna nie może być całkowicie ignorowana, dopóki dwa razy dwa ma się równać czterem i dopóki uczone ma wyznaczoną do spełnienia funkcję na przykład przy nakreślaniu planu samolotu — do tej chwili może liczyć na pewną dozę swobody.

Jednakowoż bez względu na los nauk ścisłych, muzyki, malarstwa i architektury pozostaje — jak już starałem się dowieść — pewnikiem, że, że literatura jest stracona, jeżeli zaginie wolność myśli. I to nie tylko w kraju zachowującym ustrój totalistyczny. Każdy pisarz, przejmujący poglądy totalitarne i szukający usprawiedliwienia dla prześladowania i fałszowania rzeczywistości, skazuje siebie na zagładę. Innego wyjścia nie ma. Żadne tyrady przeciwko «indywidualizmowi» i «wieży z kości słoniowej», żadne pobożne komunały w celu dowiedzenia, że «prawdziwa indywidualność daje się osiągnąć jedynie przez utożsamienie z ogółem» — nie są w stanie zbić faktu, że umysł zaprzędany jest umysłem spaczonym. Zatraciwszy bezpośredniość, twórczość literacka będzie zupełnie uniemożliwiona, a język skostnieje powoli. Kiedyś, w przyszłości, o ile umysł ludzki stanie się czymś wręcz odmiennym od tego czym jest dzisiaj, może nauczymy się odłączenia twórczości literackiej od intelektualnej uczciwości. Obecnie wiemy tylko, że wyobraźnia, tak jak niektóre dzikie zwierzęta, nie da hodować się w niewoli. Każdy pisarz czy dziennikarz zaprzeczający temu faktowi — a niemal wszystkie dzisiejsze pochwały Związku Sowieckiego zawierają lub oznaczają takie zaprzeczenie — w rzeczywistości dąży do własnej zagłady.

Z upoważnienia autora tłum.

Teresa JELEŃSKA.

## Corona turrita

(Z DZIENNIKA PODRÓŻY DO WŁOCH)

9 listopada 1947.

Od 8 miesięcy czekam na próżno na wizę włoską. Od czasów rzymskich żaden rząd włoski nie robił wjeżdżającym tylu trudności co rząd R. I. czyli *Repubblica Italiana*. W 1940 konsulats włoski w Belgradzie wystawił mi w kilka minut wizę, mimo że już wówczas byłem uchodźcą uciekającym od Gestapo, bez wiadomego celu podróży.

Nie mając wieku Matuzalema, pamiętam jednak doskonale czasy, kiedy paszportami i wizami chwalono się tylko na granicy Rosji carskiej i Turcji Abdul Hamida. Kto te granice szczęśliwie przekroczył, mógł jechać dalej dokąd chciał, gdzie przepz rośnie, do samej nawet Patagonii, nie posiadając żadnego dokumentu. Komu przykryzło się w domu, zmieniał kraj i — jeżeli chciał — nazwisko. Młodszym trudno dziś temu uwierzyć. A jednak piszący te słowa przekroczył był osobiście dziesiątki granic, zupełnie jawnie i oficjalnie, nie wysiadając z pociągu, nie czekając ciemnej nocy i nie płacąc ani grosza paserom. Ci ostatni prosperowali tylko w Suwałkach i między Mysłowicami i Radziwiłłowem. W innych krajach rzemiosła tego nie znano.

Jak i dlaczego ten złoty wiek zakończył się bezpowrotnie?

Od dwóch lat przyjęto mówić o «żelaznej zasłonie» i przypisywać ten wynalazek rządowi sowieckim. Jest to nowa legenda zmyślona przez dziennikarzy. Nie umniejszając w niczym zasług rządów sowieckich, należy przyznać, że parkowanie ludności na obszarach otoczonych nieprzepuszczalnymi granicami nie jest ani ich wynalazkiem, ani wyłącznym przywilejem. Jeszcze w roku ubiegłym podróŜowanie po zonie wpływów sowieckich było — jeżeli chodzi o formalności — łatwiejsze niż po zachodniej części Niemiec.

Powszechnie zamknięcie granic przyniosła ze sobą pierwsza wojna światowa, utrwaliło zaś zamknięcie Stanów Zjednoczonych dla emigracji. Setki tysięcy ludzi, którzy czuli się źle w Europie, jechało co rok do Stanów Zjednoczonych. Kiedy te ostatnie zamknęły drzwi, wszystkie kraje obu półkuli — w oba-

wie, aby masy emigrantów, odepchnięte przez Stany Zjednoczone, nie skierowały się do krajów o znacznie mniejszej pojemności — uznały za konieczne otoczenie się ze swej strony chińskimi murami.

Z tym mechanizmem zamykania się granic zapoznali się najlepiej Żydzi, kiedy Wielka Brytania zamknęła dla nich w 1939 r. Palestynę. Gdyby nie to fatalne posunięcie polityków brytyjskich, znaczna część Żydów europejskich byłaby uszła śmierci w krematoriach niemieckich, chroniąc się w krajach nie okupowanych. Każdy z tych ostatnich gotów był udzielić im tymczasowego schronienia. Kto jednak mógł mówić o tymczasowym schronieniu? Cały zasięg wpływów brytyjskich i amerykańskich był dla Żydów szczelnie zamknięty. Pozostawały więc tylko kraje małe, o znikomej pojemności, których rządy nie miały odwagi przyjąć na wieczne czasy milionów Żydów, uciekających spod okupacji niemieckiej. Dlaczego ciężar ten spadać miał właśnie na nie, kiedy uchylły się odeń największe mocarstwa, posiadające najmniej zaludnione terytoria i pretendujące nadto do roli obrońców cywilizacji? Dla tych przyczyn kraje nie okupowane najniechętniej udzielały azylu Żydom, mimo że ta kategoria uchodźców była najbardziej zagrożona. Wymordowanie kilku milionów Żydów europejskich było więc wspólnym dziełem wielkich mocarstw, z których jedno wzięło na siebie rolę myśliwego, inne zaś grały rolę naganki, pilnującej, aby zwierzyna nie wymknęła się z kociołka.

Żelazne zasłony są wynalazkiem starszym od Stalina i Motowata. Mocarstwa anglosaskie zaczęły obstawiać nimi Azję i Europę w czasach, kiedy bolszewicy obradowali jeszcze na emigracji w Café d'Orient. Zwycięstwo ich w pierwszej wojnie światowej przyniosło rozciągnięcie tego systemu także na cały kontynent europejski. Źródło żelaznych kurtyn leży w umysłowości i pojęciach anglosaskich, obcych Europie, gdzie za wszystkich czasów — od Greków i Rzymian, a nawet przed nimi — wiele podróżowano. Prince de Ligne, który jeździł koniemi, był 17 razy w Rosji, nie licząc wszystkich innych krajów. Niech by tak spróbował dziś. Podróżowali nie tylko książęta i wielcy awanturnicy w rodzaju Casanovy. Stojący na samym dnie drabiny Cyganie jeździli też na zimę do Granady, wracając na lato do Buczacza i Kiszyniowa. Dziś nie ma już i Cyganów.

Gdziekolwiek żołnierze angielscy i amerykańscy wysiedli na ląd, pierwszą czynnością ich było wytyczenie tysięcy kilometrów nieprzemakalnych granic, częściowo zupełnie nowych i nie mających żadnych innych przesłanek poza wygodą kacyków okupacyjnych. System ten, który możemy dziś oglądać w Niemczech i Austrii, nie stawał zrazu podróżującym przeszkodą niepokonanych i zdawał się względnie znośny. Łagodziły go anarchia i korupcja, odwieczne produkty uboczne wszystkich okupacji wojskowych. W miarę powrotu do stosunków poko-

jowych, w całym zasięgu wpływów amerykańskich i planu Marshalla widzimy coraz szczelniejsze zamykanie się granic. Wznowiono wprawdzie pociągi dalekobieżne, ale na każdej granicy wagony ich pustoszeją w braku podróźnych posiadających stosowne papiery. Przypomina się bajeczka:

Raz swawolny Tadeuszek  
 Nałapał w flaszczykę muszek,  
 A nie chcąc ich morzyć głodem,  
 Ponarzucał chleba z miodem.

Mieszkańcy Europy są dziś w położeniu szczura w wannie, szukającego na próżno wyjścia po gładkich ścianach. Dobroczynny wujaszek Sam rzuca im do ich więzienia po kilka dolarów w przypuszczeniu, że brak im tylko pieniędzy, aby byli zupełnie szczęśliwi i rozwinęli wielką działalność gospodarczą.

Jak należy sobie wyobrażać przyszłość, jeżeli w wyniku nowych konfliktów Amerykanie i ich brytyjscy kómparsi zdobędą władzę nad światem? Na podstawie dotychczasowych doświadczeń powszechna *gleba adscriptio* wydaje się rzeczą nieuniknioną. Być może zwycięzców nie stać będzie na nic lepszego, na żaden odważniejszy pomysł organizacyjny. Łatwiej jest nawet pobić Hitlera, niż wyzwolić się samemu ze ślepego egoizmu i pogardy dla gorzej uzbrojonych. Unieruchomione ludy staną się podobne do ławic ostryg, nad którymi w latających fortcach unosić się będzie nowy *Herrenvolk*.

W tej chwili w zasięgu planu Marshalla kilka milionów Europejczyków czeka — jak ja — na wizy, przepustki, affidavity i inne dokumenty podróży. Wielu czeka już dłużej ode mnie. Wszystkim przychodzi na myśl te same refleksje, stanowiące prolegomena do wszystkich przyszłych opisów podróży w hemisferze zachodniej.

5 grudnia.

Kiedy przestałem już o nim myśleć, z Rzymu nadeszło pozwolenie przyjazdu. Przyszło dla mnie nieco za późno. Jest już początek zimy. Życie we Włoszech stało się bardzo drogie, i mego zapasu lirów nie na długo wystarczy. Ale mniejsza o to.

Jakie są Włochy dziś? Jak wyglądają po 25 latach faszystów, wojny i okupacji? Włoskie pisma satyryczne przedstawiają Italię w postaci wychudzonej kobiety w średnim wieku, z głową ozdobioną diademem z wień. Niemłoda kobieta, silnie odchudzona — tak wygląda dziś cała Europa. Chwilami trudno orzec, czy pasują doń jeszcze słowa, jakimi Felician Faleński przemawiał niegdyś do poezji: «Choć nie bardzo młoda, jesteś ty jeszcze niczego.» Ten aspekt symbolicznej Italii byłby bardzo europejski, zbyt europejski. Koronę z wień, tzw. *corona turrita* dawni Rzymianie ofiarowywali wojownikowi, który pierwszy wchodził do obleganego miasta. Koronę taką nosiła

też Cybele, żona Saturna i matka bogów Olimpu, zwana *magna mater deorum, magna parens*. Ten ostatni aspekt symbolicznej korony jest bardziej zrozumiały. Italia — starożytna czy renesansowa i barokowa — była *magna parens* naszej cywilizacji, naszych instytucji, pojęć i literatury. Co jej zostało z tej korony?

Poznanie Włoch — kraju, ludu, cywilizacji i literatury — było jednym z najważniejszych wydarzeń mojej młodości. Gdyby nie bieg wypadków po 1915, byłbym może jednym z cudzoziemców mieszkających stale we Włoszech, którzy — pochłonięci urokiem życia włoskiego — na nic innego już czasu nie znajdują.

Okres faszyzmu oddalił mnie na długo od Włoch. Na brak szczęścia, na cierpienie nie ma żadnego lekarstwa. Należy od nich w miarę możliwości uciekać. Od podróży do Włoch powstrzymywała mnie w czasach faszyzmu myśl o cierpieniach włoskich znajomych — tak wrażliwych i delikatnych — pod natrętną władzą prostaków i barbarzyńców. Lepiej na to nie patrzeć. W takich sytuacjach nie ma nic rozsądnego do powiedzenia. Książki przychodzące z Włoch nie mówiły też niczego dobrego. Starsi trzymali się — jak Pirandello i Palazzeschi — lub załamywali się — jak Papini —, młodszy należeli już do innego, nieznanego mi świata, narastającego ubogo z głęбини. Tego wrażenia doznałem, kiedy Alberto Moravia ogłosił swą sławną powieść *Gli indifferenti*.

Krótki przejazd przez Włochy wiosną 1940 r. utwierdził mnie w najgorszych przypuszczeniach. Widziałem faszystów w mundurach naśladujących SS-manów. Dokoła nich krzyżowały się pełne nienawiści spojrzenia. To co Włochy pokazywały od wierzchu, była to zapowiedź tragicznych wypadków, rozdarcie wewnętrzne, *porca miseria*. Od spodu narastało jakieś nowe życie, mało uchwytnie, jeszcze mniej szczęśliwe.

Cywilizacja Włoch przeżyła już parokrotnie całkowity cykl rozwoju: młodości, sławy, przepychu, kryzysu, upadku, ubóstwa. Kraj pokrywał się ruinami rozbieranymi na cegły, z których wznoszono lepianki pasterzy. Życie wracało do form najprostszych:

*Ite domum saturae, venit Hesperus, ite capellae*. Potem wszystko zaczyna się od nowa. Po poprzednich cyklach rozwoju zostawała lekka mgła melancholii, wynikała ze świadomości końca wieńczącego najambitniejsze nawet sprawy ludzkie. *Corona turruta* Italii miała w sobie zawsze coś ze smutku wielkich ruin i zarazem coś z potęgi wiecznie odradzającej się wiosny. W jakim miejscu nowego cyklu znajdują się Włochy dzisiejsze? Którą godzinę pokazuje tam stary zegar wieków?

9 grudnia.

Dziś skończył się we Francji strajk generalny. Wiadomość ta nie zachęca jednak nikogo do wielkich podróży. Z wagonu Paryż—Mediolan ostatni podróżni wysiadają na szwajcarskiej

granicy. Nowi wsiadają w Szwajcarii, ale opuszczają wagon przed granicą włoską. Przez tunel symplonński jadę znów sam.

Śnieg widać na stokach gór powyżej 1000 metrów. W dolinach leży wilgotno-ciepłe powietrze przypominające wiosnę. Pociąg jedzie brzegiem Lago Maggiore. Z okien widać sławne letniska — Stresa, Pallanza, Arona — obecnie puste, o zamkniętych okiennicach.

Za Domodossolą natrafiamy na trudności. Wczoraj zderzyły się tam dwa pociągi, niszcząc przewody elektryczne. Czekamy długo na lokomotywę parową, która z opóźnieniem przywozi pociąg do Mediolanu.

Na Piazza del Duomo. Popołudnie jest mgliste i chłodne. Na okolicznych ulicach ogromny ruch pieszy. W galeriach otaczających plac widać resztki sławnego czarnego rynku.

— *Sigarette: americane, svizzere, nazionali... Dolari, dollari, dollari... Sterline, sterline... Passaporti...*

Czarnogiędźiarze ofiarowują przechodniom swój towar. Ten ostatni nie znajduje jednak nabywców. Od trzech miesięcy kurs wolny walut obcych nie przestał spadać i osiągnął już poziom kursu oficjalnego. Czarna giełda agonizuje, trzymając się jeszcze siłą inercji. Nabywców znajdują tylko papierosy, które są tu dwukrotnie droższe niż w Szwajcarii.

Wielu przechodniów zatrzymuje się przed wystawami sklepów, odczytując uważnie ceny bielizny i obuwia. Ceny te — od kilku lat — zwiększają co parę tygodni, i pochod ich jest wskaźnikiem sytuacji gospodarczej. Przed kilku tygodniami, wskutek ograniczenia kredytów towarowych, wystąpił spadek cen hurtowych. Z uwag patrzących dowiaduję się, że ceny detaliczne nie spadły i nawet, wręcz przeciwnie, wykazują dalszą zwyżkę.

W ubiegłym miesiącu Mediolan przeszedł okres strajków i zamieszek. M. in. spalono kilka kiosków sprzedających gazety «burżuazyjne». Dziś w większości kiosków widać jedynie gazety komunistyczne lub *Avanti*, organ partii socjalistycznej zablokowanej z komunistami. W Mediolanie wychodzi jednak nadal kilka pism reprezentujących inne odcienie opinii, m. in. *Corriere della sera*, będący znów jednym z najlepiej poinformowanych pism kontynentu. Proszę oń w kiosku. Sprzedawca bierze do ręki duży pakiet komunistycznej *Unità* i wyciąga zeń ukryty *Corriere*. Przez chwilę obserwuję ruch przechodniów i przekonuję się, że wszyscy prawie czytają pisma «burżuazyjne» sprzedawane spod poły.

W środku miasta widać sporo ciemnych fasad z pustymi oknami. Są to skutki angielskich bomb zapalających. Z wyglądu ruin można wnosić, że ludność słabo broniła swych mieszkań, uciekając raczej za miasto przed nalotami. Znaczną część uszkodzonych domów już odbudowano.

Między innymi spalony został także sławny teatr mediolański La Scala, dziś całkowicie odbudowany. Sezon operowy już się rozpoczął. Bilety są dość drogie. Od pewnego czasu przy-

jęło się znowu przychodzenie do Scali w strojach wieczorowych. Miejscowy tygodnik ilustrowany *Europeo* zawiera kilka fotografii przedstawiających łoże wypełnione paniami w dekoltowanych sukniach i panami we frakach. W gmachu Scali znajduje się muzeum teatrolologiczne. Zwiedzając je, oglądam także afisze i widzę, że ostatnio grano tam niemal wyłącznie Verdiego i Pucciniego. Czy warto jest ubierać się we frak i lakierki, aby wysłuchać Verdiego? Można by zeń wykroić kilka muzycznie ciekawych fragmentów do spokojnego słuchania w studio. Miejscowi eleganci zbierają się więc w Scali w poszukiwaniu rozrywek towarzyskich raczej niż muzycznych. Wśród ruin i zamieszek zachował się zatem w Mediolanie spory fragment świata dużo dawniejszego, żyjącego życiem własnym, oderwanym od współczesności.

10 grudnia.

Ranek jest ciepły i mglisty. Przeglądam nowości wydawnicze. Znana księgarnia *Ulrica Hoepli* mieści się w nowym, zbyt ciasnym pomieszczeniu. Jej dawny dom został zniszczony przez bombę.

Koło południa wsiadam do autobusu jadącego przez Parmę, Modenę, Reggio Emilia i Bolonię do Florencji.

Šzosa we Włoszech są nadal starannie utrzymane i autobusy konkurują skutecznie z kolejami, ofiarowując znacznie większe wygody. W południe i wieczorem zatrzymują się po miasteczkach i wsiach na całą godzinę przed dobrymi oberzami. Co dwie godziny przystają na chwilę przed kawiarniami, gdzie kierowcy i podróżni piją po małym *espresso*. Tak urozmaicona podróż ma w sobie coś bardziej ludzkiego niż podróż koleją, gdzie zależni jesteśmy od fizjologii taboru kolejowego, mającego inną od naszej wytrzymałość i rozkład godzin. Postoje pozwalają zobaczyć nieco bliżej kraj i zamienić parę słów z miejscową ludnością.

Lombardia jest płaska, niska i — pod zimowym niebem — mglista i smutna. Wsie z szarego kamienia stoją wzdłuż szosy. Grunt jest wilgotny, poprzecinany kanałami odwadniającymi. Każdy metr kwadratowy jest starannie uprawiony. Na miedzach dzielących wąskie grzędy zagonów stoją długie szeregi bezlistnych obecnie drzew. W krajach południowych uprawy nie obawiają się lekkiego cienia. Miasta, w których robimy krótkie postoje, są ubogie, ludne i nie wesołe. Rozmowy prowadzone są półgłosem. Cięży na nich jakieś przygnębienie. Są to okręgi wyborcze o większościach komunistycznych.

Przez olbrzymi, mętny rozlew rzeki Po przejeżdżamy ostrożnie po improwizowanym moście i w półtora godziny później ziemia zaczyna lekko falować w miarę zbliżania się do Apeninów. Widać tu znów winnice. Łozy winne nie oplatają tu kołków i drutów, ale pełzną po gałęziach drzew jak w Georgikach

Wirgiliusza. Poziome gałęzie rosnących szeregiem drzew są ze sobą posplatane, i z nich zwieszają się winorośle. Niektóre winnice są urządzone inaczej. Na dwumetrowych słupach — często z łupanego kamienia — leżą drewniane poprzeczki, do koła których owijają się pędy winorośli. Zwieszające się z poprzeczek winogrona dojrzewają powoli w półcieniu. Urządzenia te — jak mi objaśniają miejscowi — służą najlepszym gatunkom winogron, zrywanym częściami w miarę dojrzewania. I ten system znany był starożytnym. Przypomina mi się *Tibullus*: *hic docuit teneram palis adiungere vitem*. Odwieczna dawność tych urządzeń rolniczych daje pojęcie o nieskończoności ciągłości życia. Zmieniały się instytucje polityczne, upadały republiki, cesarstwa, cywilizacje, zmieniały się języki, którymi mówiono w cieniu drzew, tylko prace i obyczaje rolników pozostały te same.

W miarę zbliżania się do gór zmienia się też charakter zabudowań. Znikają stare wsie ustawione przy szosie. Rozrzucone wśród wzgórz budynki przybierają barwy pomarańczowe, otaczają się murami, drzewami i kwiatami. Wjeżdżamy na teren gospodarki indywidualnej.

*Bologna la dotta*. Po niedługim postoju jedziemy dłuższy czas wzdłuż murów zewnętrznych miasta z ich krytą galerią. Potem szosa zaczyna się podnosić w szybkich zakrętach. W ostatnich promieniach słońca widzimy bliskie góry. Wzdłuż drogi rozsiane są liczne ślady niedawnej wojny.

W Bolonii autobus nasz wyludnił się niemal zupełnie. Główna szosa jest dziś zamknięta z powodu naprawy mostu; czeka nas długi objazd wąską drogą górską, wspinającą się zakosami na skalną ścianę, której szczyt zasłaniają chmury. Na stromych zakrętach zastaje nas noc i śnieżna zadymka. Kilkakrotnie wsiadamy dla rozpoznania drogi, która pod świeżym śniegiem zdaje się gubić wśród skał. Po dwu godzinach wspinania się dostajemy się na przełęcz. Stok południowy jest suchy; owiewaj go ciepłe podmuchy wiatru. Po godzinnym zjeździe widzimy w dole lunę świateł Florencji.

Wojna zostawiła we Florencji trochę śladów, zwłaszcza na przedmieściach i wzdłuż Arna, który przez pewien czas dzielił walczące armie. Środek miasta został jednak nietknięty. Pierwszy raz widzę katedrę i il Battistero w jasnym świetle łukowych lamp. Wydaje mi się, że ich ściany — pocięte w ciemne pasy poprzeczne — stworzone są dla sztucznego oświetlenia.

Odnajduję tu pierwszego z moich dawnych znajomych, z którym razem idziemy do restauracji. W rozmowie uderza mnie gorzka trzeźwość Florentyńczyków i ich skłonność do rozważania spraw ludzkich od strony ich najprostszego mechanizmu. Pod tym względem mało zmienili się od czasów Macchiaiwela. Być może jest to skutek długich wieków doświadczenia politycznego, udziału w walkach stronnictw, które wypędziły stąd Dantego, w niezliczonych metamorfozach niewielkiej republi-

ki, która w końcu odkryła obywatelom wszystkie tajemnice swego mechanizmu politycznego. Jak mnie informuje mój przyjaciel, w czasach Mussoliniego Florencja uważana była za najpewniejszą twierdzę faszyzmu.

Jeżeli intensywne życie polityczne może narzucić obywatelom pewną formację umysłową, przychodzi mi na myśl pytanie: jakie wnioski ogólne, jaką formację umysłową wyniosą Polacy z doświadczeń ostatniego trzydziestolecia? Ten krótki okres czasu był dla nich rodzajem szkockiej łąki, w której szybko zmieniały się lata niepodległości i okupacji, wolności i ucisku, buntu i przystosowania, działania i apatii, nadziei i melancholii. Brak było jedynie lat skupienia, pozwalających na krytyczne rozważenie przebytego okresu czasu.

11 grudnia.

Rankiem dowiaduję się, że w stolicy i w prowincji rzymskiej ogłoszony został strajk generalny. Doświadczeni odradzają mi podróż autobusem, który może być zatrzymany na granicy prowincji. Jadę zatem koleją. Pociąg jest na pół pusty. Moimi sąsiadami są dwaj jugosłowiańscy komuniści nie podejrzewający, że rozumiem ich rozmowę toczącą się w świeżo przyswojonych terminach dialektycznego materializmu.

W Rzymie na dworcu czekają mnie przyjaciele. Na ulicy grupa strajkujących zatrzymuje nadjeżdżające taksówki. Poza tym miasto jest spokojne i ożywione. Nigdzie nie widać nastrojów towarzyszących zazwyczaj strajkom generalnym.

12 grudnia.

Cały ranek spędzam na ulicy, aby zdać sobie sprawę z przebiegu strajku. Oto główne rysy sytuacji:

*La grande paura.* Dnie poprzedzające ogłoszenie strajku były okresem «wielkiego strachu». W ostatniej fazie strajku we Francji ukazały się tam grupy sabotażystów, które sparaliżowały ruch na kolejach południowych i usiłowały zawładnąć miastami leżącymi na brzegu Morza Śródziemnego. Rozplanowanie tej akcji wzięto we Włoszech za wstęp do operacji zbrojnych. Przypuszczano, że lada chwila wojska jugosłowiańskie i sowieckie przekroczą granicę, aby przez Lombardię i Ligurię wejść do Francji i zająć brzeg Morza Śródziemnego aż po Hiszpanię. Rzymianie widzieli się już odcięci od reszty kontynentu i zdani na opiekę floty amerykańskiej. «Wielki strach» skończył się razem ze strajkiem francuskim, tj. 9 grudnia. W przeddzień ogłoszenia strajku sytuacja ogólna była już całkowicie wyjaśniona. Rząd włoski po raz pierwszy — jak mi objaśniano — okazał siłę decyzji i ściągnął do stolicy część dywizji Celere.

W drugim dniu strajku — to jest dziś — nawet dla tak mało wtajemniczonego obserwatora jak ja widoczne jest, że ta

spóźniona akcja skazana jest z góry na niepowodzenie. Nikt nie zdradza większej ochoty do strajkowania. Sklepy spożywcze i wiele innych są do południa otwarte. Karabinierów w czarnych mundurach widziałem zaledwie kilku, ale na rogach ulic stoją parami żołnierze z mitralietkami. Gdziekolwiek strajkujący usiłują stworzyć pochody lub molestują sklepikarzy, żołnierze proszą ich uprzejmie o rozejście się, co odnosi natychmiastowy skutek. Strajk ogranicza się więc do tramwajów i autobusów miejskich. Konkurujące z nimi kamionetki są jednak w nieustannym ruchu.

Najbardziej oczywiście interesują mnie postawy samorzutne tłumu. Jak już o tym słyszałem w Mediolanie, Włosi reagują w szczególny sposób na terror i akty przemocy. Gdziekolwiek pojawia się grupa gwałtowników, wszyscy ustępują jej, kapitulują i uciekają. Gwałtownicy pozostają wprawdzie na placu, ale sami, otoczeni pustką, izolowani. Zaraza przemocy nie przenosi się na innych. W ten sposób żadną miarą nie można zrobić wojny domowej. «Gwałt niech się gwałtem odciśka» nie jest formułą włoską.

Zresztą te same reakcje występują u domniemanych gwałtowników na widok dwóch żołnierzy z karabinami — być może wecale nie nabitymi — na płecach. Jest to jak gdyby gra, w której — na podstawie ustalonej konwencji — inicjatywa zostaje przy tym, kto zapowiedział wyższy kolor.

Wychowanemu w polskiej tradycji wyzywania do walki największych potęg świata, zachowanie takie daje wiele do myślenia.

Jakie są jego istotne motywy? Czy obawa przed prawdziwą wojną domową, do której ostatnie dziesięciolecie dostarczyły tylu argumentów? Czy rozpoznanie, że potęgi, z którymi wojowali niegdyś Polacy, były stosunkowo ostrożne, skrupowane tysiącem konwencji XVIII i XIX wieku, gdy dziś — w epoce bomby atomowej i przesiedleń ludności, a probowanych przez całą opinię Zachodu — wyzywanie ich pociąga za sobą zupełnie inne skutki? Mam wrażenie, że chodzi tu — częściowo przynajmniej — o zjawisko znacznie głębszej natury.

Po stu latach autentycznego i sztucznie rozdmuchiwanego fanatyzmu narodowego, po okresie kultu czynu i siły, w Europie można zauważyć pewne objawy reakcji. Fanatyzm i wzajemna nietolerancja zniszczyły zamożność i niezależność naszego kontynentu. Postawy arogackie i wyzywające, które uchodziły za normalne przed dziesięciu laty, wydają się dziś pozbawione wszelkiego racjonalnego umotywowania. Moralność obłożonego miasta i mobilizacji totalnej spustoszyły życie osobiste. U ludów bardziej wrażliwych i posiadających pewne tradycje, przeciw tej moralności zaczęły występować pierwsze oznaki oporu.

W podobnych okolicznościach, po dwóch wiekach fanatyzmu i wojen religijnych, przyszła reakcja sceptyczna i humanitarna XVIII wieku. Rozpoczął ją Shaftesbury sławną rozprawą

Przeciw entuzjazmowi, rozwinęli Voltaire, Emmerich de Vattel, Beccaria i tyłu innych. Chwalona po niewczasie przez Talleyranda *la douceur de vivre* XVIII wieku nie była dziełem szczęśliwego przypadku, ale skutkiem dążeń, zamiłowań, ciekawości, uporczywego poszukiwania kilku pokoleń Europejczyków. Uprzytomnijmy sobie, co łączyło pejzażystów XVIII wieku z podróżnikami tak różnymi jak prezydent de Brosses i Casanova, z memorialistami tak odmiennymi od siebie jak Rousseau i La Mettrie. U wszystkich jest coś z tej samej atmosfery moralnej, to samo uporczywe poszukiwanie utraconego raj. Nie dając się zwieść żadnym symbolom i metaforom, ludzie XVIII wieku poszukiwali go cielesnego, dotykalnego, pachnącego wiosną i jesienią. Dlatego, być może, wiersze nie udawały się im zupełnie. Czy zachowanie się dzisiejszego tłumu włoskiego nie jest objawem jakiejś podobnej orientacji dzisiejszych Europejczyków?

We Włoszech — jak wszędzie indziej — jest sporo gwałtowników, którzy nie powiedzieli jeszcze swego ostatniego słowa. Patrząc na rzymski tłum w dniu strajku generalnego, wiem jednak, że są oni mniejszością znikomą, mogącą dojść do głosu chyba tylko w razie wojny, okupacji lub innych szczególnie sprzyjających okoliczności.

Przypominam sobie czytana przed wielu laty książkę Antonia Aniante o tradycjach Neapolu. Włochy, zdaniem autora, posiadają dwie tradycje: rzymską i neapolitańską. Pierwsza jest wojskowa i organizatorska, druga hedonistyczna, artystyczna, pokojowa, cała oddana radości życia. W obecnej Europie zrujnowanej i upodlonej przez wojowników i organizatorów, tradycja rzymska nie obudzi zapewne większego echa. Tradycja Neapolu może mieć nierównie większe znaczenie. Z niej, być może, narodzi się jakiś opór przeciw fanatyzmowi naszych nieludzkich czasów.

13. grudnia.

Strajk powszechny został dziś rano zakończony.

Jestem w Rzymie po raz pierwszy w porze zimowej. Dla przyjeżdżającego tu zimą z północy radosną niespodzianką jest ciemna zieleń parków i plantacji. Po letnich upałach pokrywających wszystko kurzem i śladami suszy, na zimę drzewa pokrywają się błyszczącym, ciemno-zielonym listowiem. Barwa jego jest oprawą i uzupełnieniem różowo-pomarańczowej masy murów.

Mieszkam w pobliżu Porta Pinciana, obok parku Villi Borghese. Droga prowadząca przez park do Piazza del Popolo i Tybru schodzi w dół pod wysokimi drzewami, mijając budynki ogrodowe w stylu pseudo-egipskim. Jej nawierzchnia z makadamu, obramowane brukiem rynsztoki i brak trawy przypominają żywo drogę schodzącą w Warszawie do Łazienek i par-

ku Belwederu. Jedna i druga jest dziełem ogrodników ze szkoły napoleońskiej.

Moje okno wychodzi na mur otaczający miasto. Z płaskiej, czerwonej cegły, kilkumetrowej grubości, mur jest pełen strzelnic, wież, ganków dla wartowników. Historia tej *corona turrita* miasta jest dziś znów aktualna, znacząc nowy cykl rozwoju wiecznego miasta.

Stary Rzym republikański też otoczony był murem, którego fragmenty widać w kilku miejscach pod budynkami z czasów cesarstwa. W czasach panowania Rzymu nad kontynentem europejskim, mury nie były mu potrzebne. Miasto rozwijało się swobodnie we wszystkich kierunkach, stając się wkrótce milionową stolicą świata. W II-im wieku zaczął się nacisk ludów poza-europejskich na granice imperium. Nacisk ten szybko wzrastał, i w końcu wieku III-go sama nawet stolica, leżąca w połowie buta włoskiego, mogła się stać — w razie przerwania frontu — łupem barbarzyńców. Cesarz Aurelianus, zdobywca Palmiry, otoczył był Rzym i Ateny nowymi murami. Były to — jak dziś — czasy wielkiego strachu. Mury aurelianusowskie oblegano i zdobywano kilkakrotnie. Wzmacniane i uzupełniane przez generałów bizantyńskich i przez papieży, zachowały się do naszych czasów.

Okres wielkiego strachu minął, i przez kilka wieków Rzym mógł się znów obywać bez fortyfikacji. W murach przebito kilka wielkich bram. Ludność zmniejszyła się jednak od czasów Aureliana. Utraciwszy rangę stolicy świata, Rzym mieścił się swobodnie w starych murach. Dla tej przyczyny nie zburzono ich, jak murów krakowskich. Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat ludność wzrosła z pół na dwa miliony mieszkańców. Liczne nowe dzielnice wyszły daleko poza mury.

Dziś sytuacja Rzymu jest taka sama jak w czasach Aureliana. Nacisk ludów poza-europejskich na stary kontynent wzrósł, *limites* zwane dziś liniami demarkacyjnymi są tak słabe, że Rzym może w każdej chwili paść łupem ludów nowych. Wróciła *la grande paura*. Okupowane przez barbarzyńców kraje nie dostarczają więcej zboża. Jak w czasach późnego cesarstwa, niezadowolone wzrasta wśród chłopów i czynszowników. Całe okręgi wiejskie są w stanie przygasającego i znów zapalającego się buntu, na który nikt nie znajduje lekarstwa. W mieście jest znów sporo przybyszów ze strefy pogranicznej między Wschodem i Zachodem, o których Rzymianie — jak przed półtora tysiącem lat — nie wiedzą, czy można w nich widzieć potencjalnych sojuszników, czy też tylko zbędny ciężar społeczny.

14 grudnia.

Niezależnie od swej przeszłości i sławy, jako samo tylko dzieło architektury i urbanistyki, Rzym jest najpiękniejszym — obok może jednego Paryża — miastem Europy. Brak mu wiel-

kich paryskich perspektyw, ale na co zdadzą się te wielkie prospekty pokoleniom obecnym, żyjącym bez jutra, z myślą ograniczoną do kilku niewesołych alternatyw? Rzym jest bardziej intymny, stworzony raczej do marzenia, które ucieka od wielkich przestrzeni. Na dziesiątki placów zamkniętych jak teatralna dekoracja, patrzą barokowe fasady pałaców. Przed fasadami tańczą obeliski, które zrazu drażnią oko szukające harmonii płaszczyzn. Dopiero po pewnym czasie zaczynam rozumieć tę właściwość architektury barokowej, traktującej każdą plac jako zamkniętą w sobie całość, świat odrębny, rządzony przez własne prawa i własną fantazję.

15 grudnia.

Książka włoska nigdy nie miała większego debitu za granicą. Otrzymanie jej nastęrczało często niemałe trudności. Wydawcy i księgarze włoscy z zasady nie odpowiadali na listy. Wyjątek stanowił Ulrico Hoepli w Mediolanie, który — jako Szwajcar — odpowiadał natychmiast na wszystkie pytania i zamówienia. Był on jedynym źródłem książek włoskich i nazwisko jego było znane wszystkim księgarzom świata. Inne źródła — jak np. paryska Libreria Italiana utrzymywana przez Banco di Roma — znane były mniej licznym italianizantom.

Wędrowkę po księgarniach zaczynam więc oczywiście od Hoeplego, największej dziś w Rzymie księgarni, położonej przy Piazza Colonna. Hoepli posiada istotnie ogromny wybór książek zalegających półki i piętrzących się na niezliczonych stołach. I tu jednak spotyka mnie rozczarowanie, jakiego od kilkunastu lat doznaję we wszystkich księgarniach Europy. Dzisiejszy księgarz jest tylko urzędnikiem handlowym; nie umie udzielić żadnej informacji, nie robi żadnych poszukiwań i czuje się nieprzyjemnie dotknięty, kiedy żądamy książki leżącej na nieco wyższej półce, na którą trzeba się wspinać po drabinie.

To samo niepowodzenie spotyka mnie w Libreria Signorelli, mającej inne zwyczaje handlowe. U Hoeplego książki leżą jak na straganie, można je wszystkie oglądać i przerzucać. Nikt nie orientuje się więcej w tym chaosie. U Signorellego stały się puste; książki leżą w wzorowym porządku, w zamkniętych szafach i na zakratowanych półkach.

Jaka jest przyczyna tej degeneracji handlu księgarskiego? Gdzie znikli księgarze, którzy nie tylko sprzedawali, ale także czytali książki i umieli o nich udzielić najciekawszych wiadomości? Pamiętam starego księgarza u Alcana w Paryżu, który — jako najlepszy znawca bibliografii filozoficznej — był doradcą wszystkich studentów piszących tezy. *Ma chi sa se vive ancora?* Jednym z ostatnich przedstawicieli tego pokolenia księgarzy jest Feldmann urzędujący w księgarni Frankego w Bernie. Od 1914, ilekroć przejeżdżam przez Bern, odwiedzam zaw-

sze Feldmanna, najlepszego znawcę bibliografii autorów greckich i łacińskich, czytającego w kilkunastu językach. Pamiętam tylu innych jeszcze, dziś nie żyjących lub zaginionych w odmęcie czasów. Kiedy — jako 19-letni student — przyjechałem do Monachium, księgarz, u którego kupiłem tam pierwszą książkę, przyglądał mi się przez chwilę uważnie, po czym podał rękę i powiedział:

— Ma pan u mnie 25% rabatu. Proszę mnie zorientować w pańskich zainteresowaniach, a będę panu przysyłał 30 książek miesięcznie do przejrzania. Zatrzyma pan, co się panu podoba, a rachunki będziemy regulowali miesięcznie.

Ten księgarz rozpoznał we mnie od pierwszego spojrzenia rys, o którym sam wówczas nie mogłem jeszcze wiedzieć, mianowicie, że będę wielkim czytelnikiem, który na własny użytek kupi z czasem koło 20.000 tomów, dziś rozsianych po świecie, podartych na papier do zawijania machorki, rzuconych w błoto dla wymoszczenia rozmiękłych dróg, puszczonej z dymem pożarów i zbutwiałych w piwnicach, gdzie starali się je ukryć przyjaciele.

Od tego czasu byłem przez długie lata przyjacielem wszystkich dalszych księgarzy i bukinistów. Każdy z nich poznawał mnie od pierwszego wejrzenia. Przypuszczam zresztą, że byłem dobrym klientem. Kupowałem książki, których niełatwo się pozbyć z magazynu, nie targowałem się nigdy, ale też bardzo rzadko płaciłem cenę katalogową.

Dotyczy to jednak tylko dawnych księgarzy, z których kilku zaledwie, białych jak gołąb, jest jeszcze przy życiu. Nowych księgarzy nie znam, nie nam z nimi żadnego wspólnego zainteresowania. Do ich sklepów wpadam tylko na chwilę. W ciągu krótkiego czasu handel książką zmienił się nie do poznania. Ja sam kupuję dziś książki jak skarpetki lub kałesony, poświęcając temu zajęciu jak najmniej czasu i pieniędzy.

Jak przyszło do tego zmierzchu książki i księgarstwa?

Pierwszym prorokiem zagłady był dla mnie znany niegdyś wydawca paryski Georges Crès, który wiosną 1918 pokazywał mi koło setki swych najnowszych wydawnictw, drukowanych podczas wojny w Szwajcarii. Były to książki drogie, ilustrowane, wydane bardzo ozdobiście i poświęcone mniej lub więcej sztuce.

— Dawniej wydawcy liczyli na klientów w pańskim rodzaju, kupujących książki do czytania. Ta grupa nabywców została zrujnowana przez wojnę. Stoimy przed nowym nabywcą, małym piśmiennym barbarzyńcą, któremu koniunktura wojenna dała do rąk wielki pakiet podejrzanej wartości banknotów. Musimy umeblować jego nowe mieszkanie i dać mu dla splendoru domu bibliotekę godną jego pieniędzy i barbarzyństwa. Nie mam złudzenia, aby moje książki były przezeń czytane. Co najwyżej przeczyta je panna służąca, kiedy pani domu będzie wieczorem w Operze. Ponieważ jednak z dawnych czasów pozostało nam

trochę dobrego smaku, kilka z tych książek posiada nawet pełną wartość artystyczną.

Tak zaczął się zmierzch książki. Nowe warunki, nowi nabywcy, nowe wymagania i wielka koniunktura upoważniająca do masowej produkcji. Popychany z tyłu przez fabrykantów papieru i maszyn drukarskich, przez wydawców, typografów i agencje kolportażowe, tłum autorów stanął do masowej fabrykacji tanich tekstów.

Przemysł książkowy emancypował się, stał się niezależny od literatury, od ruchu umysłowego, nawet od gustów publiczności literackiej. Odtąd rządzą nim te same prawa, którym podlegają inne gałęzie produkcji narodowej.

Przed tą ewolucją księgarz sprzyjał rozpowszechnieniu książki, jej wędrówkom od czytelnika do czytelnika, ze środowiska do środowiska, z kraju do kraju. «Przemycza w Litwę Żyd tomiki moich dzieł», pisał Mickiewicz. Dziś zsyndykowani wydawcy i księgarze są największą przeszkodą cyrkulacji książki. Jak w innych gałęziach produkcji, zrodziła się wśród nich myśl bronięcia produkcji narodowej od konkurencji obcej. Ludzie ci, stworzeni do handlowania bykami i liczenia pieniędzy, nie chcieli i nie umieli obronić odrębnego stanowiska książki wśród innych produktów przemysłu. Książka stała się towarem wśród towarów, podlegającym przepisom celnym, dewizowym, kontyngentowym, clearingowym itd. Truteń siedzący za biurkiem w byle ministerstwie zastanawia się zupełnie serio, na jakim miejscu postawić produkcję i handel książką w hierarchii potrzeb doraźnych kraju, jak gdyby w jego mętnej i ciemnej głowie mogły wogóle istnieć kryteria do tego rodzaju ocen.

Treść i wygląd książki obniżyły się powoli do jej nowego miejsca i rangi. Ewolucja ta była mało zależna od doraźnych wstrząsów wojennych. W szczęśliwej Szwajcarii książka rodzimej produkcji przybrała charakter podarunku na Gwiazdkę, i sprzedaż jej odbywa się sezonowo w grudniu każdego roku. Ponieważ wszyscy Szwajcarzy są dziś zamożni, rynek jest bardzo chłonny i cała produkcja książek — bez względu na ich cenę, wartość i treść — ma zbyt z góry zapewniony. Od konkurencji obcej bronią ich przepisy celne, skarbowe i dewizowe. Książka francuska kosztuje w Szwajcarii 3—4 razy drożej niż we Francji. Podobne zwyczaje obciążają też inne książki obce, które w reszcie udało się wypełnić w Szwajcarii niemal zupełnie. Czytelnik zdany jest na produkcję krajową, przypominającą bardzo wymienione wyżej wydawnictwa Crésa.

Kto zresztą wie, czy książki te są kiedykolwiek czytane? Czy zajęta sportem i pracą młodzież ma wogóle czas na czytanie? Czy istnieje gdzieś samotny czytelnik, mogący sobie zdać sprawę z niewysokiej klasy koniunkturalnych tekstów, towarzyszących ilustracjom? Czytelnik w moim rodzaju oczywiście nigdy takich książek do ręki nie bierze, powodowany instynktowną odrazą.

Traktowana w tym duchu, książka nie może przekroczyć żadnej granicy ani linii demarkacyjnej. Książka francuska, dochodząca niegdyś swobodnie do Uralu, nie może dziś przekroczyć linii Maginota. Nie można jej znaleźć nawet w Genewie, dokąd spadają co najwyżej okruchy z paryskiego stołu. W zoni francuskiej Niemiec kosztuje kilkadziesiąt marek czyli 1/4 lub 1/5 miesięcznego zarobku podokupacyjnego Niemca. We Włoszech cena książki francuskiej we frankach jest mnożona przez współczynnik 4. Ciekawszych książek obcych wogóle nie ma nigdzie w handlu. Przywożą je co najwyżej w kieszeniach rzadcy podróżni.

Zamknięta murami od sąsiedniego zaścianka, oddana w ręce handlarzy świń i łysiejących urzędników, książka europejska stała się parafianka, tandetna w treści, głupia, zmanierowana na najniższy snobizm. W niewoli utraciła wszelką godność. Owinięta w kolorowe prospekty i hałaśliwe *prière d'insérer*, jest jak prostytutka wdzięcząca się do niewybrednego klienta. Pamiętający inne czasy czytelnik grzebie hakiem w kupach tego drukowanego paskudztwa, jak śmieciarka w śmietniku, walcząc z mdłościami i chęcią wymiotowania na tę ohydę spłodzoną z bezwstydu i ciemnoty. Jeżeli nie ucieka, robi to z długiego przyzwyczajenia lub w złudnej myśli znalezienia na dnie śmietnika przysłowiowego pierścionka z brylantem. Jak śmieśskie wydają się nadzieje naiwnych, którzy Europie wróżą w dzisiejszym świecie rolę Grecji w Imperium Romanum.

Książka włoska przeszła też przez całą tę nieszczęśliwą ewolucję. Księgarnie są pełne koniunkturalnych druków. Książki, których szukam, są przeważnie wyczerpane lub trudne do znalezienia.

Rzecz prosta, że oderwana od stałego czytelnika kupującego chronicznie w zły i dobry rok, książka stała się bardziej zależna od koniunktury ogólnej i przechodzi kryzysy podobne do trzęsienia ziemi. W tej chwili książka włoska przechodzi jeden z takich kryzysów. W ciągu roku bieżącego cena jej uległa kilku wyżkom i wynosi obecnie tyle co niezły obiad w restauracji. W tej cenie nie znajduje nabywców. Personel księgarski nie umie jej sprzedać istniejącym jeszcze klijentom. Znaczna część wydawców stała się praktycznie niewypłacalna. Nawet *Fiera Letteraria*, główny tygodnik literacki Włoch ma przestać wychodzić. Dowiaduję się, że jego najbliższy numer będzie ostatni. Świadczy to o głębokości kryzysu, zważywszy zwłaszcza, że recenzje w pismach literackich są głównym instrumentem propagandy i reklamy książki.

Z fal potopu wynurza się jak skała *La Critica*, czasopismo wydawane przez Crocego, które czytywałem jeszcze podczas pierwszej wojny światowej — było wówczas germanofilskie — i które przetrwało zarówno czasy klęski jak czasy powodzenia. Ostatni numer — napisany od deski do deski własną ręką mistrza — jest potrójnej objętości i datuje się z letnich miesięcy.



Zwraca się zapewne do niewielkiej lecz stałej grupy czytelników i abonentów i opiera się na kalkulacji podobnej do książek wydawanych przez subskrypcję. Dzieła Crocego są częściowo wyczerpane i jedyne, jakie chciałbym kupić, jest nie do znalezienia. Handel antykwarski w Rzymie praktycznie nie istnieje, sprowadzając się do książek sprzedawanych na straganach i wózkach. Antykwariaty handlują obrazami, sztychami — można w nich znaleźć sztychy Della Balli i Salvatora Rosy z Calcografia Nazionale — i rzadkimi drukami historycznymi.

W tym stanie rynku księgarskiego szczególne znaczenie przypada bibliotekom. Obok łatwo dostępnej Biblioteca Nazionale koło Collegio Romano istnieją bogate księgozbiory instytutów zagranicznych, amerykańskiego, brytyjskiego, francuskiego, belgijskiego, szwedzkiego, obecnie mniej uczęszczane z powodu raryfikacji ich naturalnych klientów. Istnieje też *Centre culturel* francuski, mający własną bibliotekę i czytelnię pism. Władze francuskie utrzymują instytucję propagującą książki, których nie ma w handlu. Dawniej książka francuska nie wymagała żadnej opieki oficjalnej, aby dochodzić o własnych siłach aż do Wołgi i Donu.

Przychodzi mi na myśl pytanie, czy wobec degradacji książki cywilizacja nasza nie utraci charakteru książkowego, jaki nosi od czasów Renesansu. Sztuki plastyczne i muzyka posiadają język bardziej uniwersalny od literatury i dotąd nie dały się zepchnąć do parafianśszczyzny. Być może prawdziwego wykształcenia humanistycznego trzeba będzie szukać innymi drogami niż przed czytanie. Początki takiej ewolucji można już widzieć we Włoszech, w Szwajcarii, być może i gdzie indziej.

16 grudnia.

Z gazet dowiaduję się, że prezydent Truman udzielił Włochom gwarancji podobnej do tej, jaką 12 marca dał Grecji i Turcji. Krok ten stał się zapewne nieunikniony z chwilą objęcia Włoch przez plan Marshalla. Inwestując tak wielkie sumy we Włoszech, Stany Zjednoczone muszą ich bronić przed okupacją sowiecką.

Bardziej zastanawia fakt, że krok ten nastąpił dopiero w dniu wczorajszym. Można stąd wnosić, że do wczoraj wejście armii jugosłowiańskiej lub sowieckiej do Włoch nie było uważane nawet za *casus belli* między wielkimi aliantami.

Gwarancje nie mają dziś dobrej stawy. Czy amerykańskie okażą się więcej warte od tych, jakich Wielka Brytania udzieliła w 1939 r. Polsce, Rumunii i Jugosławii? Jakimi siłami Stany Zjednoczone zamierzają bronić Grecji, Turcji i Włoch? Czy mogą przeszkodzić ich okupacji? Pytania te zapewne stawiają sobie wszyscy czytelnicy pism, jakkolwiek te ostatnie powstrzymują się od tego rodzaju komentarzy.

(Dok. nastąpi)

Paweł HOSTOWIEC.

## Inteligenckie herezje polityczne

Inteligencja ma skłonność do wyodrębniania się z rzeczywistości politycznej, do stawania ponad sporami politycznymi epoki i do uzurpowania sobie roli rozjemcy w tych sporach. Jest to jej protest przeciwko tyranii interesów politycznych, które zwykły używać inteligencji jako narzędzia do swoich celów. Trzeba rozróżnić przyczyny i motywy takiego wyodrębniania się; istnieje między nimi interesujący związek funkcjonalny.

Przyczyny tkwią zwykle w zatraceniu kontroli nad rzeczywistością polityczną, w zagubieniu klucza do wydarzeń; natomiast jako motyw prezentowane jest zazwyczaj — z ironiczną logiką! — rzekome sprzeniewierzenie się polityki jakimś zasadom ogólnym. Przecistawiając prawom, według których rzeczywistość polityczna się rozwija — postulaty, według jakich rozwijać się powinna, inteligencja zastępuje tyranie siły tyranii doktryny. Niestety, operacja ta nie zapewnia jej bynajmniej tej roli czynnika nadrzędnego, do której aspiruje, lecz rychło czyni ją rzecznikiem nowych interesów politycznych lub też tych samych, od których pragnęła się uniezależnić, a które przystosowały się tymczasem do hasła, puszczonego przez nią w obiegu.

Typowym przykładem takiej doktryny jest ideologia «jednego świata». Do jej powstania przyczynił się z jednej strony kosmopolityzm, wyrosły na tle reakcji przeciwko nacjonalizmowi, a z drugiej kult nowoczesnej techniki, której fascynacja jest wprost proporcjonalna do jej egzotyizmu. Inteligent, którego nacjonalizm obarcza zadaniami ponad jego intelektualne a często i moralne siły — staje się kosmopolitą. Człowiek, zmęczony niedorozwojem technicznym swego kraju — staje się czcicielem bardziej wyimaginowanej niż rzeczywistej techniki. Tendencje polityczne nie zmierzające bezpośrednio do realizacji tych ideałów lub wręcz zagradzające do nich drogę, odczuwane są jako absurdalne. Wytwarza to zniecierpliwienie, które wszystkim organicznym formom egzystencji politycznej nadaje piętno demonicznej złośliwości. Dystans do rzeczywistości politycznej — będący w gruncie rzeczy dystansem wyob-

cowanego — maskuje się tu chętnie jako kaznodziejstwo kapłana zapoznanych prawd.

«Jeden świat» jest dziś bojowym hasłem amerykańskiego imperializmu. Oczywiście, ideologia ta nie po to była koncyrowana, by się w praktyce przeistaczać w swoją odwrotność. «Jedność świata» nie miała uprzywilejowywać nikogo. Rząd światowy nie miał być narzędziem p a n o w a n i a nad światem, ale narzędziem a d m i n i s t r o w a n i a światem w interesie wszystkich. W naturze każdej ideologii leży, że musi komuś służyć. Jeżeli nie jest stworzona na niczych usługach, wnet bywa w czyjąś służbę wprzęgnięta. Marksizm nie powstał jako narzędzie rosyjskiego imperializmu, a przeciw nim dziś jest. To samo spotkało ideologię «jednego świata». Analogia idzie dalej, bo tak samo jak Rosja nie przyswoiła sobie doktryny marksistowskiej, by ją wprowadzić w życie, tak samo Ameryka nie po to przyswaja sobie doktrynę «jednego świata».

Reakcją zawiedzionych ideologów powinno oczywiście być co najmniej denuncjowanie Ameryki jako uzurpatora. Marksizm znalazł swoich Trockistów. Inteligency ojcowie doktryny «jednego świata» nie są jednak rewolucjonistami. By zatrzeć wrażenie swojej klęski głoszą oni, że «Pax Americana» nie jest co prawda «jednym światem», ale jest najkrótszą d r o g ą do «jednego świata». O Rosji Sowieckiej analogiczne twierdzenie wygłaszają... Stalińscy.

Ideologia «jednego świata» jest protestem przeciwko rzekomemu c y w i l i z a c y j n e m u barbarzyństwu naszej epoki. W wyniku tego protestu świat staje wobec uporcejwej i łatwo szerzącej się herezji politycznej. Nie mniej częsty jest protest przeciwko moralnemu barbarzyństwu naszych czasów. Inteligencja późno przyjęła do wiadomości nihilizm, stanowiący integralny składnik cywilizacji przemysłowej i od szeregu dziesięcioleci podminowujący moralność życia publicznego. Bolszewizm i hitlerizm bynajmniej nie były pierwszymi jego objawami, jak się to zwykle sądzi. Praktyki kapitalizmu angielskiego, niemiecka «Gründerzeit» lat 70-tych oraz etyka finansjery europejskiej i amerykańskiej na przełomie XIX i XX wieku wykazują cechy nihilizmu zupełnie dojrzałego. Inteligencja — i to nie tylko uniwersytecka, ale i klerykalna — odczuwała jednak raczej błogosławieństwa tego nihilizmu, niż jego przekleństwo i nie dość, że unikała nazywania go po imieniu, ale wolała go sobie nawet nie uświadamiać. Obłuda przybierała takie rozmiary, że pisarzy, którzy ten nihilizm anonso wali, bagatelizowano jako «degeneratów» czy wręcz psychopatów i o d k r y w c ó w nihilizmu perfidnie przedstawiano jako jego w y n a l a z c ó w.

Toteż dzisiejsze doktryny protestu przeciwko moralnemu

barbarzyństwu robią raczej wrażenie pawich krzyków albo spóźnionych żalów, niż środków zaradczych. Doktryny te również stały się źródłem politycznych herezji. Najważniejszą z nich jest teoria o «konflikcie między Wschodem a Zachodem», który przedstawia się także jako konflikt między demokracją a totalizmem, chrześcijaństwem a pogaństwem etc. Popularności tej doktryny w okresie przed klęską Niemiec stanął na przeszkodzie fakt, że Rosja znajdowała się wtedy jeszcze w obozie «demokratycznym». Z tego łatwo wywnioskować, komu ta doktryna w gruncie rzeczy służy.

W niektórych kołach przybiera ona charakter prawdziwej obsesji. Jej wyznawcy zmuszeni są do dziwacznej ekwilibrystyki pojęciowej: muszą np. zaliczać Chiny, Indie, a nawet Japonię do «Zachodu», muszą przemilczać imperializm amerykański, a totalistyczne metody UNRRA'y w Niemczech przedstawiać jako dywersję piątej kolumny sowieckiej. Doktryna ta nie pozwala ocenić obiektywnie żadnego wydarzenia politycznego. Miejsce opisów i ocen zajmuje iście surrealistyczna dialektyka kompleksów i pobożnych życzeń.

Aby nie stracić w nią wiary, wyznawcy tej doktryny zmuszeni są tłumaczyć sobie wszystkie — choćby najbardziej rdzenne — elementy «Wschodu» w polityce i kulturze «Zachodu» jako potknięcia lub odchylenia. Dopiero gdy stają się one tak wyraźne, że aż odbijają się na ich własnej skórze, obrońcy nagle zmieniają się w oskarżycieli i poczynają moralizować. Widok człowieka, zdezorientowanego przez własne dobrowolne złudzenia, który pragnie uchodzić za nauczyciela «Zachodu» i wskazywać mu, czym Zachód na prawdę jest, czyli czym być powinien — to widok żaloszny; tym bardziej żaloszny, że cały ten proces odbywa się w czterech ścianach własnego partycularza, nie przejawiając się na zewnątrz niczym. Jest to w najlepszym razie strata energii, którą można by lepiej zużyć przyglądając się światu dokładniej i z mniejszą pogardą dla prawd nieprzyjemnych.

Obie dotychczas omówione teorie — «jeden świat» i «konflikt Wschodu z Zachodem» — są w wysokim stopniu apolityczne. Oparte na nich herezje polityczne tak luźno wiążą się z rzeczywistością, że trzeba dużej naiwności lub zaślepienia, by je brać za dobrą monetę. Dla sytuacji politycznej inteligencji jest znamienne, że zdarza się to niemal wyłącznie inteligentom; masy bowiem okazują na tym punkcie od dawna orzeźwiający sceptycyzm i zdrowy sens.

Bardziej polityczny charakter ma koncepcja «Zjednoczonej Europy», uzasadniana motywami nie tyle cywilizacyjnymi czy moralnymi, ile *kulturalnymi*. Zagrożona jest kultura europejska — trzeba ją ratować przez przywrócenie Europie jedności i niezależności politycznej. Doktryna ta ma dwa słabe punkty:

musi zakładać, że Niemcy mogą być nawrócone na europejskość, która nie byłaby synonimem niemieckiego imperium i musi sięgać do repertuaru pobożnych życzeń dwóch doktryn poprzednich zakładając, że Anglosasi pozbawią Rosję jej strefy wpływów w Europie środkowo-wschodniej. Słowem, wyzwolenie narodów europejskich także w myśl tej teorii dokonać się może tylko z inicjatywy mocarstw pozaeuropejskich, a w każdym razie nie wbrew nim. Jest to koncepcja, która była aktualna jeszcze na wiosnę 1944 r., tj. przed inwazją anglosaską na Europę, gdy narody europejskie mogły mocarstwom związać ręce i zapewnić sobie wpływ na przyszły porządek europejski.

Główną wadą tych doktryn z punktu widzenia politycznego jest, że nie wskazują one, co powinny robić narody zainteresowane, natomiast usiłują przy pomocy perswazji reformować politykę Anglii, a zwłaszcza Ameryki. Są to doktryny bezwładności, bezczynności i wyczekiwania na bardzo mało prawdopodobny cud. Brak im dynamiki, którą dać może tylko zdeterminowana wola oporu przeciwko polityce mocarstw zmierzającej do wyeliminowania wszystkich innych narodów z gry politycznej.

Najgorsze jednak — chociaż wcale nie dziwne — jest, że doktryny te zostały podchwyczone przez mocarstwa i służą im w ich wzajemnych rozgrywkach i w ich wspólnej akcji przeciw tzw. małym narodom. «Jeden świat» jest na przemian hasłem ONZ lub amerykańskich imperialistów, służy więc dyktaturze wielkich mocarstw. W świetle tej doktryny niemożliwa jest żadna realna opozycja przeciw kompromisom wielkich mocarstw kosztem innych (czyli nas), ani przeciwko mobilizowaniu innych (czyli nas) do akcji, która ma na celu tylko jeszcze jeden kompromis lub dalszą stabilizację systemu stref wpływów. Doktryna o «konflikcie Wschodu z Zachodem» używana jest do utrwalania wpływów anglosaskich (ściśle amerykańskich) w strefie, której Rosji nie przyznano, a w końcu nawet do uzasadniania roli Anglii jako wasala Stanów Zjednoczonych. Wreszcie doktryna «Zjednoczonej Europy» — jeżeli nie spełnia podobnej roli jak poprzednie — służy próbom ratowania imperialnej pozycji Anglii przez stworzenie «bloku zachodniego».

Wszystkie one w sumie wytwarzają poczucie bezsilności tzw. mniejszych narodów wobec sytuacji, pozostawiają inicjatywę w rękę mocarstw i opóźniają powstanie potęgi niezależnej zarówno od Ameryki i od Rosji, która nie uważałaby się za partnera mocarstw w grze o podział świata, ale która zmusiłaby mocarstwa do porzucenia tej gry, ponieważ by im ją uniemożliwiła. W doktrynach tych nie ma nic, co by Anglię i Francję wyrwało ze zgubnych mrzonek o utrzymaniu ich imperiów kolonialnych

i skierowało na drogę, na której narody brytyjski i francuski mogłyby osiągnąć swoje cele, tj. pokój, odbudowę gospodarczą i autorytet międzynarodowy — nie depreczając praw i aspiracji innych narodów. Jeżeli narody Azji, które na kongresie panazjatyckim w kwietniu 1947 r. zapowiedziały swoją neutralność w konflikcie mocarstw, znalazły w sobie dość determinacji, by zaznaczyć swoją opozycję przeciwko grze mocarstw o podział świata, uczyniły to nie dla tego, że Sowiety tego chciały — choć w tej chwili manifestacja taka jest dla Rosji wygodna — ale dla tego, że są one wolne od kompleksów, których wyrazem w Europie stały się trzy inteligenckie herezje polityczne.

Ucieczka inteligencji polskiej w «au-delà» takich marzeń na jawie jest szczególnie tragiczna. Emigranci polscy, którzy sami uważają siebie i uważani byli przez kraj za swobodny głos narodu polskiego, jednego z najwcześniejszych i najnikczemniejszych ujarzmionych przez spisek wielkich mocarstw — popełnili dwa błędy, które mogą stać się powodem, że polska emigracja polityczna w niedługim czasie wogóle przestanie istnieć. Naprzód porzucili swoją postawę protestu przeciwko dyktatowi wielkich mocarstw, którą zachowywali w czasie, gdy mogła ona być traktowana jako dywersja na rzecz wroga. W kraju usiłowano szerzyć całkowicie nieuzasadnione zaufanie do tych mocarstw jako obrońców sprawy polskiej. Następnie — zamiast wytworzyć wolną opinię polską, opartą na uczciwej ocenie zjawisk i nadającą kierunek myśli polskiej zarówno krajowej jak i emigracyjnej — sformułowano sobie poglądy, które mogłyby bez trudu przyjąć ewtl. chlebo- czy mocodawcy w obcych społeczeństwach. Nb. poglądy te, jak dotąd, spełniły tylko rolę, jaką w intencji rządów anglosaskich inteligencja emigracyjna miała spełnić: zlikwidować problem polskiej niepodległości przez rozładowanie emigracji. «Doktryna Trumana», która brzmiała w uszach tej inteligencji jak surmy bojowe, nie pociągnęła za sobą żadnych nowych ofert.

Słowem, po podstępnyim przełamaniu oporu emigracji przez kierowników polityki wielkich mocarstw w r. 1945, a właściwie już w 1944 r., inteligencja emigracyjna przeszła taką samą «ewolucję», jaką po najeździe sowieckim przeszła część inteligencji krajowej. Emigracja nie stworzyła żadnego wzoru postawy intelektualnej, moralnej czy politycznej, który wpłynąłby hamująco na oportunizm inteligencji krajowej lub mógł znaleźć naśladowców wśród bardziej idealistycznych i samodzielnych elementów młodego pokolenia. Owszem, przez swoje lekko-myślne złudzenia i nieprzemyślane herezje polityczne, emigracja w sposób wysoce nieodpowiedzialny utrudniła krajowi proces przystosowania się do nowych warunków w taki sposób, by nie wynikało z tego ani kapitulactwo ani uleganie prowokacjom.

## Fredro — klasyk

Dwudziestolecie niepodległości przeżywało renesans Fredry. Grano go często, i to tak, jak się gra klasyka, który jest równocześnie pisarzem żywym. Teatry wystawiały go z pietyzmem, publiczność na spektaklach dobrze się bawiła. Pisano też o Fredrze w owych latach dużo, a to co pisano, wychodziło spod piór najwybitniejszych naszych krytyków i historyków literatury. U progu tego okresu mamy książkę o Fredrze Chrzanowskiego. Potem przychodzą piękne studia Borowego. Nieco później pojawia się pierwszy historyk literatury, który swą pracę naukową poświęca przede wszystkim Fredrze, staje się «specjalistą» od Fredry, jego wydawcą, autorem książki o stosunku Fredry do komedii włoskiej i szeregu drobniejszych studiów — prof. Kucharski. W latach trzydziestych mamy do zanutowania przede wszystkim trzy pozycje, każda odrębna od drugiej, ale wszystkie trzy cenne i oryginalne: Boya «Obrachunki fredrowskie», Stempowskiego rzecz o «Panu Jowialskim, czyli perspektywach śmiechu szlacheckiego» i krótką syntetyczną charakterystykę Fredry pióra Kołaczковского. Drobne studia o Fredrze ogłaszają Brückner, Windakiewicz, Kleiner, Folkierski. Trudno o bardziej reprezentacyjny dobór piór.

Cała ta literatura daleka jest od jednomyślności. Przeciwnie, akcenty polemiczne są w niej częste: Boy atakuje — i to ostro — Chrzanowskiego i Kucharskiego, z Boyem znów rozprawia się Kołaczkowski. Ale pod jednym względem wszyscy ci pisarze — tak różni i temperamentem, i podejściem do zjawisk literackich — są ze sobą zgodni, a mianowicie w uznaniu bardzo wysokiej rangi pisarskiej Fredry. I nie tylko że są oni na tym punkcie jednomyślni, ale, co więcej, wszyscy oni — z wyjątkiem Chrzanowskiego, którego książka ukazała się jeszcze w czasie tamtej wojny — traktują wielkość Fredry jako coś, co się samo przez się rozumie, czego nie trzeba dowodzić.

Jeszcze czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu podobnie wysoka ocena dorobku pisarskiego Fredry wcale nie była tak samo przez się zrozumiała. Wtedy bowiem w ocenie zjawisk naszej literatury pierwszej połowy XIX w. obowiązywała ta skala wartości, jaką narzuciła krytyka romantyczna, obowiązywały kryteria romantyczne. Toteż wysoka ocena Fredry po pierwszej

wojnie światowej pozostaje w ścisłym związku z charakterystycznym dla tamtych lat krytycznym stosunkiem do romantyzmu.

Stosunek ten stał się w owych latach dużo krytyczniejszy, dużo bardziej nieufny, wymagający. Najwięcej ucierpeli na tym drugorzędni poeci romantyczni. W latach dwudziestych np. nie do pomyslenia by już były wielotomowe studia monograficzne o Zaleskim czy Polu. Drażniłyby brakiem wycucia proporcji. Ale rewizja nie ograniczała się do poetów drugorzędnych. Czywista, wielka poezja romantyczna zbyt silnie wrosła w polską tradycję literacką na to, aby jakakolwiek odpowiedzialna krytyka mogła po prostu się od niej odwrócić i chcieć ją przekreślić. Ale o poezji Krasińskiego z późniejszego jego okresu zaczęły się pojawiać — i przyjmować — sądy, które wcześniej, w latach przedwojennych, musiałyby być uznane za obrazoburczą herezję. Nawet «lazurom» Słowackiego zaczęto się przyglądać krytyczniej i surowiej.

Na takim tle jednomyślnie wysoka ocena Fredry nabiera szczególnej wymowy. Fredro był bowiem człowiekiem, którego cała postawa tak wobec życia, jak i wobec sztuki była bardzo daleka od tego, co znamy jako typową postawę romantyczną.

Od romantyków dzieliło go bardzo wiele.

Przed wszystkim był człowiekiem innego pokolenia, starszego. Epopea napoleońska, która dla Mickiewicza była wspomnieniem trzynastoletniego chłopca, a dla Krasińskiego tylko wielką legendą rodzinną, — dla niego była częścią jego własnej młodości.

Co więcej, — cały jego stosunek do życia ułożył się w sposób typowo nieromantyczny. Los pozwolił Fredrze przeżyć życie w kraju, i to w tym samym środowisku, w którym się urodził i wychował. Przyszedł na świat (w r. 1793) w zamożnym środowisku konserwatywno-ziemiańskim, mającym pewne aspiracje arystokratyczne, umarł (w r. 1876) hrabią, posesjonatem, zachowawcą. Nawet pewna ostentacja w używaniu — świeżego — tytułu hrabiowskiego, nas dziś drażniąca, świadczy tylko o tym, jak bardzo był zżyty z konwencjami społecznymi swego środowiska.

Perypetie jego życia miłosnego znowu potoczyły się zgoła nieromantycznie. Gorącą miłość, która miała do zwalczenia wielkie przeszkody, uwieńczyło małżeństwo szczęśliwe, zgodne, stateczne. Nie ma w jego biografii ani tragicznej, nieszczęśliwej miłości, ani małżeństwa, które było nieporozumieniem, — tak jak w biografii Mickiewicza; darmo by też kto w niej szukał wieloletniego okresu pożycia we troje — jak u Krasińskiego.

Prawda, dziesięć lat upłynęło, zanim Fredrze udało się pokonać te przeszkody, jakie stanęły na drodze jego małżeństwa. Już, już wydawało się, że i jego wielka miłość będzie miłością nieszczęśliwą. Ale o wszystkim tym dowiadujemy się z jego korespondencji rodzinnej, z ówczesnych pamiętników, — najmniej

z jego poezji. Próbowano doszukiwać się w niej ech tych przeżyć. Są one jednak dalekie, nikłe i trudne dzisiaj do wyśledzenia. I ta dyskrecja uczuć to znowu rys typowo nieromantyczny.

Wreszcie — na stosunek do sprawy narodowej wielkich poetów romantycznych w dużej mierze wpłynął kompleks winy. Nikt z wielkiej trójcy romantyków nie wziął udziału w zbrojnej walce o niepodległość, w powstaniu. «Godności nie mam, od męki uciekłem» — takim samooskarżeniem chlostał siebie Słowacki. Analogiczny kompleks znajdziemy bez trudu u Mickiewicza i u Krasińskiego. Uczynił on sprawę narodową dla nich podwójnie bolesną, — bolesną nie tylko ze względów ogólnych, ale i osobistych. Wpłynął na taki a nie inny charakter ich twórczości, zaciążył na całym biegu ich życia.

Otóż Fredro był od tego kompleksu wolny. W kampaniach napoleońskich spędził lat pięć. Jako piętnastoletni chłopiec wstępuje do wojska w r. 1809, jest uczestnikiem kampanii moskiewskiej. Kiedy zaś po rozgromie 1812 r. udaje mu się w przebraniu uciec z niewoli rosyjskiej do domu rodzicielskiego, korzysta z pierwszej okazji, aby się potem znów przedrzeć do armii napoleońskiej, do Niemiec, mimo że wie, iż walka jest już wtedy beznadziejna. I kampanię tę odbędzie do końca, do ostatecznej kapitulacji. I dlatego kiedy później będzie o niej opowiadał w «Trzy po trzy», będzie mógł o niej mówić w sposób naturalny, swobodny i z humorem.

Zapewne, można załatwić się z całą sprawą powiedzeniem, że Fredrze po prostu koleje życia ułożyły się «normalnie». Ale przecież mogły się tak ułożyć tylko dzięki pewnej postawie wobec życia samego Fredry. Kołaczkowski określał ją jako postawę «męską». Można to jeszcze ująć inaczej. Jest to postawa człowieka, który jest w sposób naturalny w zgodzie ze środowiskiem, z którego wyszedł. A z takiej właśnie postawy wyraść może poezja typu — klasycznego.

Oczywista, nie należy tych spraw rozumieć zbyt schematycznie. Jest rzeczą powszechnie znaną, że w Fredrze — zjawisko dosyć częste u wielkich humorystów — było sporo z mizantropem. Wiadomo, że mizantropia ta szczególnie bujnie rozwinęła się w późniejszych latach jego życia. W poezji najsilniej przysłała do głosu we wspaniałych tyradach Astolfa z «Odludków i poety». Nigdzie jednak nie stała się ona zarysem buntu przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, nigdy nie doprowadziła do tego, żeby się swemu otoczeniu w sposób zasadniczy przeciwstawił. Ostatecznie i wśród wielkich pisarzy klasycznych znajdziemy nie mało mizantropów. Przykład Moliere sam się ciśnie pod pióro. Podobnie stosunek np. takiego La Rochefoucauld do natury ludzkiej nacechowany był sporą dozą mizantropii. Ale przecież nikt nie będzie dlatego kwestionował klasycznego charakteru ich pisarstwa.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że pewnych kontrargumentów można by się doszukać w samej twórczości poety. Jak

wiadomo, wśród jego wierszy lirycznych są ballady czy przykłady liryki patriotycznej, które doborem motywów, obrazowaniem poetyckim, słownictwem świadczą, iż są wierszami typowo romantycznymi. W gruncie jednak rzeczy wiersze te potwierdzają tylko sąd o tym, jak bardzo Fredro był romantyzmowi obcy. Wszystkie one są bowiem słabe, nawet zadziwiająco słabe, jeśli się weźmie pod uwagę, że są to przecież wiersze wielkiego poety. Po prostu Fredre, który tworzył w okresie wielkiego rozkwitu i wielkiej popularności poezji romantycznej, wtedy kiedy przystępował do liryki, kusiła myśl popróbowania sił i w tym stylu, w którym właśnie poezja liryczna tak wspaniale rozkwitła. Decydującym jest tu jednak ten wzgląd, że w tym stylu nic wybitnego nie stworzył, że pozostał on dla niego tylko — obcą — manierą.

Rodzaje poetyckie, w których Fredro celuje i dzięki którym jest wielkim pisarzem, to nie ballada czy poemat liryczny, ale komedia i bajka, a więc te rodzaje, które są charakterystyczne dla poezji typu klasycznego. Jego styl, dążący do prostoty, zwiezłości, mający świetne wycucie symetrii i pointy — jest stylem klasyka. Wiersz Fredry? «Fredro jest pod tym względem klasykiem jednym z najklasyczniejszych» — czytamy u Borowego.

Co więcej, w komediach Fredry dźwięczy wyraźna nuta antyromantyczna. Najwyraźniej przebija to ze stosunku Fredry do miłości romantycznej. Miłość tę bowiem Fredro systematycznie wyśmiewa. Czemu np. w «Mężu i żonie» Alfred jest tak znużony romansem z Elwirą? Bo romans ten nastrojony jest na nieznośnie podniosłą, uroczystą nutę, bo wymaga stałego trybutu zakłęk, wzniosłych frazesów, westchnień i tak zjadliwie w komedii wyśmianej powodzi listów. Cały przecież morał komedii to obnażenie fałszu takiej miłości. Justysia jest szczęśliwą rywalką Elwiry zarówno wobec jej własnego męża, Wacława, jak i wobec Alfreda, właśnie dlatego, że z nią, pokojówką, obaj mogą być naturalni, nie muszą się zgrywać na uroczysto.

W innej tonacji uczuciowej miłość romantyczna wyśmiana jest w «Ślubach panieńskich» w postaci płaczącego kochanka, «fontanny» Albina. Fredro w komedii bardzo wyraźnie zaznacza, iż bije tu właśnie w romantyczną miłość. «Nie bądź Gustawem — mówi Albinowi Gustaw. Oczywiście, nie bądź Gustawem mickiewiczowskim, Gustawem z «Dziadów».

I temu Albinowi-Gustawowi przeciwstawiony jest inny amant, jakby dla ironii noszący właśnie imię Gustawa, który ma za sobą całą naszą (i autorską) sympatię. W szczerość jego miłości Fredro każe nam wierzyć, ale jest to miłość, w której jest tyle elementu gry, młodzieńczej pustoty. Według kanonów romantycznych taka miłość to profanacja miłości. Wielkim triumfem artystycznym Fredry jest, iż umiał nam pokazać, że taka miłość potrafi być miłością szczerą, serdeczną i z gruntu sympatyczną!).

1) Kleiner, który o tej antyromantycznej nucie «Ślubów panień-

Wreszcie «Pan Jowialski». W bibliotece w Jowiałówce ku naszemu szczeremu zdziwieniu ze zbiorem przysłów Knapiusza sąsiadują tomy poezji Byrona i Grillparzera. Rzecz prosta, nie pan Jowialski jest ich czytelnikiem. Zacztytuje się w nich, poprzez ich szkła patrzy na świat, ich językiem — w intencji autora — przemawia kto inny, Helena. Przypomnijmy sobie tylko, jak ją nam Fredro; jeszcze zanim pojawi się na scenie, pośrednio przedstawia w pierwszym akcie, w charakterystyce Szambelanowej:

*Szambelanowa:* Helena chciałaby jakiegoś smętnego wielbiela, trawiącego noce wśród grobowców. Łą.

*Janusz:* Na to się nie piszę.

*Szambelanowa:* Jakaś tajemna tęsknota, skargi na niesprawiedliwość ludzi, a może i lekka zgrzyzota sumienia — jak to się dowiedziałam przypadkiem z jej dziennika — nie szkodziłyby wcale.

*Ludmir (na stronie):* Jaromir, Alp, Lara — rozumiem.

Kiedy zaś Helena pojawi się na scenie, przemawiać będzie stale językiem pretensjonalnym i nadętym, tak pretensjonalnym i nadętym, że w tej doskonałe artystycznie dojrzałej i zrównoważonej komedii jest jedyną postacią, w której komicznej charakterystyce Fredro wpadł w szarżę, przeholował. Charakter szarży podkreśla jeszcze i ta okoliczność, że Ludmir aby się wkraść w jej łaski małpuje ją, umyślnie wpada w jej afektowany sposób mówienia. Nigdzie indziej nie możemy obserwować tak jaskrawo, jak właśnie na przykładzie Heleny, programowej antyromantyczności stylu pisarskiego Fredry.

Stosunek Fredry do miłości romantycznej wybrano tu tylko przykładowo. Tę samą antyromantyczną postawę można śledzić u niego i na innych odcinkach. Pierwszą komedią, jaką dwudziestodwuletni Fredro napisał, jest «Intryga na prędcie», wydana w siedem lat później, po przerobieniu, jako «Nowy Don Kiszot». Jest to komedia bardzo jeszcze niedowarzona i niezgrabnie zbudowana. Toteż jej wartość literacka jest minimalna. Ale pod jednym względem jest ona bardzo wymowna. Jakie to charakterystyczne, że młodzianki Fredro rozpoczyna swą działalność komediopisarza od wykpienia romantyków. Nie ulega bowiem wątpliwości, że bohater komedii, «Nowy Don Kiszot», Karol, jest parodią — inna rzecz, że bardzo jeszcze prymitywną i nieskładną — romantyka. I Goszczyński zupełnie trafnie to wyczuł, kiedy w swej «Nowej epoce poezji polskiej» zaatakował włożoną w usta Kasztelana maksymę, osądzając Karola:

skich» pisał, podkreśla również antyromantyczny charakter intrygi miłosnej «Zemsty».

Trzeba być wariatem,  
Aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem.<sup>2)</sup>

Fredro jest więc w literaturze polskiej swego rodzaju fenomenem — wielkim klasykiem, który się zabłąkał w epokę najbujniejszego rozkwitu poezji romantycznej. Za takie rozminięcie się ze swoją epoką zawsze trzeba płacić. I Fredro płacił. W najlepszym razie był niedoceniany, często był przedmiotem ataków. Był w wojnie, musiał być w wojnie, z romantyczną krytyką. Mochnecki pominął go wzgardliwym milczeniem. Inni, jak Edward Dembowski czy Goszczyński atakowali go. Bo słowny atak Goszczyńskiego jest atakiem na klasyka z pozycji romantycznych. Goszczyński zalicza komedie Fredry do «francuszczyzny», widzi w nich «wszystkie niedorzeczności pseudo-klasycznych komedii», język Fredry jest dla niego «wymanierowaniem języka trybem francuskim». Nawet «salonowość», którą Goszczyński zarzuca Fredrze, jest «salonowością» pojętą jako atrybut pewnego stylu literackiego.

Trzeba się było o tym wszystkim obszerniej rozpisać, dlatego że czytelnik, aby znaleźć właściwe podejście do Fredry, musi stale mieć w pamięci, że to pisarz typu klasycznego i że cała jego sztuka poetycka jest świadomie i konsekwentnie klasyczna.

Tymczasem tutaj właśnie bardzo dużo zamieszania zrobił prof. Kucharski, który dzięki temu, iż opracował arcydzieła Fredry, «Zemstę», «Śluby panieńskie» i «Pana Jowialskiego» w popularnych, wielokrotnie przedrukowywanych tomikach «Biblioteki Narodowej», stał się głównym pośrednikiem między Fredrą a szerokimi masami czytelniczymi. Prof. Kucharski jest wielkim wielbicielem Fredry. O wielkości jego potrafi mówić z ogniem i w sposób bardzo nieraz przekonywujący. Ale równocześnie dla prof. Kucharskiego koncepcja «wielkiego pisarza» jest koncepcją typowo romantyczną. Żeby tę sprzeczność pogodzić, trzeba Fredrę wystylizować na romantyka (prof. Kucharski zaczął też swą pracę nad Fredrą od studiów o nim jako romantyku), dorobić mu romantyczną «głębę», wmówić mu sarkazm, objawy buntu przeciwko światu czy tragicznego rozdarcia, o których się Fredrze wogóle nie śniło. Stąd o «Dożyciu» np. potrafił napisać, że «pomimo żywiołowego humoru i niezrównanego komizmu całość rozpaczliwie smutna, przepojona głębokim, rozdzierającym smutkiem autora»!

To nieporozumienie szczególnie jaskrawo zaciążyło na jego interpretacji «Pana Jowialskiego». Sztukę tę, w której vis comica Fredry święci szczególne triumfy i która mimo pewnych

<sup>2)</sup> Prof. Kucharski usiłował atak ten sparować, dowodząc, że Goszczyński zaatakował tu opinię nie Fredry, ale jednego z bohaterów jego komedii, za którą nie jest on odpowiedzialny. Jeśli jednak zastanowimy się bliżej nad tym, jaką rolę powiedzenie to spełnia w komedii (przychodzi na zakończenie, Fredro włożył je w usta najpoważniejszej postaci komedii), trzeba nam uznać, że jest to morał komedii, a więc Fredry.

ostrzejszych akcentów cała skąpana jest w pogodnej atmosferze, prof. Kucharski ucharakteryzował na jakąś krwawą, ponurą, ostrą satyrę na całe ówczesne ziemiaństwo galicyjskie. W tym miejscu jednak nieporozumienie natury literackiej zahacza o drugie, dotyczące stosunku Fredry do tego środowiska, które najczęściej odmalowuje w swoich komediach, do jego środowiska.

Sferą, w której Fredro żył i z której brał modele do swojej komedii, jest zamożne ziemiaństwo galicyjskie, przeważnie noszące takie czy inne arystokratyczne tytuły. Bohater «Męża i żony» jest hrabią. Jeden z bohaterów «Pana Jowialskiego» — szambelanem. W «Panu Geldhabie» mamy nawet księcia. Czasem arystokratyczny tytuł bohatera komedii jest zaznaczony w tekście jej przelotnie, jakby od niechcenia, ale właśnie dlatego tym wyraźniej podkreśla, że tego rodzaju tytuł jest dla bohatera fredrowskiego czymś zupełnie naturalnym. W «Przyjaciółkach» np. dopiero pod sam koniec komedii dowiadujemy się, że jej bohaterka, Zofia, jest margrabianką. Szczegół ten w intrydze komedii nie odgrywa żadnej roli. Jeśli Zdzisław ma tak poważne wątpliwości, czy może myśleć o ręce Zofii, to nie dlatego, że ona jest arystokratką, a on nie, ale dla innych przyczyn (różnice majątkowe, kalectwo). Jest to więc szczegół w przeprowadzeniu intrygi zbędny. Tym zmienniejsza jest tu jego wymowa.

Tam zaś nawet, gdzie mamy do czynienia z ziemiaństwem nieutytułowanym, wszystkie szczegóły obyczajowe świadczą wyraźnie o tym, że jest to szlachta bardzo zamożna. Atmosfery domu Jowialskich nie można sobie wyobrazić bez dostatku i spokoju o jutro. Dziwactwa Radosta z «Cudzoziemszczyzny» są zrozumiałe tylko wtedy, jeśli przyjmiemy, że są to fanaberie człowieka, który nie bardzo wie, co zrobić z pieniędzmi.

Prawda, Fredro we wspomnieniach swoich umiał ostro pisać o manii tytułów galicyjskiej szlachty (mimo że sam był hrabią takiego świeżego, galicyjskiego stempla). Ale nie ma wątpliwości, że społecznie w tej właśnie sferze tkwił. W jego późniejszej poezji, bardzo zresztą wyraźnie zabarwionej ostrą mizantropią, trafiają się nieprzyjemnie brzmiące nuty społeczne, jak np. to co w «Odludku» pisze o oświacie ludowej («I znów stanął Rosynant, tym razem skrzydlaty, któremu dano nazwę ludowej oświaty...»). Toteż wolno się obawiać, że gdyby pisał komedie o tematyce społecznej, komedie te byłyby dzisiaj dla nas anachronizmem, traciłyby przykrą nutą. Na szczęście Fredro komedii takich nie pisał. Perypetie jego komedii to przede wszystkim perypetie zakochanych serc, bądź też perypetie wynikające z wad, właściwych ludziom wszystkich warstw, takich jak próżność czy chciwość. I dlatego to co jest w nich prawdą psychologiczną ma znaczenie ogólnoludzkie. Podobnie arcydzieła Tolstoja, «Wojna i pokój» czy «Anna Karenina», mimo że są powieściami z życia arystokracji rosyjskiej, nie straciły nic na swej «aktualności», odkrywczości psychologicznej przez to, że

klasa, o której Tolstoj pisał, należy już do przeszłości.

Zresztą, Fredro mimo iż tkwił w swej sferze, poszczególnych ich przedstawicieli umiał obserwować bardzo bystro, ich wady i śmieszności potrafił wychwytać okiem bardzo przenikliwym i surowo osądzać. Wśród komedii Fredry jest jedna, która ma w sobie coś z drapieżności, której satyra jest bez porównania bardziej ostra niż innych. To «Mąż i żona», komedia, której akcja dzieje się właśnie w środowisku arystokratycznym. Ale Fredro prawdopodobnie by się zachnął, gdyby mu powiedziano, że w komedii tej rozprawił się z ówczesną arystokracją galicyjską, gdyby więc przypisano jej charakter społeczny. Najprawdopodobniej odpowiedziałby, że po prostu w komedii tej rozprawił się z pewnymi objawami zgnilizny moralnej, które miał możliwość zaobserwowania w swojej klasie, ale że nie w komedii nie upoważnia czytelnika do uogólniania i twierdzenia, że są to objawy dla tej klasy typowe.

Co więcej, na to co stanowi czysto ludzki aspekt stosunków między osobnikami z różnych klas, Fredro był bardzo wrażliwy. Jakże ostro w «Panu Jowialskim» podkreślone jest całe chamstwo konceptu Janusza: zabawy towarzystwa z zakłopotania i zdziwienia rzekomego prostaka, przebranego za sułtana, któremu zgromadzeni będą oddawali kpiące honory. W komedii bardzo wyraźnie też zaakcentowano, że wszystkim upokorzona, jak i udręki zazdrości, jakich Janusz później doświadcza, to akt sprawiedliwości za to chamstwo («Sam chciałeś!»).

Specjalną pozycję w całej twórczości Fredry zajmuje pod tym względem «Zemsta». Jest to komedia *historyczna*, czy — jeśli kto woli — tradycyjna. Elementy obyczaju staropolskiego odgrywają tu znaczną rolę. Ale do jakiejś apoteozy szlachetczyzny, takiej jakiej np. jaskrawe przykłady znajdujemy w twórczości Pola, jeszcze stąd bardzo daleko. Boy spróbował kiedyś półżartem «rewizji» «Zemsty», spojrzenia na konflikt Cześnika i Rejenta z punktu widzenia murarzy, którzy w konflikcie tym są stroną najbardziej pokrzywdzoną: zostają pobici przez ludzi Cześnika, a później Rejent nie chce im zapłacić, żeby mieć jeszcze jeden więcej argument w procesie. Jako żart podejście takie może bawić swoją ekscentrycznością. Ale czy trzeba dopiero sceny z murarzami, żeby się zorientować, że Rejent nie jest wzorem delikatności i skrupulatności w stosunkach pieniężnych? Przecież swego rodzzonego syna gotów jest sprzedać w mariażu z rzekomo bogatą Podstoliną. I czy trzeba dopiero murarzy, żeby wiedzieć, że Cześnik to taki raptus, który w momentach pasji nie będzie się liczył z żadnymi względami? Przecież to tylko traf sprawił, że jego pomysł ożenienia gwałtem Wacława jest równocześnie spełnieniem najgorętszych życzeń Wacława i Klary. I dzięki temu, właśnie że rozmiłowanie w życiu i obyczaju staropolskim umiał tu Fredro pogodzić z krytycznym, choć pełnym sympatii spojrzeniem na jego poszczególnych przedstawicieli, jest w tej komedii tyle prawdy artystycznej.

I znowu gotów się ktoś spytać: po co powtarzać te rzeczy, tak oczywiste, że wyglądają po prostu na truizmy? Trzeba je jednak podkreślać, ponieważ w krytyce ostatnich lat panowało na ten temat dużo zamieszania i niepořozumień. Jedni, jak Grzymała-Siedlecki, widzieli w Fredrze po prostu apologetę szlachetczyzny. Inni, jak prof. Kucharski, chcieli widzieć w «Panu Jowialskim» jakąś pełną goryczy i sarkazmu rozprawę z marazmem galicyjskiego społeczeństwa szlacheckiego po powstaniu listopadowym. Boy znów, który miał wzrok bardzo wyostrzony na wszystkie fałszywe ujęcia Kucharskiego, sam ulegając panującej modzie próbował tu i ówdzie — w naszym wypadku mało fortunnej — krytyki społecznej (przykład z «Zemsty» nie jest jedyny).

Nie wolno więc Fredry oceniać kryteriami poezji romantycznej i nie należy szukać u niego tego, czego u niego nie ma, tj. komedii społecznej.<sup>3)</sup> Dla każdego, kto o tych zastrzeżeniach pamięta, nawiązanie bliskiego kontaktu z Fredrą jest rzeczą łatwą. Poddać się przy lekturze niestarzejacej się vis comica jego komedii to znaczy znaleźć się na właściwej drodze. A jeśli jeszcze odczytując Fredrę raz i drugi — bo jak każdy rzetelny klasyk prosi się on o wielokrotną lekturę — czytelnik wyostrzy sobie oko na jego finezję psychologiczną, rozsmakuje się w bogactwie, celności i precyzji jego języka, nauczy się cenić jego wiersz, który w swej rzekomej prostocie jest jednym z cudów wersyfikacji polskiej — będzie mógł powiedzieć, że znalazł właściwe «podejście» do poznania i życia się z jednym z największych pisarzy, jakich zna literatura polska.

Wiktor WEINTRAUB.

3) Inna rzecz, że każdemu — oczywiście wolno z komedii Fredry czerpać materiał do takiej czy innej krytycznej oceny środowiska, które komedia ta charakteryzuje. Trzeba jednak zawsze mieć w pamięci, że jest to materiał zawodny. Na to aby go móc krytycznie wyzyskać, trzeba umieć odróżnić to, co jest konwencją dramatyczną, od tego, co jest zaobserwowanym rysem obyczajowym.

\*) Wstyd powiedzieć, ale nie mamy jeszcze naprawdę ustalonego, kanonicznego tekstu komedii Fredry. Istnieje co prawda wydanie krytyczne «Pism wszystkich» Fredry w opracowaniu prof. Eugeniusza Kucharskiego (Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1926). Mimo że jest to wydanie krytyczne, zupełną poprawność jego tekstu można postawić pod znakiem zapytania. Jeśliby np. zestawić tekst «Pana Jowialskiego» w wydaniu Ossolineum z tekstem innego wydania krytycznego, «Biblioteki Narodowej», okaże się, że oba teksty w niepokojąco licznych wypadkach różnią się od siebie. Oto przykłady różnic z pierwszej sceny pierwszego aktu: «obadwa» — «obydwaj»; «Karpab» — «Karpatów»; «zwieszzone» — «zawieszzone»; «dalecy od świata» — «dalecy świata»; «penzła» — «pendzla»; «Rosa» — «Roza». Nie mając do dyspozycji potrzebnych tekstów, trudno powiedzieć, który wydawca jest tu niedokładny; czy prof. Kucharski, w którego opracowaniu wyszły komedie Fredry w wydaniu Ossolineum, czy też wydawca tekstu «Biblioteki Narodowej» — również prof. Kucharski.

## DZIEJE DOME CZKU

### Do Krysi — córki

Nie ma nawet Twojego ciała, Krysiu.

Matka przez rok przekopywała Wolę, poczynając od kalwińskiego cmentarza, od tej ścieżki, po której szóstego dnia powstania wycofywał się ostatni, osłaniający oddział «Parasola» — wasz oddział. Przewoziła wykopywane ciała, potem nierozpoznawalną ich miazgę na Powązki. Ale Ciebie by poznała. Po plisowanej spódnicy. Po krzyżyku. Po włosach. Nie było Ciebie.

Dzisiaj od Ciebie przyszedł list, pisany do Marty w Ameryce jeszcze w 1943 r. List ten, w którym nie wiesz gdzie jestem, list, poświęcony wspomnieniom o mnie, o naszych z wami latach. List pisałaś z tarasu za naszym domem w dzień letni. Donosiłaś, że teraz jest pokryty dachem z bluszczu jak za waszych dziecinnych lat, że siedzisz na szezlongu, na którym leżą plamy słońca, że kiedy patrzysz przez żółte okulary poprzez liście w niebo, obłoki są dziwnie plastyczne, zieleni stokroć soczystsza, wszystko i nierealne i stokroć wyrazistsze. Jak Twoje wspomnienia o mnie. Piszesz, jak ciężko jest nie mieć ojca koło siebie, kiedy jest tak potrzebny.

Na ten list nie otrzymałaś odpowiedzi. Wzywałaś mnie na próżno, jeśli istotnie próżne jest wysyłanie żarliwej myśli. Teraz Ciebie nie ma i domku z tarasem nie ma. Tak mi ciężko, córeczko, że Ci nie odpisałem.

Powietrze naokoło drga Tobą, rzucam te pisane słowa w powietrze. Czy dojdą?

Matka technicznym fachowym głosem mówi o szczegółach tych tytuł dokonanych ekshumacji, o tym, jak na razie mogłaby

\*) Dwa fragmenty z ostatniej książki Melchiora Wańkowicza pt.: «Dzieje Domeczku».



poznać Ciebie, potem już tylko może plisowaną spódniczkę, potem już tylko «panterkę» — kurtkę kamuflażową w której strzelałaś z broni maszynowej w ten ostatni dzień, kiedy Niemiec za rogiem usadowił się z granatnikiem; potem Twoje warkocze odpadły od ciała; wreszcie już tylko ten krzyżyk przysłany w Twoim niemowlęctwie od załogi pancerkki. Te straszne szczegóły — to nie o Tobie, Krysuniu, bo Ty chodzisz pomiędzy nami, pochylasz przeczyste czoło, łuk brwi, ciepłe rumieńce twarzy, bo ciągle nam się zdaje, że stajesz w progu, pytasz: «Wołałaś mnie, Mušku?» Pamiętajsz, tak mówiłaś do matki.

Więc skoro tak Cię czujemy przy sobie, to może pochylasz się przez moje ramię i czytasz co piszę. Tak jak pochylałaś się, pamiętasz, a ja nagle w środku ważnego tekstu wystukiwałem o osiołku, który mi patrzy przez ramię.

Odpisuję Ci — na tamten list. Nie jestem już sam. Matka przyszła z Polski z małym neseserkiem, którego połowę stanowiły pamiątki o Tobie, wygrzebane w popiołach domku. Stoi teraz przy oknie i karmi gołąbki londyńskie. Nie wie, że piszę do Ciebie. Odwraca się do mnie i mówi swoim świeżym dziewczęcym głosem (pamiętasz, jak byłaś chora, prosiłaś bez ustanku: «Muśka, śpiewaj...»):

— Patrz, znowu ten wróbelek z kuperkiem bez ogonka przyleciał.

I nagle mierzchnie. Tyleż lat dało nawyk bezzwłocznie was wołać, abyście oglądały nie kończące się cuda. Pamiętam, kiedyśmy wyjeżdżali na Baleary, Frania ustawiła maleńką Martę na płocie stacyjki w Kościanie; dzieciak machał łapką, a potem otrzymaliśmy raport od Frani:

— Tili powiedziała: «Dobrze, że jus sobie pojechali, to będzie spokojniej».

Matka rozgoryczyła się na cynizm trzyletniego dziecka, a ja się zaśmiewałem. Bo tak już było, że Tili była Sancho Panchą, który za nic nie chciał się martwić. Ty, Krysuniu, zawsze byłaś Don Kichotem.

Pamiętasz? — to Ty przecie nazwałaś ją «Tili», zanim ją poprzeczywałem Tirliporkiem i inaczej. Było to w niedzielne letnie popołudnie w Prochach, kiedy wszyscy byli w kościele. Matka podeszła do toaletki, nagle chwycił ją kurcz. Nie zdążyła już położyć się do łóżka i Tili wypadła na dywanik. Łatwo jej przyszło pokazać się na świecie, łatwo potem było żyć na nim. Nie tak jak Tobie, Don Kichocie, wieczny «pytonie», którego namiętne «dlaczego?» schły i wędły wobec często bezradnego ojca.

Wtedy przyszedł z kościoła, pochylałaś się nad młodszą o niecałe dwa lata siostrzyczką i powiedziałaś z wielką czułością:

— Tili-nóżki, tili-rączki; malusieńka Tili-Tili...

I tak już została: Tili. Dla matki w jej listach jest zawsze (a

wiesz, że ma już dwie córeczki?) jest zawsze: Tili, Tilusią, Tilusieńką — tak, jak Ty ją nazwałaś.

Traktowałaś zawsze tę młodszą siostrę z laskawą wyrozumiałością jako «malca», ale dla nas rośliście, oddaliśmy was do jednej klasy, ojciec wam organizował te same «skapady», matka te same kinderbale. Byliśmy z matką jak dwie pliszki, zbierające dla was ciekawości po świecie.

Więc i wtedy, na Balearach, kiedy w Valdemozie drogę do celi Szopena zagrodziła nad kwoka ze stadkiem ledwo wylęgniętych kurcząt, pamiętam, powiedziałem z żalem:

— Szkoda, że dzieci nie ma.

I roześmieliśmy się z matką, że macie tego na wsi do woli w tej właśnie chwili.

Teraz — wiem, czemu nagle zmierzchnęła twarz matki. Długim nawykem chciała wam podać tę ważną wiadomość o wróblu z podskubanym kuperkiem, przylatującym na londyńskie okno i okazało się, jak się okazuje po sto razy w ciągu każdego dnia, że was nie ma.

Matka podeszła od okna do mnie; zdążyłem zasłonić ten list do Ciebie.

— Taki sam wróbel bez kuperka nocował u mnie w Warszawie. Mieszkałaś w rozbitym domu na Saskiej Kępie. Nie było ani jednego wróbla w kikutach rozbitej Warszawy. Pamiętasz drzewa na skwerku na Bielańskiej, pełne wróblego ćwierkania? Teraz nie było ich, uciekły. Nie było ich ludzkich braci, gazeciarzy; nie było kwiatów na skwerach, ciepłego zaległego życia po sklepikach. Wyciekło życie, pamiątek po nim szukaliśmy pod ziemią, odgrzebując poległych.

I nagle, kiedy zatliły się życia na Saskiej Kępie, wróciły na nią wróble. Sypałam im resztki mojej kaszy, której było tak skąpo. Tak krzyczeli, tak się bili o te kruszynki (pamiętasz? — zawsze w naszym domeczku mówiło się o tym, co zwierzęta robią w formie osobowej). I tak już przynęciło się i tak grało zawsze to ćwierkanie wkoło rozbitego domu.

Pewnego razu wróciłam do domu późno — mogłam już teraz kopać na Woli tylko po skończeniu się lekcji w naszej szkole. Gdy weszłam, chmara wróbli gospodarowała po moim pokoju. Uciekły pośpiesznie i z wielkim harmidzkiem przez wybitą szymbę. Zobaczyłam, że na nieczynnym piecu został mały wróbelek bez ogonka. Znałam tę śmieszoną kuleczkę, przylatywał co dzień z rodzicami. Czemu został?

Zagotowałam mleko, to był mój obiad tego dnia. Zastanawiałam się, czy mu dać kruszek, ale był już napuszony w kuleczkę. Wzruszyłam ramionami: «Chcesz, to siedź» i położyłam się. Nagle maleńtas sfrunął na poręcz łóżka nad moją głowę. Nie chcąc go wystraszyć, przesunęłam poduszkę ostrożnie na drugi koniec i poczęłam czytać.

Trudno mi było zasnąć: to bardzo boleśnie, kiedy wraca ży-

cie do tych, którzy z niego wyszli, kiedy dopukuje się choćby słabym dziobkiem wróblego pisklęcia.

Tej nocy po raz pierwszy przyśniła mi się Krysia. Była w długiej nocnej koszulini z ciemnymi warkoczami spływającymi na ramiona.

Kiedy zbudziłam się, chwyciła od razu straszna rzeczywistość. Tym razem jednak mały wróbelek spał napuszony na poręczu łóżka. Wiesz... głupie są uczucia ludzkie... chciałam się ludzić, że... to dusza... dziecka...

Mama zmilkła. Taflę powietrza za oknem przecięły z ostrym krzykiem mewy, wróbelek z podskubanym kuperkiem znikł.

— A tamten? — spytałam.

— Z gwałtem wielkim, z emocją i z harmiderem wleciały przez rozbite okno dwa stare wróble i zabrały... dziecko...

Tego dnia znów poszłam kopać na Woli. Ale już potem tylko na parapet przylatywał.

Wiesz, Kysiu — znowu zapukało do rodziny prawdziwe własne życie. Córeczka Tilusi, urodzona w Ameryce. Nazwała ją Anna-Krystyna. Anna — Twój pseudonim w powstaniu. Mała Ania już podobno umie przebiec kilka kroków sama z rąk matki w ręce ojca. Wiele lat minie, nim zaczniesz coś pojmować o Tobie. A może zwała obcego świata będzie tak przytłaczająca, że nigdy nie zrozumie Twojej barykady ani Syberii mojego ojca, ani drobnego obyczaju, o którym wspomnienie płynie przez ręce matczyne w tym szarym dniu londyńskim.

Ale przecież... nawet gdyby nie rozumiała — żyć będziesz w jej «serca prawym niepokoju», w jej duszy ludzkiej nierozumnej, która tłucze się o rzeczywistość.

Chcę, Kysiu, żebyś w duszy Ani żyła nie tylko jako spadek nad siły, ale i jako dzień powszedni, uśmiech niefrasobliwy, nawyk swojski, kształt swój choć niedoskonały. Więc piszę — dla Ani — tę książkę, jakbym w dłonie wziął ciepły kłębuszek życia i niósł między szare mury drapaczy w ten doskonale zorganizowany straszny świat.

Żyjesz, Krysuniu. Żyjesz i żyć będziesz.

## Rozmowa w bibliotece

Mama wchodzi do biblioteki, w której King czyta. Właściwie, biblioteka nie jest miejscem porządnej pracy, tylko bałaganienia się intelektualnego.

Mama wierzy we fluidy i pokój przymierza do rozmowy. Z rachunkami, kwestiami natury gospodarczej, rozplanowaniem czasu, wizyt, sprawunków przychodzi zwykle do gabinetu. Dobrze jest układać sprawy przy odmierzonej r e f e r e n c e s b o o k s i kilku encyklopedii, przy tej lampie z błękitnym światłem, kręcącej się na różne strony, nożycach do papieru, uwieszonych na sznurku, przystawionym stoliku żaluzjowym z wiecznie gotową maszyną do pisania, telefonem na biurku, mając za świadków te tam różnokolorowe ołówki, kleje, spinacze. W salonie nigdy rodzice nie rozmawiają ze sobą — jest to najgłupszy z pokoiów. O dziecinnych sprawach, zwłaszcza z dziećmi, mówi się często u nich w ich ciepłutkim, wesolutkim jak piskłące gniazdko pokoju. Na tarasie mówi się o rzeczach przyjemnych, którym nie przeszkodzi zabiegający żaden z ludzkich ani zwierzęcych domowników. Na kanapkę mamina wzywa się Tatę, kiedy ma dostać mycie głowy i Mama chce być koniecznie górą.

King siedział przy kominku w głębokim fotelu, mając przed sobą specjalnie przystosowany pulpit, na którym leżał atlas geograficzny i rocznik statystyczny. Zsunął pantofel i dotykał nogą zwiniętego na dywanie Gawła. Kiedy ręka Kinga spocznie na kolanie, Gawł podnosi piernikową szurpatą mordę i dotyka jej czarnym, ruchliwym, zimnym i wilgotnym nosem. Chińska filizanka, cienka, jakby zrobiona ze ścianki osiego gniazda, zawsze ta sama, stoi wypełniona do połowy niemal ciemnym miąższem po tureckiej kawie. King gryzie cienki, bardzo płaski munsztuk Dunhilla, choć fajka już się zapewne wypaliła. Biblioteka, oświetlona tylko przyćmioną lampą, wbudowaną w komin, jest przesiąknięta lekkim zapachem kawy, tytoniu i żywicy, którą się perlą trzaskające polana. W pokoju dobrym do pracy powietrze też musi być umeblowane, nie może być bez wyrazu.

Mama siada naprzeciwko na fotelu i King wie, że będzie jakaś ważna i ciekawa rozmowa. Biblioteka, ściśle wyłożona puszystym, ciemno-żółtym dywanem, opłynięta takimiż ciężkimi kotarami, z wielkim kominem projektu Tołłoczki, idącym aż do sufitu, zrobionym z surowej wyprawy wapna, z jedynym ornamentem wstawianych na kant dachówek, barwionych bydłącą krwią, wmurowanym piaskowcem z surową herbową strzałką, cegiełkami malowanymi przez Lorentowiczównę na tematy wszelakiej scyjencji i makatą żółtą w nielicznych miejscach pozostawionych ścianie przez półki i boazerie dębowe — jest

miejscem wypoczynku. Jakże przyjemnie jest brać w palce katalogi klamrowe tematyczne, katalogi klamrowe nazwiskowe i dysponować sobie najróżniejsze menu, dodając tego, podsypując owego, sprawdzając jedno drugim.

Mama patrzy na atlas i na rocznik i pyta dobrotliwie:

— Kwiczoly?...

Jest to znowu słówko rodzinne. Pochodzi z czasów budowania domeczku. Zaistniało zagadnienie przeciągnięcia windy z kuchni na dole przez stołowy i pociągnięcie wyżej — do Mamy pokoju — i wyżej — do dziecinnego. Mama nie chciała żeby było widać windę, Tołłoczko wykombinował kredens, idący pod sufit i w jego części przeprowadzoną windę. Od kredensu szły w bok dwie skrzynie-regały na bieliznę stołową, wbudowane w boazerię obiegającą stołowy. Wobec tego Mama nie chciała mieć «ciężkiego grata», «organów», «czuczeło jakieś dębowe». King musiał wymyślać, jakby tu rozwiązać i wykorzystać tę arkę Noego. Stolarz, nie zapomniany pan Herodek, dumny z tego, że w Brukseli robił sypialny dla Cleo de Merode na zamówienie Leopolda Belgijskiego, pocił się i sapał. Geniusz mu się otwierał dopiero po wypiciu całej butelki śliwownicy jugosławańskiej, rocznik 1890, z niebieską etykietką. Imię Herodek, już takiejże śliwownicy z 1895 z etykietką czerwoną nie uznawał, jak nie bardzo chciał uznawać innego Martella niż ten z drobnym maczkiem napisów «extra» na etykiecie. Trzeba było czekać, aż stęknie z głębi grubego brzucha, podniesie wołowe oczy i zachwali: «*C'est fort, mais ce n'est pas méchant*». W stosunku do mebli nieważnie przeważnie pogardliwie: «*C'est vieux, mais ce n'est pas ancien*». Po tej pochwalce trunku można było dopiero przystępować *ad rem* planowania, omawiać ułożenie słoń «w pióro» na drzwiach jesionowych, taksować okropny dyrektoriał, przystąpić przez starozakonnego Siemradzkiego z Kalisza, (który Herodek upierał się «immediatement» zwalić na opał) i patrzeć jak staremą mgłą zachwyty zachodzą oczy, kiedy próbował gładkość politory na kancie jakiejś robaczywej komódki Biedemaier. Pan Herodek prychał, pomstował, drżał z oburzenia na «koczkodana z windą» i strapiony King, który ubrał sobie teorię, że wszystko jest piękne, co jest w najwyższym stopniu celowe, był osaczony przez komplot Królikowo-Herodkowy.

I wówczas «badzając się» z tym kredensem, budując i przebudowując jego szuflady, regały, półki, ślepe drzwi, podwójne dna i skrytki — począł sobie marzyć. A co by było, gdyby wróżka powiedziała:

— Dam ci taki bufet, że w każdej szufladzie będzie co innego; zawsze gotowe do jedzenia, zawsze gorące. Planuj tak, byś miał największy jadłospis.

King pocił się, rozplanowując setki szufladek, wyszukując pudełka ze smakołykami jak najmniejsze (jedno wyciągniesz,

a już na jego miejsce jest następne). A cukry? A napoje? Na takiej małej przestrzeni?

Innym razem wróżka była złośliwsza:

— Będziesz miał zawekowanych tyle ptaków jadalnych, że każdego następnego będzie dwa razy więcej, niż poprzedniego. Ale warunek, że nie może być dwu ptaków jednakowej wielkości.

Im więc większego ptaka wybierze się na początek, tym większa ilość wielkich ptaków będzie na końcu. King próbował więc mieć jednego mysikrólika, dwie sikory, cztery wróble, osiem skowronków (tu była obawa, czy skowronek nie jest równy wróblowi i wtedy przypadnie dar wróżki), aż dochodził do weków z kilkudziesięcioma tysiącami kazuarów i około milionem strusi; wówczas miałyby zapewniony byt do śmierci. Ale wróżka wyraźnie powiedziała «jadalnych», wobec czego odpadł mysikrólik, musiały odpaść skowronki (powołanie się na francuskich skowronkożerców jak i na Wiochów, zapychających «ucellini» mogłoby nie uchronić od zarzutu kantów), trzeba było poczynać od: jeden kwiczol, dwa bekasy, cztery przepiórki. Czy też odwrotnie: jeden bekas, dwa kwiczoly? Który większy? — dręczył King Bogu ducha winnego Królika, tak znakomitego kuchniologa, że na wycieczce kajakowej położyła na patelni kawałek mięsa wielkości orzecha, będąc przekonana, że mięso tak samo rośnie, jak baba w piecu, co widziała na własne oczy u Reginowej. «Daj mi spokój ze swymi kwiczolami» — opędzała się z oburzeniem — «dorosły bejbak takimi głupstwami się zajmuje».

Trzeba było machnąć ręką na pomoc od ludzi. Ale od czego eksperienca kulinarna? Powołało się... *ambelopulia*, ptaszki jak mak, objadające cypryjskie figi, dobre w marynacie, znane jako «cypryjska ostryga», ale kazuar i struś musiały wypaść z jadłospisu, sprawa kończyła się głuszcem, choć z okropnymi obawami, że indor okaże się teźże wielkości. I rezultat końcowy był o wiele mniej imponujący.

Mama więc teraz pyta — czy znowu «kwiczoly»? Okazuje się, że — tak. Tym razem kwiczoly publiczne, równie durne, jak kwiczoly kulinarne. Że, powiedzmy — wróżka daje Polsce tyle a tyle kilometrów dróg, tyle a tyle inwentarza, tyle a tyle surowca, takie przewarstwienie ludności, takie oto przebudowy hydrograficzne, tyle a tyle budynków, szkół, szpitali, tyle obraziarek itd. To wszystko jest związane bardzo srogim warunkiem: ma-być streszczone w dziesięciu żądaniach w ciągu dziesięciu minut, przy czym żądania muszą być celowo powiązane ze sobą i proporcjonalne. A tu albo rezerwa pieniężna (co do której wróżka zastrzega, że musi być stosunkowo minimalna) jednak okaże się zbyt mała, by otrzymane świadczenia materiałowe same obstały, albo nadmierne wyposażenie jednego działu wywoła korek w drugim, albo w tymże samym dziale nie przetrawi się wszystkiego, wskutek zbyt małego przewidywania w przewarstwieniu majstrów, albo tych majstrów za wiele

się zaplanuje i pójdą do nie właściwej roboty — a za każdym razem wróżka mówi, że cała umowa na nic i odmaszeruje ze wszystkimi ofertami, tak jakby odmaszerowała, gdyby w łańcuchu wędowanych ptaków wziąć dwa kolejne gatunki jednakowej wielkości.

Tata więc, choć w bibliotece jest tak zacisznie i przyjemnie, bardzo ma wiele kłopotu i z atlasem i z rocznikiem. Mamy mu trochę wstydu. Nie raz ze sobą rozmawiali, że takie «kwiczotowanie» jest spadkiem umysłowości szlacheckiej, żerującej na przywilejach, spadłych z nieba, na «jakoś to będzie», na «ni z tego ni z owego będzie Polska na pierwszyego», na słomianym ogniu, na marzeniach, na planach bez pokrycia.

— Cóż chcesz? — bąka King, nakryty na gorącym uczynku — każdy musi jakoś wypoczywać. Co to lepszego grać w bridża, albo czytać powieści detektywne. A Ty z czym?

A Mama z tym: że te nalegania Kinga, aby od przyszłego roku przenieść dziewczynki do państwówki nie mają sensu. Rozbuchasz dzieci, uczysz je tylko szukać ciągle i ciągle czegoś, żeby nie było nudno. Pięknie to nazywasz, a co to jest w gruncie rzeczy? Pogoń za życiem ułatwionym. Tam u zakonnic przynajmniej jakiś sens moralny rządzi życiem. Niech będzie atmosfera zabarwiona tak czy inaczej, ale niech będzie. Ot, zobacz, ta poczciwa łacinniczka, siostra Laurenta, czyta im teraz Plutarcha «Żywoty sławnych mężów». Co się ciągle natrząsas z tych «okrętów strzaskanych»? Niech sobie.. A Plutarcha wolę, niż wypisy szkolne z ełożami panów Prztypryckiego i Iksińskiego. W rządówce jest wypompowana wszelka atmosfera. Wieczne «wkroczył» (to znowu słówko-wytrych; na wszelkich obchodach powtarzało się dzieciom do znudzenia, że 6 sierpnia Komendant wkroczył, że siedmiu ludzi niesło pięć siodeł, czy też odwrotnie; kierunek Piłsudczykowski, nasiąkły bohaterską młodością, nie był w stanie stworzyć nowych wartości, czekał na zmianę warty, której tak bardzo nie było widać).

Nie wiem, czy istnieją rozwścieczone króliki, ale jeśli są, to akurat takie. King, wsprawiony w hodowli Królika, mówi, patrząc w ogień, że tak, że istotnie, że może racja. Wtedy zwykle Królik traci kontenans. Gaweł wstał, położył jej głowę na kolanach i patrzy orzechowymi oczyma. Polano trzaśło i prysnęło ogniem — na ciepło, na znak.

— A co Ty myślisz? — dopiero wtedy pyta Królik.

— Siostra Laurenta... Plutarch... — bardzo pięknie. A jak Ci się podoba książeczka, którą dziewczynki obdarowała gruba i poczciwa siostra Barbara?

Królik, pełen zdumienia, składa ręce. Książeczka mówiła o ubogim, cnotliwym dziewczęciu, mieszkającym z matką w chałtynie pod lasem; dziewczeczka wróciła prędkiej z kościoła, by matkę uwarzyć ubogą strawę, ale za nią spod kościoła pośpieszył młodzian, pałający ku niej nieczystą miłością. Trudno dać streszczać tkliwo-cnotliwo-bogobojny język Żywotów Świę-

tych Pańskich w przystosowaniu dla kucharek, dość że młodzian, kiedy cnotliwa dziewica odmawiała, zgwałcił ją i zamordował; mateńka, po nagadaniu się z kumoszkami, zastała zamiast obiadu spreparowaną córkę i nie tej sadystyczno-seksualno-kryminalnej historii nie mógł osłodzić fakt, że dusza cnotliwej dziewczicy znalazła się w raju.

Królik wogóle ma biedę z lekturą Dudów, szmygających po bibliotece. Trudno do czegokolwiek zakazywać wstępu, trudno zabraniać jakiejs książki, ale jakże nie wyrwać z rąk «Zmór» Zegadłowicza, które King przywłókł do domu. King się irytuje, że nie będzie zastawiał sitem «wpływu» do biblioteki, według potrzeb młodszych klas w zakładzie «ciotek-babek», więc Matka, jak kokosz osłaniająca pisklęta, stara się działać prewencyjnie.

— Tyliszu — wykrzykuje — czytasz «Szczenięce lata»? — i mdleje ze zgrozy na myśl o ustępach, w których ten niemożliwy King pisze o swoich nieudanych próbach tracenia niewinności.

— Ja jej, Mamusiu, pospinałam agrafkami miejsca, których nie ma czytać — uspakają Krysią, starsza o nie całe dwa lata.

— Widzę, że je chcesz jednak zabrać od siostr — mówi Mama — co im dasz na to miejsce?

— Pytasz, co im da państwówka? Twardość życia, której nie mają w domu — przechodzi do kontrataku King — są tam ubogie dziewczyny z różnych sfer, biedne nauczycielki, zmuszone dla kariery urzędniczej rozbudowywać «Straż Przednią». Jest atmosfera rozpychania się łokciami. Im prędzej, tym lepiej.

— Ależ to przecie okropne...

— Pewno, że lepiej, żeby dom dał im twarde życie. Ale z Tobą... — macha ręką King. Akurat pod oknem przesuwa się Krysią, wracająca z maneżu w bryczesach i meloniku — czy koniecznie musi jeździć z tymi snobistycznymi małpoludami? Bo naparła się? Cóż, dobry powód. A języki jak skała, bo ją to nudzi. Ach, Krysiuni to nie zajmuje, ach—trzeba przerwać!.. Z każdej lekcji, z każdego zajęcia zabierasz je, ile Ci razy trzeba, na jakieś hocki-klocki.

— Ależ Ty sam rozpuszczasz dzieci.

— Po pierwsze nie rozpuszczam, a po drugie, to moje prawo. Ja zarabiam na chleb, Ty rządysz domem. Ja tylko pomagam. Ty musisz tworzyć prawo domowe. Im twardsze, tym lepsze. Tym mniej łupnia od życia dostaną.

King spodziewa się kontrataku. Ale Mama podnosi w zamysleniu oczy na ogień i mówi cicho, jakby sama ze sobą:

— Co ja zrobię... Nim urodziła się Krysiunia, myślałam wiele o wychowaniu, czytałam książki pedagogiczne, sądziłam że coś wiem... Ale porodziły się takie inne. Ani w Ciebie, ani we mnie. Przecie Tili zawsze twierdzi, że jest podobna do Frani. Takie chłopskie dziecko, kmiotek-roztropek. Pamiętam, miała dwa latka, ledwie to mówić mogło. Widzę, że usiłuje uderzyć

kijem muchę, chodzącą po szybie. «Czemu chcesz zabić muchę?» — «A po co tu łązi?» Raz po raz zaskakiwały mnie w tym moim naczytaniu. A Krysia — płomień na wietrze... Więc już tylko sobie powiedziałam: idź za dziećmi w ich rozwoju, a nie przed dziećmi; nie nie wymagaj, wszystko porządkuj, tak jak ich zabawki po skończonej zabawie; nie mniej swego ideału dziecka, do którego je będziesz podciągać; nie chciej je mieć takie, jak sobie wyimaginowałaś — patrz co z gleby rośnie; nie obciążaj ich sprawami starszych; niech mają prawo do dzieciństwa.

Tata z upodobaniem patrzy na Mamę. Kiedy się tak rozświetla, mówiąc o dzieciach, jest jeszcze piękniejsza, niż za narzeczeńskich uniesień. Duszę Taty zalewa wdzięczność za ten «pan-teizm» Mamy. On sam, na równi z dziećmi uczy się od Mamy, że każdy robak myśli, kwiat cierpi, przedmiot martwy ma minę zdradzającą, że mu przyjemnie, lub nie przyjemnie. Stąd przekonanie, że dusza dziecinna jest czymś tak zachwycającym, samolubnym, samokwiatnym, co chwila zmiennym, że tknąć tego nie wolno, tylko osłaniać od wiatru i patrzeć jak rośnie. Stąd — ten najgłębszy, słowami trudny do określenia stosunek Mamy do otaczającego życia, sprawiający, że ludzie nablizający się do dziecinnego życia nie są klasami, zawodami, warstwami, tylko samodzielnymi każda sobie duszami, które dookoła nas rosną, jak rośliny w ogrodzie.

— Ty mówisz — uspokaja się i Tata, sięgając do przełącznika i pozostawiając tylko światło stonowane — że dzieci rozwyrzdam. Musi być podział ról — my z dziećmi maszerujemy naprzód. Ty porządkuj, pilnuj.

— Ale Ty mi dajesz zbyt trudną rolę. Musisz oglądać się na moją robotę, jak ja pokrywam Twoją. A czy to łatwo? Wczoraj był znowu «Korzonek św. Sulpicjusza», on taki dumny ze swoich synów, tyle w nich wkłada. Mówi — «moi synowie nigdy w ustach nie mieli nawet kropli wina», a Ty mu: «A moje dzieciwczynki już dwa razy były pijane». I to przy dzieciach. Mniejsza o to, że Korzonek zaniemówił i powtarzać będzie licho wie co. Ale potem nie mogę sobie dać rady z dziećmi, na wszystko jest odpowiedź, że Tata na to by pozwolił, że Tata tego nie zabrania i ten protekcyjny ton do Królka.

— No, pewno, że są niebezpieczeństwa przy tym wychowaniu. Ale jaka generalna zasada? Żeby nie zwalczać tzw. pokus zakazami, bo na dnie pociągu do pokusy leżą zwykle naturalne pobudki. Tylko wysunąć inną, szlachetniejszego typu atrakcję. Pamiętasz jak małego chciało się «neronic»? To wtedy kupiłem składak. Na pierwszą wycieczkę pojechaliśmy Wkrą, obnosiliśmy szesnaście młynów, wymariliśmy się — i grzeliśmy się, wygłodnieliśmy i obżeraliśmy się. Wyneroniliśmy się po swojemu. A Korzonek — zabrania spróbować alkoholu. Zobaczysz, chcesz zrobić wieczorek. Spróbuję jego flancem zaproponować wino. Zobaczysz, jak się przypną.

— No dobrze, ale dusze dziecinne chcą nie tylko wyżycia się, ale i ideałów. Jak im nie pomóc?

— To potem przyjdzie, wraz ze *Sturm und Drang Periode*. Nie wierzę, żeby dziecko do lat czternastu potrzebowało coś formułować. Ono w tym wieku tylko gromadzi. Wczoraj znowu przyszedł ten drab, co udaje, że mu się koło rozsypało i musi przymusowo sprzedać drzewo. Narwał się, zapominając, że już raz Węza oszukał. Widzę, stoi i wyklóca się z Wężem. Wziąłem za kark i wypchnąłem. Narobiło się nieco hałasu, oglądam się — procesja schodzi z góry: Krysia, za nią o stopień Sancho Pancho. Obie beczą. «Co się stało?» — pytam. A Krysia, pochlipując: «A może ma żonę?» A Tili także: «A może ma dzieci?» No więc co? Czy wróca do swego pokoju i na kolację już przyjdą z gotową teorią? Ze ojciec, w gruncie rzeczy sam przed sobą znalazł godziwy pretekst, żeby dać po karku, rzekomo za oszustwo, kiedy po prawdzie mówiąc, był oburzony, że drab śmiał zadzwonić z frontowego wejścia? Czekać, wylezie to kiedyś. Ale tymczasem tylko zmagazynować. Jeszcze się narobimy po łokcie układając w swoim czasie ten *bric à brac*. Ale niech będzie co układać. A jak się zwykle robi? Śliczny chłopaczek, puściutka jeszcze pięcioletnia główka, jak złoto hasa na kijku. Woła się go i dopiero pita odchodzi: «Kto ty jesteś?» «Jaki znak twój?» «Czym ta ziemia?» «Czym zdobyta?» Połakierują takie futerały, wszadzą dzieciaki i każą paradować. A ja chcę, żeby rozkręciły każdy zegarek.

— Ale przecie w Anglii, która hoduje zdrowych ludzi, co dzień przez stulecia ojciec czytał dzieciom Biblię, a teraz taką biblię ułożono im na każdym polu. Młody gentleman rośnie w zasadach sportowych, etycznych, obyczajowych, towarzyskich. Jakże to osiągnąć inaczej, niż dając formułki? Chcesz hodować dzieci jak jakich Tarzanów, dzikoludów aż do pełnoletności. Potem myślisz, że złapiesz tych dzikoludów na łąso i mając wyhodowany świetny surowiec — ukształtujesz? Może być za późno.

— Ale i Ty zaczynasz mówić paradoksami, choć na mnie za to się irytuje — broni się King, biorąc dwoma palcami czarny psi nos i z lekka go ściskając. Trudno mu wyjęzyczyć się, szuka jakiejś formuły na to co czuje. — Widzisz, Zachód to nie my. My jesteśmy kraj przejściowy. Możemy ze Wschodu i Zachodu brać i to co dobre, i to co złe. Dobre nabywa się większym wysiłkiem, więc i stąd i stamtąd bierzemy złe. Anglik jeśli każe dziecku wierzyć w gotowe formułki, jeśli strzyże od kolebki duszą dziecinna, to za to jej coś daje — podbudowę charakteru. To właśnie Twój układ z dziećmi w drodze w mróz z Kowna. U nas wystarcza, jeśli się dziecko przystrzyże, bez zasilenia gruntu. Można, jeśli komu wola, strzyć gęsto rosnący żywoptół. Ale jak możesz nadawać formę rozchwiejano rzadkiemu krzakowi? Jedyna jego forma, od Boga dana, to rozchwiejność. Tak hoduje ludzi Wschód. Ale na to jesteśmy zbyt zachodni. Ostrzy-

żemy każde *Bogoiskatielstwo*. I tak nasze wychowanie płynie: nie szukaj na własną rękę Boga, boś Zachód, nie maszeruj w glidzie, boś — eufemicznie mówiąc — Polak, co się w gruncie rzeczy jednak wyklada — boś Wschód. Z tego wiesz jaki powstaje krajobraz świata? Aż po Zbąszyń — strzyżone szpalery. Od Stołpców do Władystoku (nie mówię o przejściowościach bolszewizmu, tylko o dziejach) — wielki las popróchniałych, pokancerowanych drzew, pełno w nich dziupli smrodliwych, płazów, próchnicy — ale szumi. A pomiędzy tym i tym, ktoś się szpetnie zabawiał... leszczynę usiłując strzyc w geometryczne figury. No, co najlepszego mogło u nas wyrosnąć? Zeromszczyzna, która tak się ma do Dostojewszczyzny, jak podstrzyżona leszczyna do wypróchniałego dębu. Judym? Nonsensy!... Poszlachecka Zeromszczyzna; wszystko po to, żeby móc słowami bez pokrycia wykręcać się od rzeczywistości. Anglik, codziennym poddawaniem się przepisom płaci za swój światopogląd. Przecie każdy z nas nie będzie za swój płacił rozstawianiem się z jakąś Joasią. Więc trzeba konwertować. Konwertuje się na to, że «jak trzeba będzie, to się umrze». I umrze się, pewnie, jeszcze jak... Ale tymczasem można z niczym się nie liczyć. Lekarz z jednego z naszych statków opowiadał, że wszmugłował jednym zamachem sześć maszyn do pisania z Ameryki. Z jaką dumą, z jaką chętnością. W towarzystwie, publicznie chwalił się, że oszukuje państwo. To można, bośmy nie w jeden rząd wystrugani Niemcy, czy Anglicy, bośmy pełni fantazji Polacy. Ale temu pełnemu fantazji Polakowi nie pozwoli się na anarchię, nihilizm, *Bogoiskatielstwo*, bo jesteśmy ludźmi Zachodu. Et!...

— To «et!» oznacza, że King jest nie zadowolony, że zasypał Królika słowami, w które sam się uplątuje. Na szczęście, dzwoni gong na kolację.

— Jedno wiem — mówi, wstając z fotela — że na Europę idzie szpetny czas: totalizm. Dawna epoka indywidualistyczna musi być rozbita i nic jej nie rozbije, poza totalizmem. Na ten szpetny okres rosną nam dzieci. I nie wiem, czy nawet w późnym swym życiu doczekają syntezy, nowej epoki, w której w maksymalnie planowym społeczeństwie, będzie się rozwijał maksymalnie wolny człowiek.

Ze stołowego pokoju dochodzą już głosy dzieci. Rodzice zatrzymali się w progu.

— Więc cóż będzie z nimi? — pyta Matka. — I jak je przygotowywać na to co idzie?

King boleśnie wzrusza ramionami. Głównie na kominku przycasają, Gaweł już wywędrował, czując zapach półmiska.

— Nie wiem. Wiem jedno: jak jest trudno szukać drogi, to trzeba iść za instynktem. Niech rosną soczyste ludki na nową epokę, której ani nie rozumiemy, ani nie możemy ogarnąć. Cóż, każdy na drogę do tej nowej stajenki, nad którą jeszcze nie wypłynęła na niebo żadna gwiazda — bierze do kobiątki co ma.

Mają w spadku kulturę sobiepańską, kolorową, niechże w niej rosną. Za Boga niech nie mają dusz zestawionych z lakierowanych tubek z zasadami. «Moje dziecko nigdy nie dotknie kart». «Przyrzekło mi to na całe życie»... Cholera — a własne moje szczeniaki już grają w bridża. Te lakierowane futerały, kiedy katastrofa dziejowa dusze ściśnie, popękają, posypią się jak tynk, odlatując bezbronną larwiastą duszę...

I znowu czuje, że mówi nie to. Biblioteka już ciemna, tylko w głębi błyszczy żar. Rodzice wchodzą w jasny krąg stołowego, gdzie Dudki i Gaweł pograżone są w jakiejś ożywionej, ciepłej, nie frasobliwej rozmowie.

King rozkłada serwetkę na kolanach i mówi do Mamy:

— Wiesz, co Moskale nazywają «do czortikow dogoworitsia?» Ale przecie — Ty jesteś Mama z mazowieckich piaseczków, z katolicką Madonną, z krzyżykiem na dobranoc — może nie dopuścisz «czortikow»?

Melchior WAŃKOWICZ.

## Dwa światy i wiatr

Za oknami szumiał wiatr. Dnia tego wiatr szedł nierównymi falami, gwałtownymi, potężnymi skokami. Były między tymi skokami przerwy — chwile prawie że zupełnej ciszy. Potem uderzenie wiatru wydawało się tym silniejsze, tym bardziej w swej wściekłości niezrozumiałe.

Andrzej stał przy oknie i patrzył na zawilą grę szarpanych wiatrem gałęzi ogromnych dębów i topoli, przed domem. W grze mknących ku górze i zaraz potem opadających bezlistnych gałęzi, rwanych i szarpanych potężną siłą, w ich zawilym, dzikim tańcu nie było logiki. Trudno było uchwycić sens, ustalić celowość skomplikowanego rytmu tego tańca. Był natomiast w drzewach bezradny protest. Protest, który wybuchał hukami uginanych gałęzi, świstem tłoczonych ku ziemi konarów. Protest, który szumiał — szumiał swą nikomu niepotrzebną i przez nikogo nie rozumianą melodię.

Andrzej odwrócił się od okna. W pokoju było ciepło i przyjemnie. Siadając przy biurku machinalnym ruchem swych zaczerwienionych i zawsze lekko spoconych rąk wygładził włosy na skroniach. Był to ruch, który towarzyszył Andrzejowi od dawna. Stanowił on niezaprzeczalny element sylwetki Andrzeja, był z nią zrośnięty w sposób charakterystyczny i jednocześnie nie nie mówiący. Siadając, Andrzej pomyślał jeszcze raz o szarpanych wichrem drzewach. Potem — już z odcieniem niezadowolona myślą o czekającym go dniu. Dzień, który Andrzej miał przeżyć zapowiadał się równie monotennie i spokojnie, jak długi szereg dni poprzednich. Minie też on zapewne przy huczącym akompaniamencie wiatru równie niewidocznie, jak wszystkie inne. Za chwilę cichy, spokojny pokój, w którym Andrzej pracował zarozi się od ludzi. Gwar rozmów urzędowych i nieurzędowych opowiadań, dzwonek telefonicznych i nawoływań zaguszy szumiący i nikomu niepotrzebny protest drzew.

Dnia tego, do pokoju wsunął się pierwszy oficer belgijski. Był w stopniu majora i Andrzej zawsze z należnym szacunkiem, trochę niezręcznie i trochę nonszalancko wstawał z krzesła na jego widok. Zawsze też, major belgijski powitania tego jakby nie dostrzegał, szedł, lekko pochylony wprost do swego biurka i zasiadał, mrucząc swe ledwo dosłyszalne: Bonjour mon Lieu-

tenant. Potem z głową opartą na rękę, nie odrywając niemal wzroku od rozłożonych przed sobą papierów, pracował nieruchomo aż do obiadu. Nazywano go powszechnie profesorem. Był też, podobno, znanym w Belgii archeologiem. Miał żonę i dzieci w Mons i czasami, bardzo rzadko, o nich mówił.

Dzisiaj wszedł do pokoju lekko sapiąc i nieco zdyszonym głosem powiedział:

— Co za wiatr, prawda — ciekaw jestem, co ten wiatr nam przyniesie?

— Może deszcz — odpowiedział lakonicznie Andrzej.

Profesor spojrzął swym nie niewidzącym wzrokiem na Andrzeja i szybko siadł za biurkiem.

Zapanowała cisza. Andrzejowi zrobiło się niewyraźnie. Nagle i po raz pierwszy uświadomił sobie, że profesor należeć może do typu ludzi, którzy ciągle na coś czekają. Że prawdopodobnie, niezadowolony ze swego położenia, czeka na jakąś zmianę cierpliwie, niewidocznie, w ukryciu. I cała paradoksalność pochylonego nad papierami profesora, łączącego swe nadzieje z szumem potężnego wiatru stała się niespodziewanie dla Andrzeja oczywista.

Tymczasem profesor oparłszy głowę na rękę, zastygł w bezruchu.

Pokój zapełniał się teraz nadchodzącymi towarzyszkami pracy.

Był major czeski, gruby, z obwisłymi policzkami, zawsze starannie wygolony i z błyszczącymi, mistrzowsko wyczyszczonymi butami. Major czeski mówił dużo, ruszał się hałaśliwie po pokoju, zacierał ręce i łakomie, z wyrazem zadowolenia, jadł podawane w messie posiłki. Poza tym myślał o robieniu pieniędzy. Nie znosił też, gdy czasami rozmowa, co prawda bardzo rzadko, ale i to się zdarzało, schodziła z niewiadomych przyczyn na jakiś poważniejszy temat. Wtedy swym mocnym głosem huczał: Ależ panowie, nie jesteśmy w Sorbonie, czy nie lepiej porozmawiać o dziewczynach? I śmiał się głośno.

Był też kapitan amerykański, młody, przystojny chłopak o olśniewająco białych zębach.

Andrzej lubił kapitana Shakertona. Mówiło się z nim zawsze o tym samym, to znaczy w sposób płytki i nieznaczący porównywało się Europę do Ameryki. Ale była w Shakertonie jakaś nietknięta płaszczyzna odczuwań, która pociągała Andrzeja swą świeżością nieprzewidzianych reakcji. Ta świeżość odczuwań Shakertona budziła zresztą u Andrzeja skomplikowane uczucie jednoczesnego cieszenia się i ironicznego pogardzania czyjąś sympatyczną naiwnością.

Dnia owego Shakerton wbiegł do biura dziwnie podniecony i radośnie uśmiechnięty. Podszedł od razu do Andrzeja i rozpinając płaszcz, mówił szybko:

— Czy pamiętasz, opowiadałem ci niedawno o Betty?

Andrzej kiwnął potakująco głową, z odcieniem lekkiego zniecierpliwienia. Shakerton codziennie, przy każdej okazji, a tak-

że nawet bez wyraźnego związku z tym co się działo naokoło niego, mówił o Betty. Każdy zresztą z jego znajomych oglądał wielokrotnie fotografię miłutko uśmiechniętej Betty, stojącej w kostiumie kąpielowym nad basenem pływackim. Ostatnio Shakerton niepokoił się długą przerwą w listach Betty i gnębił Andrzeja niekończącymi się dociekaniem i domysłami na temat jej milczenia.

— Otóż wyobraź sobie, dostałem przed chwilą długi list od niej. Jest wszystko w porządku — była przeziębiona i tydzień leżała w łóżku. Teraz jest już zdrowa. Aha, i dostałem od niej paczkę — oto ona.

Shakerton wyciągnął z kieszeni płaszcz paczkę i zaczął rozwijać ją na biurku Andrzeja. W paczce były 2 pudełka Philip Morris'ów, celofanowy worek z candies, trochę gumy do żucia i krawat khaki. Shakerton wyciągnął krawat i potrząsnął nim triumfalnie.

— Patrz, nawet o krawacie pomyślała — zwrócił się do Andrzeja.

Potem, trzymając krawat w ręku, spojrzął na szarpane wierzchołki drzewa, za oknami. Andrzejowi wydało się, że w szarostalowych żrenicach Shakertona dojrzał błysk szczęścia.

Po pokoju przetoczył się hałaśliwie major czeski.

— Co tam ciekawego oglądacie, panowie?

— Dostałem paczkę od Betty — uśmiechnął się uradowany Shakerton — może zapalił pan papierosa i pan, majorze — zwrócił się do profesora.

Profesor oderwał swój nic nie widzący wzrok od papierów.

W wąskich wargach nieruchomego profesora i w łakomych ustach majora czeskiego zadymiały prezenty Betty.

Andrzej pochylał głowę nad papierami. W szumie drzew za oknami, w zwiniętym w rękach Shakertona krawacie khaki, w dymie papierosów Betty — był smutek.



Punktualnie o godzinie pierwszej wszyscy wychodzili na obiad do messy. Andrzej zostawał zwykle jeszcze czas jakiś w biurze. Nie dlatego, żeby miał tyle pracy, ale po prostu dlatego, że nie lubił messy i starał się czas przebywania w jej zaduchu, upale i wrzasku skrócić do minimum. Dnia tego, tak samo jak zawsze, Andrzej, pod błahym jakimś pretekstem pozostał w biurze.

Po wyjściu towarzyszy pracy pokój otoczył znowu szum wiatru.

Andrzej przeciągnął się leniwie i wygładził włosy na skroniach.

Wiatry w Arizonie są znacznie silniejsze — pomyślał za Shakertonem.

Wstał i podszedł do okna.

Potężne dęby i topole gięły się w nierównym rytmie. Po żół-

tej, krótkiej trawie przed domem przelatywały drobne, gorączkowe jakby fale.

Czyżby w trawie mogła być walka? — pomyślał ze zdziwieniem Andrzej. Stwierdzenie takie wydało się Andrzejowi zastanawiającym odkryciem.

Gdy kilka tygodni temu wprowadzili się ze swym oddziałem do zarekwirowanej willi, obejmując ją w posiadanie w parę dni zaledwie po ucieczce Gestapo, Andrzej myślał o tym co nazwał później bierną, ledwo dostrzegalną, wędrówką martwych przedmiotów.

Willa była własnością bogatego kupca z Paryża, Kilka lat temu w willi tej toczyło się spokojne, uregulowane życie zamożnego handlarza win, na trawniku przed domem, w piękne dni wiosenne i letnie bawiły się dzieci. Dnie miały znaczone drobnymi troskami. Potem przewaliła się wojna. Willę objęło Gestapo i przyprowadzano tutaj zatroskanych, niepewnych swego losu ludzi, na przesłuchania. Czasem w willi dolatywały krzyki i wtenczas przechodnie starali się omijać ją z daleka. Teraz do willi przybyli ludzie z różnych stron świata. Napelnili ją gwarem różnojęzycznych rozmów, tłumem dalekich i zawitych spraw. Willa podupadła. Brakuje jej szyb w niektórych oknach a w niektórych miejscach sypie się tynk z gzymsów. Lecz willa bogatego kupca z Paryża bierna i niezawsze dostrzegalna, towarzyszy stale ludziom w swej wędrówce.

Tak myślał Andrzej. Dzisiaj nie wiadomo dlaczego, patrząc na żółtą, krótką trawę, drgającą na wietrze pomyślał, że przypomina ona żywe istoty. Wydawało się to jednak oczywistym złudzeniem. Ani żółta trawa, ani willa nie były żywymi istotami. Żył tylko wiatr.

Andrzej wygładził włosy na skroniach i włożył płaszcz.

Na dworze zaczął padać drobny, prawie niedostrzegalny deszcz. Deszcz szedł także falami.

Gdy po szybko zjedzonym obiedzie Andrzej wychodził z messy, dojrzał we framudze bramy sylwetkę Audrey. Audrey przychodziła codziennie pod messę i odprowadzała Andrzeja do biura. Audrey była wysoka, smukła i miała czarne oczy, w których paliły się czasami ciepłe ogniki. Właściwie nie była ładna. Jej nieomal że fanatyczne przywiązanie Andrzej traktował z odcieniem dobrośliwego pobłażania. Był zresztą w tym najzupełniej szczery. Na całą sprawę z Audrey patrzył trochę jak na jakiś niezależny od niego proces. Proces, który miał swój bieg i który niezależnie od niego gdzieś zostanie skończony. W chwili obecnej jednak Audrey po prostu była i swymi ciepłymi ognikami czarnych oczu wiązała Andrzeja z rzeczywistością.

Audrey wzięła Andrzeja pod rękę i przytuliła się do niego. Wyszli na ulicę. Padał drobny deszcz.

— Wiesz, Andrzej — tak lubię taki wiatr, tak chciałabym pójść z tobą gdzieś daleko, poza miasto, w pole, w wiatr — powiedziała.



Potem, śmiejąc się, przytulona, z rozwianymi włosami, opowiadała zdarzenia dnia. Andrzej słuchał roztargniony. Przed samym biurem Audrey zapytała się nieśmiało:

— Możebyśmy poszli gdzieś razem dziś wieczorem?

Andrzej odmówił stanowczo:

— Jadę dzisiaj wieczorem do Paryża — powiedział.

Po twarzy Audrey przebiegł skurcz bolesnego rozczarowania.

— To przyjdę na dworzec — powiedziała ze smutkiem.

Andrzej spojrzął na nią. Twarz miała przygaszoną, tylko wiatr igrał z jej włosami w sposób zabawny i złośliwy jednocześnie.

Na dworcu było pusto. Kilka osób skulonych z podniesionymi kołnierzami od płaszczy, czekało na pociąg. Zmoczone deszczem szyny błyszcząły w świetle lamp. Audrey nie odrywała swych błyszczących czarnych oczu od twarzy Andrzeja.

Gdy już pociąg zajeżdżał na dworzec, Audrey lekko się zarumieniwszy, wsunęła niedużą paczkę do ręki Andrzeja.

— To są papierosy — powiedziała zmieszana, a potem błagalnie — nie gniewaj się, ty tyle palisz, a teraz tak trudno o papierosy.

Andrzej schował paczkę do kieszeni.

Już w pociągu pomyślał o tym, czym właściwie był dla Audrey. Spróbował to sprecyzować. Nie ulega wątpliwości, że był dla niej całym światem myśli, tęsknot, oczekiwań, radości. Ale także smutku, przykrości i czasami rozczarowań. Andrzejowi zrobiło się nagle żal Audrey. Cały jego dzisiejszy wyjazd do Paryża był dla niej niewątpliwie przyczyną niezastępowanego smutku. I tak nikomu niepotrzebnego. O ileż lepiej było zostać z Audrey — pomyślał.

Po godzinie jazdy Andrzej znalazł się w Paryżu. Wiał tutaj ten sam mocny, nierówny wiatr. Ulice wydawały się puste, ciemne, po mokrych asfaltach szumiały przejeżdżające auta.

Andrzej machinalnie wszedł do metra. Było tam gwaro, jasno i ciepło. Wysiadł na Clemenceau.

Na Champs-Elysées hulał wiatr. Drobnym, niewidzialnym deszczem osiadał mokrą mgłą na twarzy. Pochyleni, skuleni ludzie przemykali się pod murami. Szeroki trotuar wiał pustką.

Andrzeja ogarnęło zniechęcenie i smutek. Przez chwilę pomyślał o odwiedzeniu swego przyjaciela Francuza, mieszkającego na Quentin Bauchart. Zaraz jednak potem myśl o czekającej, banalnej rozmowie napełniła go uczuciem nudy.

Włożywszy obie ręce do kieszeni płaszcza, Andrzej ruszył równym krokiem w górę Champs-Elysées. Uczucie zniechęcenia, pustki, samotności wzrastało. Mokry wiatr bił w twarz nierównymi uderzeniami. Drzewa nad głową szumiały zapewne i tutaj swój bezradny protest. Ale ruch uliczny, syreny aut, guszyły go zupełnie.

Andrzej szedł, zmrużywszy oczy, cały pochłonięty walką z wiatrem. Świat barwnych reklam kinowych, oświetlonych wi-

tryn, nęcących kawiarni, gwaru i urywków muzyki dobiegających z wnętrza mijanych barów, zapadł się, znikł, przestał istnieć. Było tylko mocne, niezaprzeczalne uczucie smutku i samotności i był mokry wiatr.

Niespodziewanie Andrzej zdał sobie sprawę, że ktoś idzie obok niego. Obrócił głowę. Spod małego, modnego parasola spojrzęła zachęcająco niebieskie oczy.

— Chodź ze mną — posłyszał miękki głos. Andrzej wzruszył ramionami i nie zwalnając kroku szedł przed siebie. Niebieskie oczy uśmiechnęły się jeszcze bardziej przymilnie.

— Taki straszny, okropny wiatr — mówił miękki głos — chodź ze mną. Delikatna ręka wsunęła się nieśmiało pod ramię Andrzeja. Świat oświetlonych reklam kinowych i gwaru zachęcających barów wracał powoli. Mały, modny parasol zasłonił twarz Andrzeja od wiatru.

Andrzej zwolnił kroku. Potem już machinalnie skręcił ze swą towarzyszką w jakąś boczną ulicę. Miękki głos szeptał przymilnie nad uchem.

Potem ciemne, smutne schody i jasno oświetlony, biedny pokój. Tutaj dopiero Andrzej przyjrzał się swej towarzyszkę. Była niedużego wzrostu, miała grubo namalowane czerwone wargi, pukiel jasnych włosów spadał jej zalotnie na czoło. Zdjęła płaszcz, postawiła parasol w kącie i kocim ruchem przytuliła się do Andrzeja.

— Ile mi dasz? — zaszeptał miękki głos. Jasny pukiel włosów połaskotał Andrzeja w policzek. — Może masz papierosy? To mi wystarczy.

Andrzej machinalnie sięgnął ręką do kieszeni i wyjął niedużą paczkę. Przez niebieskie oczy przeleciał błysk. Zaszleścił papier i pudełko Players'ów zalsniły przed Andrzejem.

Andrzej drgnął.

Przecież to są papierosy dane przez Audrey — pomyślał.

Zawahał się. Przez chwilę, drobnym ułamkiem sekundy chciał wyciągnąć ręce i odebrać papierosy. Lecz w chwilę potem twarz zeszywniała mu w obojętności. Odwrócił się i podszedł do okna.

— Ależ tak, oczywiście — bierna, ledwo dostrzegalna wędrówka martwych przedmiotów... Ani żółta trawa drgająca na wietrze, ani willa bogatego kupca z Paryża nie były żywymi istotami... Ależ tak, przecież to dzisiaj rano papierosy Betty dymiły się w wąskich wargach profesora i łakomych ustach majora czeskiego.

Za oknem wiatr kołysał gałęziami drzew i szumiał swą nikomu niepotrzebną melodię.

Józef URSYN.

## Ballada Andaluzyjska

— O fuentes! o fuentes!

W ziemi dudnią świeże kłosa — płacze skrzypek.  
Panno święta, matko święta!  
W ziemi dudnią świeże kłosa — pszenolite!  
Rdzą się karmią biodra ziemi. — Rdzą,  
a w rdzy metal mocny się przelewa, jak rtęć śliski.  
Krople wody chłodnym spodem  
zmywa księżyc...

Czy pamiętasz słodkie ciało odaliski?

Nic nie zrobią już rozpacze.  
Chłodne jutra są jak ocet.  
Górą przeszłość, jak kruk kracze.  
Dołem strumień się przetoczył.  
Dziś podobne jest do wczoraj,  
międzyjutrza są spóźnione...  
Na pniach pęka młoda kora...  
Zestrzelony spadł skowronek.  
W ziemi pleśń pokrywa ropę,  
złoto gnije — mój Ty Boże —  
jakie na dnie Europy  
drogocenne leżą złoża!

— O fuentes! o fuentes!

W ziemi dyszy zgniły ból.  
Ludzie będą mieszkać w maskach.  
Z magnetycznych idzie pól  
rdza. — Świat cały rdzą narasta.

1

Gdy na ziemię spadnie kłosa,  
wiesz, że czyjaś dobra ręka  
łamie sierp — i śpiewa kosa!

Rdzą się karmią biodra ziemi. — Rdzą,  
a w rdzy metal mocny się przelewa, jak rtęć śliski.  
Krople wody chłodnym spodem zmywa księżyc...

Czy pamiętasz słodkie ciało odaliski?

Nie, to była prosta dziewczka,  
i pasażerki ludne trzody.  
Sam pamiętam ją po śpiewkach,  
kiedy świtem wczesnomłodym  
szeleściła stopą bosą,  
szeleściła bosym słowem.  
Jeszcze dzisiaj brzmi na rosie,  
echo pieśni:

Extremadura, Extremadura...  
Extremadura, ech nie się niesie!  
Pasałam trzody na siedmiu górach,  
w jodłowym lesie!  
Stąd wody Tagu brały swe życie...  
Extremadura górą po chmurach.  
A trzody pianę piły w korycie.  
Strumień się toczył. Tagu strumienie,  
zrywały żyzne, górskie kamienie.  
I pędził z góry Extremadury  
szalony Tag.

2

Może to nie Tag, może Ebro?  
Może nie Ebro, może Ob.  
Extremadura, kraj Antonia.  
W ziemi pulsuje żywe srebro.  
Podnosi kark — złamany strop,

murzyn angielski po koloniach!  
 A niech się tylko Ob rozsżumi,  
 niech ruszą ławą masy wód,  
 to król angielski sam zrozumie,  
 że ktoś zbuntował czarny lud!

Nie śpiewa już Extremadura.  
 A zamiast pieśni szumi łąn.  
 I od Berlina aż po Ural,  
 pęcznieje pięcioletni plan.

## 3

Ktoby myślał, że pieśń się urywa,  
 kiedy nie ma już o czym śpiewać...  
 Krą zimową Wisła napływa,  
 drżą na wietrze jesienne drzewa...  
 Gasną w górze znudzone księżyce,  
 bo nie mogą przegłądać się w wodzie.  
 Do zamglonych brzegów okolicy,  
 dobijają ostatnie łodzie.  
 I nie przyjdzie ni murzyn ni dama,  
 by zarzucić ratowniczą sieć!  
 Bo na wszystkich granicznych bramach,  
 wywieszono nam słowo: p r e c z !

Wacław IWANIUK.

*William Morris (1834-1896)*

## Letni poranek

Modlitwę jedną z warg niemych za mnie zmów,  
 Pomyśl raz tylko o mnie tam wśród gwiazd.  
 Blednie noc letnia, wkrada się ranka blask,  
 Wątlwy i szary za liśćmi osiki, za kratą chmur,  
 Które cierpliwie czekają tam na brzask;  
 Cierpliwe i bezbarwne, choć nieba złoto  
 Czeka, by je potoczyć razem ze słońcem.  
 Daleko na łąkach, nad młodym zbożem,  
 Ciężkie czekają wiązy, niespokojny i chłodny  
 Wstaje dziwny wiatr; mroczone są róże;  
 Przez długi przedświt modlą się o brzask,  
 Przy samotnym domu pośrodku zboża.  
 Przemów choć jedno słowo do mnie sponad zboża,  
 Znad schylonych czułych warkoczy zboża.

Przełożył AV.

# Ścieżki

## Groby czy skarby

*«Wierzby płaczące na brzegach Sekwany  
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu».*

Szedłem przez Pont Neuf. Była mgła, nie niebieska, jak często bywa w Paryżu, ale szara, prawie londyńska. Ciężka kopuła Instytutu koloru sadzy wynurzała się znad starych, szarych domów na tle szarego nieba. Domy na wyspie były także szare, jeden z nich najeżony cienkimi żelaznymi rusztowaniami wyglądał jak odrutowany garnek. Przecież przez ten sam most — przypomniałem sobie — wyjeżdżał Sułkowski do Egiptu, razem z Venturą wyjeżdżali karetą, tuż stąd, z domu Bréguet'ów na 39, Quai de l'Horloge. W tym domu widocznym z mostu i zbudowanym w 1610 roku, zamieszkałym dzisiaj przez wielkiego pisarza, w pokojach zawieszonych obrazami Boudin'a, Rousselle'a, Cézanne'a i Gauguin'a, w wąskich przejściach i klitkach zawałonych książkami nie zachował się po nim nawet ślad wspomnień. Gdy Sułkowski przejeżdżał po tym właśnie moście, złamał mu się dyszel karety. Powiedział wówczas: «Już widać nie wrócę z Egiptu». Nie wrócił.

Szedłem mostem zmęczony, bez myśli. Ostatni skrawek Cité, ogród pod mostem, wrzynający się ostrym szpicem w Sekwanę, był prawie zatopiony. Drzewa ogrodu dotykały wody, konary ich miały kolor kopuły Instytutu, stała tam również stara, niska, o połamanym pniu, podparta kijami wierzba płacząca. «Wierzba płacząca na brzegach Sekwany»...

Stała nad falą gęstą, nieprzezroczystą, barwy matowej, szarozielonej. Krótkie, ciężkie fale szły szybko i burzliwie. Patrzyłem na miasto odruchowo, pół świadomie, notując zestawienia czerni, szarości i odbijającą od tych szarości głuchą zielenią szybkości fal narastającej Sekwany.

Nagle odczułem, jakby bez udziału świadomości, że Paryż już u m a r ł, że to nie Paryż, a ruina Paryża, że patrzę na

falę zieloną i ciężką, która to miasto lada chwila zaleje, z a t o p i.

Innego dnia śpieszyłem po moście de la Tournelle z Polskiej Biblioteki, z wyspy św. Ludwika. Na szczycie gmachu na przeciwnym brzegu błyskały wielkie szyby restauracji de la Tour d'Argent. Zamknięto ją po «Libération» na jakiś czas, miała jakoby być zbyt gościnna dla Niemców. Jest już otwarta z powrotem od dawna, jedna z najdroższych restauracji Paryża, ale przecież w tejże Tour d'Argent (musiała ona wyglądać inaczej i o wiele skromniej), przyjaciele Mickiewicza wydali obiad na jego cześć w roku 1855, gdy wyjeżdżał do Konstantynopola, za ledwie 2 i pół miesiąca przed jego śmiercią. Na tle niebieskiego nieba, w świetle ciepłego, prawie wiosennego dnia styczniowego, w delikatnie niebieskim i mglistym oparze wyrastała znad ciemnych konarów drzew Notre Dame, liliowa korona. Tylko wysoki szpic, zbudowany dopiero przez Viollet le Duc'a w połowie XIX wieku, gdy restaurował świątynię zmasakrowaną podczas Rewolucji, był ciemno-szafirowy. Cały pejzaż, tak delikatny w cieniach i światłach różowo-niebieskich, był aż nie-realny — znów przeszło mnie dziwne wrażenie: ten pejzaż, nasiąknięty francuskimi i polskimi wspomnieniami, nie istnieje w rzeczywistości, może za chwilę się rozwiać, *to przywidzenie*.

Skąd tego rodzaju przeżycia? Wracam na Pont Neuf, nawet nie widać, by domy były specjalnie zniszczone, wyższy poziom wody na Sekwanie jest zjawiskiem banalnym i częstym; wracam na Pont de la Tournelle, korona Notre Dame wyglądała nie inaczej w 1924, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, jako zjawisko kamienne, najbardziej trwałe, prawie wieczne.

Gdybym był Błokiem, poetą, napisałbym może wiersz w rodzaju «Scytów» i jeszcze czułym się prorokiem, ale nie czując się poetą, zacząłem wnikać w źródło tych przeżyć. Ten Paryż «zatopiony», czy Paryż «przywidzenie», to były wszystko przeżycia w t ó r n e, nawiane z jednej strony przez katastroficzne teorie, z którymi co chwila w rozmowach, pismach, w książkach się stykamy, z drugiej — przez bierny defetyzm, z którym te teorie przez bardzo wielu są przyjmowane — te moje «wizje» ginące Paryża, to były formy zarażenia.

Bo katastrofizm naprawdę już dotknął bruku. Chociażby wczorajszy «Combat» pomieszcza list od czytelnika-lekarza, pisze on o swej pacjentce, właścicielce skromnego sklepiku, która po reformie Bluma, reformach Mayera, nie jest w stanie zapłacić 150 tys. franków za leczenie i stawia na podstawie tego jednego faktu wniosek, że Francja «weszła w stan agonii», zamiast żądać, by lekarze za tańsze pieniądze leczyli pacjentów. Ileż takich stwierdzeń głośno «ostatecznych» aż w brukowej prasie!

Równoległe i symetrycznie działa przeciwstawna «metoda Coué», prasy sowieckiej i sowietyzującej. Dochodzi ona poprzez

«Humanité», poprzez propagandowe wydawnictwo «France-URSS» i opowiada nieustannie o zawsze celowej, zawsze radosnej twórczości w krajach zwycięskiego proletariatu, o entuzjzmie każdego obywatela Rosji i jej satelitów, i pokazuje fotografie zawsze uśmiechniętych i kwitnących obywateli «ludowych demokracji», podkreślając jednocześnie rozkład państw kapitalistycznych.

Te dwa nurty równoległe, te zdania powtarzane tysiąc razy, działają i stosunek do rzeczywistości przeciętnego obywatela kształtuje się w atmosferze tak częstego defetyzmu i poczucia groźby zalewu ze wschodu. Nastroje paniczne falują, to wzmagają się, to słabną, ale nie jeden Francuz już od paru lat przeszedł na pozycje ostrożne, liczące się z ewentualną nową kollaracją z ewentualnym nowym okupantem ze wschodu.

«Prawdziwym niebezpieczeństwem jest dziś» — pisze wnikliwy obesrwator Valmeroux w «Ecrits de Paris» — «nie ilość członków partii komunistycznej, ale przerażająca suma słabości oportunistów i złego sumienia, które komunizm potrafił zmobilizować na swoją korzyść».

Ostatnia książka Malraux «Psychologia sztuki» została przyjęta przez krytykę także pod kątem «katastrofizmu». Gwałtowna, pełna skrótów i nawrotów, jakby mówiona przez człowieka, który po długim biegu u kresu sił wyrzuca swe słowa, łapiąc z trudem powietrze — jest znakiem czasu. Czytało ją jeszcze nie wielu, jest zbyt droga i wcale nie łatwa, nigdy nie będzie czytana przez tłumy, ale «kto mówi do paru, mówi do wszystkich».

Jego zdania groźne czy tragiczne spotykamy bez balastu filozofii i historii już parafrazowane po pismach i dziennikach.

«Umierająca lub nie, ale niezawodnie zagrożona Europa nie myśli już o sobie słowami wolności, ale słowami losu» — tak kończy Malraux rozdział tej książki, umieszczony w «Kulturze» (Nr. 2-3). A dalej, w jednym z ostatnich rozdziałów pisze:

«Wiemy dziś, że przeróżne dzisiejsze formy pokoju są równie krucho (vulnérables) jak poprzednie, że demokracje noszą w sobie kapitalizm i policję totalitarną, że nauka i postęp implikują bomby atomowe, że rozum nie wyraża całego człowieka. Dla XIX wieku cywilizacja była z początku pokojem, a potem wolnością, ale od człowieka Rousseau do człowieka Freuda na pewno nie wolność wzrosła najwięcej. Miasta zmyry Europy Środkowej, te miasta nie są bardziej zdruzgotane niż zdruzgotana została idea, którą sobie Europa urobiła o człowieku. Jakie państwo XIX wieku ośmieliłoby się organizować tortury?»

Béguin w «La Semaine dans le Monde» nazywa tę książkę Apokalipsą malarstwa, a samego Malraux pisarzem «porwanym przez potop historii».

Maurice Nadeau w «Combat» mówi o nim z mieszaniną zachwyty i goryczy, przebija żal do Malraux, że tej miary pisarz i tej miary myśliciel, który kiedyś wszedł w sztukę jak do za-

konu, dzisiaj rzucił się w politykę «jak w samobójstwo». Nadeau widzi w tej książce pogrzeb umysłów i epoki zbyt ufnych w człowieka Zachodu, dziś porażonych potęgą sił, które się przeciwko temu człowiekowi zespoliły.

Książka ta jednak implikuje nie załamywanie rąk wobec losu, czy oglądanie się wstecz za utraconą przeszłością, ale nieugiętą walkę o wolnego człowieka, przeciwstawia ona sztuce opartej na pewnikach «sztukę wielkich żeglarzy», sztukę ludzi, których może oczekiwać nie tylko rozbiecie, ale i odkrycie Nowej Ziemi. Malraux przeciwstawia świat poszukiwań systemowi afirmacji.

«Artysta, a może człowiek dzisiejszy», według autora, «znają tylko swój punkt wyjścia, znają tylko metode, wolę, kierunek».

Jest w tej książce świadomość zagrożenia Europy, ale i wola przeciwstawienia się tym siłom niszczycielskim, którym nikt nie jest gotów ulec jak ślepemu losowi.

Czy naprawdę artyści i krytycy, dawni przyjaciele Malraux, i jego namiętni wrogowie, nie rozumieją, że wejście jego do polityki (nie próbuję dziś się nawet zastanawiać, czy i do jakiego stopnia linia polityczna Malraux jest słuszna) świadczy wraz z jego ostatnią książką, że pisarz ma ostrą świadomość palącego się dachu nad głową, że jest gwałtownie powiązany ze swoją epoką i nie przestaje być żywym świadectwem, że nie zginęły we Francji ani myśl odkrywca ani wola walki.

W 1945 roku, po 10 latach nieobecności, przyjechałem do jeszcze pustego, jakby skurzonego i smutnego Paryża. Montparnasse był pusty zupełnie, na ulicach widać było rzadkie auta, przeważnie amerykańskie, na bulwarach tłumy amerykańskich i angielskich żołnierzy wóczyły się bez celu. Pomimo «Libération», pomimo potężnego «V» z reflektorów nad Łukiem Triumfalnym na fioletowym niebie, cóż to był za kontrast z dawnym Paryżem. Jedną z pierwszych książek, która mi wpadła wypadkowo do rąk wówczas, to książka Giraudoux, tytułu jej nawet nie pamiętam.

Giraudoux opisywał czarująco, jak zwykle, trochę manierycznie, hotelik w okolicach Panteonu, pełen studentów z Europy Środkowej, jakąś studentkę Rumunkę, Węgierkę, może Żydówkę, która przybyła uczyć się do Paryża. Nie tylko każdy kamień paryski był dla niej święty i był symbolem wolności, ale każdy adwokacina francuski, obrońca zapomnianych spraw sprzed kilkudziesięciu laty, był dla tej studentki człowiekiem przynajmniej na miarę Cyncerona. Giraudoux pisał o tej miłości do Francji z czułością, trochę z kpinką, ale jak o rzecz całkiem naturalnej. Przywykli Francuzi do tego uwielbienia świata.

Dla rzeszy młodzieży przybywającej zewsząd do Francji po 1918 r., Francja to był rok 1789, to był Napoleon, wielkie emigracje 19-wieczne tutaj gościnnie przygarnięte, to byli wielcy pisarze, historycy, to była sprawa Dreyfusa i Péguy dla jednych, Sorel, Maurras, Bainville dla innych, to była przede wszystkim

Francja zwycięska, miliona pięciuset tysięcy Francuzów zabitych i sześciuset tysięcy kalek, którzy się przyczynili do odzyskania wolności, do rozszerzenia granic wielu krajów Europy Środkowej.

Widzę jak dziś, spoconą, czerwoną i szczęśliwą twarz kolegi Ukrainca z Akademii Krakowskiej. Nazywał się Motorny. Spotkałem go w 1925 r., idącego prosto ze stacji direct z Krakowa z jakąś nieprawdopodobną staroświecką walizą w rękę, na Edgar Quinet. Wpadł mi w objęcia, choć się prawie nie znaliśmy. Ale musiał przecież komuś wyrazić szczęście, że jakoś, za ostatnie grosze, udało mu się dotrzeć do tej Mekki, by tutaj cierpieć okrutną nędzę, ale tutaj, w Paryżu. *Wtedy* ten Motorny to był jeszcze jeden bohater wspomnianej powieści Giraudoux.

«Czy to pan zatrzymał Basię w Paryżu? Co za idiotka, przecież ona mogła jechać do Oxfordu, Minia już stamtąd dostała propozycję do Ameryki, do dziennikarstwa. Czy ona zwariowała, żeby tutaj zostawać!» Tak się do mnie odezwała młodziutka, bohaterska studentka z A.K., przybyła po Powstaniu Warszawskim poprzez obozy niemieckie z tą samą Basią właśnie w 1945 r. Zaskoczył mnie ten ton zupełnej pogardy do Francji. Uderzyło mnie, że jest to stosunek o 180° odrębny od stosunku, który cechował moją generację. Cóż ta dziewczyna wiedziała o Francji? Musiała mieć 11 lat przy wybuchu wojny, potem okupacja, obozy, naturalnie brak książek, a jednocześnie wspomnienie poddania się Paryża bez wystrzału.

«To niemożliwe, to jest nowe kłamstwo niemieckie» — wołały dosłownie płacząc przekupki warszawskie, kiedy pierwsza wiadomość o poddaniu się Paryża dotarła do Warszawy, podana przez niemieckie gadzinówki. Te przekupki otwarcie rwały gazety na ulicy, nie chciały, nie mogły wierzyć, żeby Francja była tak inna od tego, co było legendą Francji w Polsce. O tej chwili młoda dziewczyna na pewno pamiętała i nie nadawała się już na bohaterkę tamtej powieści Giraudoux. Ale na jak wąskim skrawku historii Francji budowała młoda dziewczyna swój do niej stosunek lekceważący.



W artykule Bernanos'a w nr. 3 «Cheval de Troie» wielki pisarz opisuje wrażenie wywołane upadkiem Francji w Ameryce Południowej, jakże przypominające reakcję polską. Francja była i dla tamtych krajów ogniskiem nowych idei, symbolem wolności, krajem szacunku człowieka dla człowieka i walki o te prawa. Bernanos opowiada o starym aptekarzu, wychowanym w kulcie Francji, był już w agonii (zaraz po czerwcu 1940). Aptekarz otworzył jeszcze raz oczy przed śmiercią i powiedział: «Mój Boże, mój Boże, Francja!» Bernanos twierdzi, że Francja nie jest w stanie wyrzec się swojej legendy, jeżeli nie chce zginąć, że ludzie na świecie zbyt kochali Francję, by móc się nad nią litować, ale że nikt tam się nie godził na Francję

pokorną, o programie minimalnym. Nie godziły się na nią i przekupki warszawskie w 1940 roku.

Bernanos piętnuje różne formy zakłamania Francji dzisiaj. Twierdzi, że rozdmuchano sławną Résistance, rozdmuchuje się udział Francuzów w uwolnieniu Paryża. I tu dodaje ustęp o Warszawie (Bernanos występował już parokrotnie i gwałtownie w obronie Polaków i Polski):

«Piszemy o uwolnieniu Paryża tak, jak gdybyśmy nigdy nie słyszeli, nie naprawdę nigdy, o wspaniałym, niezrównanym, o nieprześcignionym powstaniu Warszawy — Warszawy zdradzonej, oddanej, ukrzyżowanej między dwoma łotrami, gdy działa przeciwlotnicze rosyjskie strzelały na wspólną z przeciwlotniczymi działami niemieckimi na zwarte szyki samolotów angielskich, które próbowały robić zrzuty broni powstańcom. Gdy armia sowiecka utrzymywała pod ogniem artylerii niemieckiej tę armię powstańczą aż do ostatecznego zniszczenia, dosłownie tak, jak chłopak z rzeźni, ściskając między kolanami zwierzę prowadzone na rzeź, podrywa mu gwałtownie głowę w tył, by ułatwić rzeźnikowi podcięcie gardła».

Okrutna prawdomówność z jaką pisze stary Bernanos o stanie dzisiejszym Francji jest jeszcze jednym dowodem śmiałości i żywotności Francji.

Każdy, kto znał Francję kiedyś i teraz tutaj przebywa, widzi skurczenie się jej zasięgu, skurczenie wiary w siebie, jakże częste osłabienie odwagi myślenia. Iluż mówi: «To nie ta Francja, którą znałem!» Ale czy umiemy na Francję spojrzeć inaczej jak od strony najbardziej widocznej i może najmniej trwałej, czy potrafiliśmy dotrzeć do żywych sił narodu, do ludzi pracujących w cieniu, bez reflektorów reklamy, do Francuzów dużego formatu, niesparaliżowanych strachem?

Czy nasza krytyka nie jest powierzchowna a przynajmniej jednostronna?

Przypomniałem sobie ustęp przeczytany wiele lat temu w «Podróży do Włoch» Taine'a.

Luitprand, biskup Cremony, kronikarz, tak pisał w X wieku: «My, Longobardzi, tak samo jak Saksoni, Frankowie, Lotaryńcy, Bawarzy, Szwabi czy Burgundowie — my gardzimy tak mocno imieniem rzymskim, że w naszym gniewie nie wiemy jak obrażać naszych nieprzyjaciół obelgą najmocniejszą, jak nazywając ich właśnie Rzymianami, tym imieniem nazywamy wszystko, co jest haniebne, nieśmiałe, skąpe, pożałdliwe, kłamliwe, jednym słowem pełne wad wszystkich».

W XII wieku Fryderyk Barbarossa, przechodząc przez te kraje, liczył, że znajdzie w Lombardii ludzi swoich, tego samego języka i obyczajów, i zdziwił się bardzo, znajdując naród *całkiem zlatynizowany*.

Jaka jest rola nasza, tej wielkiej narastającej rzeszy emigracyjnej w kraju, który już przed wojną miał około pół miliona naszych emigrantów i jest od tylu wieków powiązany z nami tysiącem

węzłów kulturalnych, kraju, który przechodzi okres trudny i ciemny? Niewspółmierność ofiar poniesionych przez Francję i przez Polskę w okresie ostatniej wojny, brak entuzjazmu i woli odbudowy swojej ojczyzny, wszystko to, co tak gorszy i drażni przybywających z Polski, nie powinno przekreślać w nas pamięci, że Francja się nie zaczęła w 1939 roku, że stare kraje przechodzą wielokrotnie cykle upadków i odrodzeń, że Francja jest jednym z najistotniejszych członów Europy, do której należymy. Musimy do Francji podejść nie jak barbarzyńcy germańscy w X w. podeszli do Rzymian, ale jak obrońcy wspólnego nam cywilizacyjnego dorobku, nie urągając wzdornie, by po jednym pokoleniu się wynarodowić; współdziałać powinniśmy, w miarę naszych sił, w odrodzeniu tego kraju.

Na frontonie pałacu Chaillot, zbudowanym w 1937 r., na miejscu pałacu Trocadéro, jest motto, wypisane złotymi literami, Valéry'ego:

*«Od ciebie, przechodniu, zależy, czy będę grobem, czy skarbem. Czy będę milczał, lub mówił,*

*Od ciebie zależy, przyjacielu: nie wchodzi tu bez pożądania».*

Jesteśmy na ziemi francuskiej, od nas również zależy, czy ta stara ziemia będzie grobem, czy skarbem.

Marek SIENNY.

## Najnowsza historia Polski

W dziale tym zamierzamy ogłaszać dokumenty, wspomnienia czy relacje, dotyczące okresu Niepodległości, a przede wszystkim wojny 1939—1945 i chwili obecnej. Redakcja «Kultury» zwróciła się z prośbą o materiały do osób, które odgrywały decydującą rolę, lub były przynajmniej naocznymi świadkami — bez względu na ich przekonania czy reprezentowany kierunek. W najbliższych numerach będziemy publikować fragmenty pamiętników P. Gen. Andersa, wspomnienia Władysława Pobóg-Malinowskiego, Czesława Poznańskiego, Jerzego Lerskiego (Jur) i innych. Na tym miejscu raz jeszcze prosimy wszystkich, mających coś do powiedzenia — o nadsyłanie nam swoich materiałów.

## Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 r.

Podanie tych czynności rozpoczynam od dnia 31 sierpnia 1939 roku, gdyż przebieg i nastroje tego dnia są wstępem do prac wojennych Rządu Polskiego, w okresie Kampanii Polskiej. Powtarzam również niektóre, wypowiedziane już myśli, a to ze względu na ich znaczenie dla wypadków w pierwszych dniach wojny polsko-niemieckiej.

31 sierpnia 1939 r. Czwartek.

Życie i urzędowanie płynie na pozór normalnie. Atmosfera polityczna Europy uległa naelektryzowaniu od 23 bm., gdy Ribbentrop w Moskwie podpisał niemiecko-sowiecki pakt nieagresji i, w ten sposób, brutalnie przeciął narady sztabowe wyższych wojskowych Francji, Anglii i Sowietów.

Narady te szły w atmosferze takiego «zaufania», że jeszcze raz musieliśmy odmówić *zbiorowej, jednogłośnej* propozycji obradujących, przepuszczenia wojsk sowieckich przez obszar Wilna i Lwowa, dla «ratowania» Polski od najazdu Niemców.

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w dniu podpisywania

Paktu Nieagresji z Niemcami, Sowiety przerwały narady sztabowe z Francją i Anglią, i pokazywali miasto Moskwę wojskowym przedstawicielom tych państw.

Zaraz po podpisaniu Paktu Nieagresji z Sowietami, Hitler pchnął swoje, dawno zmobilizowane, gotowe do walki, wojska na pogranicze Polski, jednocześnie upewniając Zachód o swej chęci utrzymania pokoju, nawet wbrew pragnieniom swego wojska. Toteż, gdy Francja i Anglia wymieniały jeszcze z Hitlerem, przez swych ambasadorów w Berlinie, noty dyplomatyczne, nacechowane «obopólną» chęcią pokoju w Europie, my nie mieliśmy już na co czekać: olbrzymia armia niemiecka stała na naszej granicy i jedna seria karabinu maszynowego mogła wywołać walkę z naszymi żołnierzami. Te wielkie siły niemieckie na naszej granicy nadciągały stopniowo i nie były dla nas niespodzianką. Poza wiadomościami z wywiadu, obecność ich znaczyła się ciągłym naruszaniem naszej granicy, szczególnie w rejonie Gdańska i Prus Wschodnich, przez patrole, lotnictwo a nawet całe oddziały niemieckie oraz nieustanne prowokowanie pogranicznej ludności i władz polskich.

W miesiącu sierpniu prowokacje niemieckie przybrały na ilości i sile. Po obu stronach, w starciach granicznych byli już zabici i ranni, dzięki bohaterstwu, nieustępliwemu stanowisku naszej straży granicznej, działającej wobec przewagi wojskowych oddziałów niemieckich.

Mimo to, wbrew naszym chęciom, ogłoszenie naszej ogólnej mobilizacji musieliśmy odkładać, ze względu na nalegania Sprzymierzeńców.

Rzecz w tym, że Niemcy, którzy byli już zmobilizowani i nie potrzebowali ogłaszać swej mobilizacji, oskarżyli Polskę o zaborczość i chęć sprowokowania wojny przez zarządzenie mobilizacji Polskich Wojsk i to w chwili prowadzenia pokojowych rozmów w Berlinie. Stąd, interwencja sojusznicznych ambasadorów przy czym francuski zwrócił uwagę, iż Francja obowiązana jest pomagać Polsce tylko w razie konieczności obrony, a nie prowokowania wojny. Gdy jednak rozmowy i noty berlińskie nie wróżyły nic dobrego, mobilizację naszą wznowiliśmy z dniem dzisiejszym, tracąc, niestety, cenne 24 godziny czasu, już prawie wojennego.

Na Zachodzie zaś w wojnę ciągle jeszcze nie chcą wierzyć, czemu się nie dziwię, bo i my czepiamy się ostatnich desek nadziei na zachowanie pokoju. Niemcy są już aż nadto przygotowani do wojny, natomiast alianci i my wykorzystujemy każdą godzinę nieledwie, by się dozbroić, zmobilizować nasze siły i przeprowadzić wygodne dla nas ugrupowanie wojska. Wreszcie, co bardzo ważne, liczymy na pomoc naszego klimatu. Po wrześniu zaczynają się, przy stałym zachmurzeniu nieba, deszcze jesienne, dające utrudnienia dla pracy lotnictwa i czołgów, których my, właśnie, mamy mało.

Dałby więc Pan Bóg deszcz! Na razie, niestety pogoda jest piękna, jak w lipcu.

W Warszawie i na prowincji odbywa się w dalszym ciągu różne kopanie głębokich, wąskich rowów, jako prymitywnych schronów od bombardowania lotniczego. Wieczorem miasto jest jeszcze oświetlone, choć wszystkie przygotowania do skutecznego zaciemnienia zrobione i próby przeprowadzone. Oby to wszystko było niepotrzebne, albo przynajmniej nie teraz jeszcze!

Stolica Apostolska wydała w dniu dzisiejszym Apel Papieża, w którym, w Imię Boże, wzywa rządy Niemiec i Polski do wstrzymania się od dalszego zaostrenia i napięcia stosunków. Papież wzywa w tej sprawie pomocy Anglii, Francji i Italii dla utrzymania pokoju.

Dzisiaj wieczorem, radio niemieckie nadało 16 punktów, które miały być podyktowane przez Hitlera naszemu specjalnemu wysłannikowi, gdyby pojechał na wezwanie i dał się sterrować à la Hacha.

Oto te punkty streszczone pobieżnie przy słuchaniu radia:

- 1) Wolne miasto Gdańsk wraca do Niemiec.
- 2) Ludność «korytarza» pomorskiego plebiscytem wypowie swą wolę przynależenia do Niemiec, czy Polski.
- 3) Plebiscyt nadzorowany będzie przez Komisję Międzynarodową, złożoną z przedstawicieli czterech wielkich mocarstw: Włochy, Sowiety, Francja i Anglia. Ta Komisja będzie władzą suwerenną na terenie plebiscytowym, stąd, Wojsko Polskie, policja i administracja powinny opuścić go jak najszybciej.
- 4) Gdynia pozostaje portem polskim, w granicach, które będą ustalone.
- 5) Celem zapewnienia sprawiedliwości plebiscytu, nie odbędzie się on wcześniej, niż za rok.
- 6) Do czasu plebiscytu, wszelkie środki komunikacyjne Pomorza są dostępne zarówno dla Niemców, jak dla Polaków.
- 7) Przynależność danej okolicy do Niemiec, czy Polski rozstrzyga zwykła większość głosów.
- 8) Celem zapewnienia komunikacji przez «korytarz» i z morzem, zbudowane zostają drogi eksterytorialne i koleje o czterech torach.
- 9) W razie przejścia «korytarza» do Niemiec, odbędzie się wymiana jego polskiej ludności z Niemcami, zamieszkałymi w Polsce.
- 10) Wszelkie prawa, uzyskane dla Polski w Gdańsku są obojętne dla Niemców w Gdyni.
- 11) Gdańsk i Gdynia są portami czysto handlowymi, bez umocnień.
- 12) Półwysep Hel też zostaje zdemilitaryzowany.



- 13) Skargi rządu niemieckiego na traktowanie mniejszości niemieckiej w Polsce i ewentualne skargi Rządu Polskiego na traktowanie Polaków w Niemczech będą przedłożone Międzynarodowemu Komitetowi do zbadania.
- 14) Niemcy i Polska gwarantują prawa narodowe swych mniejszości.
- 15) Na wypadek osiągnięcia porozumienia, opartego na tych zasadach, Niemcy i Polska demobilizują swe armie.
- 16) Dalsze postępowanie będzie uzgodnione obopólnie przez Niemcy i Polskę.

Dalej radio niemieckie dodaje: «W tych warunkach Rząd Rzeczypospolitej uważa swe propozycje za odrzucone».

Dobry żart! Propozycje, które nigdy nie były nam stawiane! No, ale, że byłyby odrzucone to pewne!

Jest to więc jakiś nowy pomysł przedstawienia wobec Francji i Anglii dobrej woli Niemiec i złej woli Polski, która w takich «drobiazgach» nie chce ustąpić i zachować spokój Europy, tak jak to było dotychczas.

Zresztą, to obójtne. Wojna wydaje się być nieunikniona. Jesteśmy, my Naród Polski, przygotowani do niej psychicznie całkowicie, choć wiemy, że będzie nas ona drogo kosztować. Fizycznie i materiałowo co dzień jesteśmy mocniejsi, ale Niemcom sami nie sprostamy. Chodzi więc o to, byśmy w wojnie nie byli sami.

Niemcom zaś właśnie o to chodzi i dlatego ryzykujemy wiele, wchodząc w zatarg z nimi. To jednak, jak powiedział kilka dni temu, przy postanowieniu zarządzenia mobilizacji, Prezydent Rzeczypospolitej Mościcki: «Trudno, trzeba się ważyć na wszystko, gdy chodzi o całość Polski»...

1 wrzesień 1939 r., piątek, Warszawa.

Rano, o godzinie wpół do piątej zadzwonił telefon sypialni w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, że Kraków wzywa w pilnej sprawie do telefonu. Szybko przeszedłem do gabinetu i odebrałem przez telefon od wojewody Tymińskiego pierwszą wojenną wiadomość, że dworzec krakowski jest bombardowany przez samoloty niemieckie. Za chwilę dzwonił Poznań. Wojewoda Bociński melduje: Niemcy w kilku miejscach przekroczyli granicę; Ostrów Wielkopolski, Poznań, lotnisko, domy robotnicze, dworzec są bombardowane z samolotów od godziny czwartej minut 15. Lublin dzwoni o bombardowaniu Białej Podlaskiej i Dębłina.

Nie ma więc wątpliwości, jest wojna, choć nie została wypowiedziana. Jest napad zbójceki «mocniejszego» na Polskę. Nareszcie, Hitler pokazał karty i swe zamiary «pokojowe». Telefonuje o rozpoczęciu przez Niemców wojny, za pomocą tajnego telefonu, na Zamek, do Marszałka Śmigłego i do ministrów. Wiśnię szybko rozchodzi się w spokojnej jeszcze Warszawie i biurach Ministerstwa. Zjawia się wkrótce dyr. Żybski

już z wiadomościami z innych województw. Wszędzie węzły kolejowe i fabryki wojenne są bombardowane przez lotnictwo niemieckie.

Zaczynamy dzisiaj urzędowanie zupełnie odmienne od dotychczasowego. Wszystkie sprawy gospodarcze, samorządowe i bezpieczeństwa lokalnego, tak ważne i drobiazgowo-napastliwe w życiu codziennym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nagle tracą swój sens i znaczenie. Dzisiaj nad wszystkim panuje wojna, tak świeżo poznana, a już tak dotkliwa w skutkach bombardowania.

Sekretarz Stawicki otrzymuje polecenie «odwalania» wszelkich spraw do referowania, z wyjątkiem zagadnień wojennych. Jest to bowiem dziwna wojna, w której, «dzięki» bombardowaniu miast, zainteresowana jest nie tylko władza wojskowa, ale również i administracja i to od pierwszej już chwili.

O godzinie 8-ej dyr. Żybski melduje sytuację w kraju, jak zwykle, w obecności wicemin. Klukowskiego i Korsaka. Jest to zestawienie telefonicznych meldunków województw o bombardowaniu lotniczym. Zatoczyło ono szerokie kręgi, siejąc zniszczenie, nie tylko obiektów, ale i wśród, Bogu ducha winnej, ludności cywilnej zachodnich i środkowych województw Polski.

Tak więc, naczelnik Cichalewski z Torunia melduje o bombardowaniu lotniczym Torunia, Gdyni i innych miast Pomorza. Naczelnik Ryczkowski telefonuje, iż poza bombardowaniem lotniczym, w wielu miejscach wojsko niemieckie przekroczyło granicę Polski. Zjawiała się również na terenie Śląska piąta kolumna, energicznie zlikwidowana przez polskich robotników i górników. Naczelnik Kamiński, z Lublina, melduje o dalszym bombardowaniu Dębłina i Zakładów Lotniczych w Białej Podlaskiej. Naczelnik Krakowian z Kielc telefonuje o bombardowaniu Zakładów Starachowickich itd.

Od godziny 9-ej do 10-ej odbyła się Rada Ministrów w zwykłej sali Prezydium, przy akompaniamencie huku motorów i wybuchu bomb samolotów niemieckich, jako naocznych już objawów wojny. Oto jest barbarzyńska odpowiedź Hitlera na mowę min. Becka z dnia 5 maja rb., stwierdzającą wielkie: «Nie» Narodu Polskiego na niemieckie żądania.

Tematem obrad było Orędzie Pana Prezydenta do ludności z powodu rozpoczęcia wojny, oraz stanowisko i sytuacja państw sojusznicznych.

Przedstawiciel min. Becka, wiceminister Arciszewski, zawiadomił nas, iż w tej chwili minister prowadzi rokowania z ambasadorami Francji — Noelem, Anglii — Kennardem, z ambasadorem Włoch oraz ambasadorem Sowietów Charonowem, co do stosunku ich rządów do napadu Niemiec na Polskę.

W celu posiadania tych wiadomości zwołuję po południu, drugie posiedzenie Rady Ministrów na godzinę 17,30 w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, dokąd schodzą się wiadomości z całego kraju, przez Departament Polityczny.

Na tym posiedzeniu min. Beck zawiadomił nas, że Francja i Anglia wysłały Niemcom ultimatum z terminem 48 godzin, żądając zaprzestania działań wojennych i opuszczenia granic Polski. Niemcy mają więc jeszcze czas bezkarnego atakowania nas do niedzieli. Min. Beck polecił ambasadorom naszym w Paryżu i Londynie zawiadomić rządy Francji i Anglii, że Polska podjęła walkę z Niemcami i liczy na niezwłoczną pomoc Sprzymierzonych.

Ambasadorzy Włoch i Sowieców zgłosili neutralność swych państw w konflikcie polsko-niemieckim.

Pewną pomoc moralną dają nam apel prezydenta Roosevelta w sprawie wstrzymania się przez strony wojujące od bombardowania miast otwartych.

Po stwierdzeniu, iż w wojnach ostatnich zginęło od bombardowań lotniczych setki tysięcy niewinnych ludzi, nie biorących udziału w wojnie, prezydent Roosevelt zwraca się z apelem do rządów, które mogą wziąć udział w wojnie obecnej, by każdy z nich publicznie stwierdził swą decyzję, że w żadnych warunkach nie dopuści ze swej strony do bombardowania ludności cywilnej i miast nieufortyfikowanych, w wypadku, jeżeli przeciwnik zastosuje się do tej decyzji.

Odpowiedź Rządu Polskiego na ten apel odczytana przez min. Becka stwierdza, iż Rząd Polski w pełni podziela zasady i uczucia w nim wyrażone. W myśl tych samych zasad, Naczelne Dowództwo Polskie wydało naszemu lotnictwu jeszcze przed wojną zakaz bombardowania miast otwartych i ludności cywilnej.

Niestety, Polska od rana dnia dzisiejszego jest przedmiotem bezwzględnych i licznych ataków lotniczych. Straty wśród naszej ludności cywilnej, które mają już miejsce, pozwalają wątpić w to, że strona przeciwna stosuje się do zasad, poruszonych przez prezydenta Roosevelta.

Zasady te, wynikające z uczuć ludzkości, mają znaczenie tylko w wypadku, gdy są skrupulatnie dochowane przez stronę przeciwną.

Rząd in corpore stawia się jutro na pierwsze wojenne posiedzenie Sejmu i Senatu, zwołane specjalnie przez marszałków Sejmu — Makowskiego i Senatu — Miedzińskiego, celem zajęcia stanowiska wobec wojny. Na tym posiedzeniu mam przemówić w Sejmie i Senacie.

W czasie posiedzenia Rady Ministrów, Warszawa była bombardowana przez liczne samoloty niemieckie, które zrazu próbowały bezkarnie unosić się nisko nad miastem, lecz wkrótce musiały wznieść się wysoko pod działaniem ognia artylerii przeciwlotniczej.

W czasie posiedzenia Rady Ministrów nie zaszła potrzeba zejścia do świeżo wykończonego schronu, który ministrowie zwiedzili po ukończeniu Rady Ministrów, odbytej w sali konferencyjnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Zostało rozplakatowane na ulicach Warszawy orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do ludności Polski.

Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej do Narodu Polskiego brzmi jak następuje:

### OBYWATELE!

Tej nocy nasz wróg odwieczny napadł na Państwo Polskie, bez wypowiedzenia wojny. Stwierdzam to wobec Boga i Historii. W tej chwili historycznej zwracam się do wszystkich obywateli Kraju z głębokim przeświadczeniem, że cały Naród stanie obok Wodza Naczelnego i Sił Zbrojnych, celem walki o Wolność, Niepodległość i Honor oraz godną odpowiedź napastnikowi, jak to było już nieraz w dziejach stosunków polsko-niemieckich.

Cały Naród z błogosławieństwem Bożym, w walce o świętą i słuszną sprawę, wspólnie z Wojskiem, wejdzie do walki w zwartych szeregach, aż do zupełnego Zwycięstwa.

Warszawa, 1 września 1939 r.

(—) Ignacy Mościcki.

Orędzie to trafiło na grunt podatny, gdyż nastrój ludności jest podniosły i pełen zapału do narzuconej nam brutalnie wojny. Posel słowacki w Polsce, Dr. Władysław Szathmary, złożył na ręce min. Becka, protest w imieniu narodu słowackiego, przeciw brutalnemu rozbrojeniu przez Niemców wojska słowackiego, okupowaniu Słowacji i użycia jej terytorium jako podstawy operacyjnej przeciw Polsce.

Wielkie wrażenie sprawiła również odezwa Naczelnego Wodza, Marszałka Śmigłego Rydza do wojska i społeczeństwa. Mówi ona, że Niemiec, nasz odwieczny wróg, napadł dnia 1-go września na nasz kraj, przekraczając granicę Polski. Nadeszła chwila w której, ze znaną wszystkim, naszą odwagą, mamy bronić całości naszej Ojczyzny i przyszłości Polski. Każda pięćdziesiąta ziemi, którą wróg zechce nam wydrzeć, opłaci potokami swej krwi. Cały Naród, zjednoczony z Armią i pełen wiary w sprawiedliwość naszej sprawy, pośpieszy spełnić swój obowiązek. Wojna może trwać bardzo długo, ale naszym będzie zwycięstwo, naszym i naszych Sprzymierzonych.

Podniosły, zwarty, potężny nastrój społeczeństwa polskiego przejawia się w drobnych nawet szczegółach życia wojennego. Tak więc dyscyplina alarmów lotniczych jest, niewątpliwie, wzorowa: ulice pustoszeją, ludność wchodzi do bram domów, tylko samochody, puste tramwaje i wyprężone z koni wozy zostają na ulicy, w czasie, gdy krążą nad miastem samoloty niemieckie, aż do sygnału odwołania alarmu. Nie wiem, czy długo będzie taki porządek, ale na razie jest wzorowy. Wojewoda Jaroszewicz i naczelnik Wędołowski są dumni z tego powodu.

Run na P.K.O. i banki wzrósł w dniu dzisiejszym. Trwa on już od kilku dni, nie jest jednak objawem paniki, ale po prostu, zwiększenia wydatków ludzi w związku z trudnościami sytuacji wojennej.

O zmroku udałem się samochodem do otoczonego parkaniem budynku, gdzie mieści się Kwatery Główna Naczelnego Dowództwa, przy ulicy Rakowieckiej. Na dziedzińcu nadzoruje porządku mjr. Kaciukiewicz. Pomieszczenie jest wygodne w suterenach niewykończonego gmachu. Płk. Wenda wprowadza mnie do pokoju Marszałka. Melduję Marszałkowi śmiałemu sytuację «cywilną» z dnia dzisiejszego.

Spotykam tam gen. Faury, Szefa Wojskowej Misji Francuskiej, przysłanej do Polski na wypadek wojny. Generał zna świetnie nasze wojsko z czasów kilkuletniej profesury taktyki w Wyższej Szkole Wojennej. Pracuje obok pokoju Szefa Sztabu, gen. Stachewicza.

Wszyscy są poruszeni bezwzględny bombardowaniem lotniczym Polski, które zaczyna już dawać się we znaki utrudnieniami w komunikacji kolejowej, telefonicznej i telegraficznej.

Poza tym, niepokój wywołują losy Brygady Kawalerii gen. Skotnickiego, która walczy na Pomorzu z idywią pancerną niemiecką. Podobno szarżowali oni konno na czołgi i mają duże straty. Na wniosek Ministra Spraw Wojskowych, gen. Kasprzyckiego, Prezydent Rzeczypospolitej wydał dekret o utworzeniu Legionu Czeskiego i Słowackiego w Polsce, celem umożliwienia walczenia ze wspólnym wrogiem — Niemcami. Wydany został komunikat wojenny Nr 1 Sztabu Naczelnego Wodza o sytuacji bojowej.

Wychodzę z oświetlonych podziemi sztabowych do samochodu, nieco stropiony wojennymi wieściami.

Jest gwiazdzista noc, Warszawy zupełnie nie widać, tak dobrze jest zaciemniona. Wielki ruch pieszy na ulicach. Wszyscy rozprawiają żywo o początku wojny, bombardowaniach i walce z Niemcami. Bardzo wolno, zatrzymując się na skrzyżowaniach ulic, wracam do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zabieram się, przy pomocy wicemin. Brzozowskiego, do opracowania mej jutrzejszej mowy do Sejmu i Senatu. Chcę ją zrobić krótką, jasną i ufną w nasze siły, bo Polacy, nawet w ciężkiej chwili, nie lubią słuchać «jojeżenia» o trudnościach sytuacji, w której się znajdujemy.

O zmroku bombardowanie lotnicze zupełnie ustało, zobaczymy co będzie jutro.

Pan Lępkowski, Dyrektor Kancelarii Cywilnej telefonuje, że ze względu na bombardowanie Zamku w ciągu dnia dzisiejszego, Pan Prezydent wyjedzie tej nocy do wsi Błota, leżącej kilka kilometrów od miasta, na prawym brzegu Wisły, przy szosie do Falenicy, gdzie zamieszka w willi jednego ze swych znajomych.

Jest to konieczne, gdyż Zamek nie posiada pewnego schronu przeciwlotniczego.

Gdy, po przygotowaniu jutrzejszej mowy, otworzyłem okno, po zgaszeniu światła, Warszawa żyła swym normalnym życiem, tylko, że «na ciemno»: dzwoniły tramwaje, sunęły powoli zaciemnione samochody, gwar rozmów ludzkich i krzyki gazetiarzy wypełniały powietrze. Była piękna noc gwiazdzista, niesfery bez żadnej nadziei na tak upragniony deszcz jesienny i, związane z nim, chmury i błoto.

Warszawa. 2 września 1939 r. Sobota.

Od świtu — bombardowanie Warszawy; samoloty niemieckie, nauczone doświadczeniem dnia wczorajszego, latają wysoko, a bombardują przez nurkowanie.

Wobec konieczności otrzymywania stałych wiadomości z całego kraju, Departament Polityczny urzęduje bez przerwy, dzień i noc. Postanawiam urzędować tylko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, by być blisko nowych wieści z całego państwa. Dyr. Żyborski lub zastępujący go urzędnik, melduje mi je w każdej chwili. W Prezydium Rady Ministrów urzęduje wicemin. Brzozowski. Wojewodowie otrzymali informację, by we wszystkich sprawach telefonować do mnie, tylko do Min. Spraw Wewnętrznych.

Podtrzymuję żywy kontakt z min. Beckiem, gdyż sytuacja zagraniczna nie jest jasna: Hitler robi wszelkie wysiłki, by państwa Zachodu odwieść od zamiaru poparcia Polski w wojnie. Ofiarowuje Francji i Anglii najbardziej przyjazne stosunki po załatwieniu sprawy polskiej. Mussolini podejmuje się pośredniczyć w «sporze» polsko-niemieckim.

Mamy trudności w połączeniu telefonicznym z Paryżem, Londyn ma lepsze połączenie. Trwają ciągle rozmowy i przetargi dyplomatyczne. Hitler chce przynajmniej zyskać na czasie, złamać opór Polski i postawić mocarstwa Zachodu wobec faktu dokonanego, o który walczyć już nie warto. W tym warunkach, na wniosek min. Becka, Rząd Polski wydaje dwa komunikaty.

W pierwszym, Rząd stwierdza, że zgodnie z odwieczną tradycją, Naród Polski podejmuje walkę z Niemcami, rozpoczętą w dniu wczorajszym przekroczeniem granicy polskiej przez wojska niemieckie, usankcjonowanym mową Hitlera w Reichstagu.

Ambasador Lipski otrzymał polecenie opuszczenia Berlina. Chargé d'Affaires niemiecki w Warszawie również zażądał swych papierów.

W tych warunkach, sytuacja jest jasna.

Drugi komunikat z dnia dzisiejszego, polemizuje z przemówieniem radiowym niemieckim, z czwartku, wygłoszonym około godziny jedenastej wieczorem.

Komunikat stwierdza, że Rząd Polski dowiedział się o rzekomych propozycjach niemieckich dopiero z komunikatu radio-

wego, mającego charakter ultimatum, jako cynicznego pretekstu do zaatakowania Polski.

Rzekoma chęć Polski zaatakowania Niemiec, o której wspominał kanclerz Hitler w swej wczorajszej mowie, jest czczym wymysłem. Polska pozytywnie odpowiedziała na próby utrzymania pokoju przez prezydenta Roosevelta, króla Belgii i królowej Holenderskiej, wreszcie na Orędzie Papieskie. Ostatnia próba zgody ze strony Polski, wyrażona w czwartek, pozostała bez odpowiedzi.

W tych warunkach, Niemcy są napastnikiem i to napastnikiem, który, wbrew zapewnieniom danym przez kanclerza Hitlera, że bombardowaniu ulegną jedynie obiekty wojskowe, obrzuca bombami ludność cywilną.

Poza tym, min. Beck polecił ambasadorom Łukasiewiczowi w Paryżu i Raczynskiemu w Londynie żądać od Rządów, przy których są akredytowani, odciążenia choćby części lotnictwa niemieckiego z Polski, przez działania lotnicze na Zachodzie, a to wobec wielokrotnej przewagi lotnictwa niemieckiego nad polskim.

Ultimatum Państw Zachodnich kończy się dopiero jutro, a już dzisiaj jesteśmy mocno naciskani bombardowaniem lotniczym i natarciem wojsk niemieckich wzdłuż całej granicy niemieckiej i czechosłowackiej, a więc z trzech stron. Mimo więc zawartych sojuszów, musimy, jak dotąd, walczyć sami i znieść na sobie całą potęgę Niemiec.

Przed południem wyjeżdżam do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do wsi Błota. Kompania przyboczna strzeże dojścia do willi, której okolice były dziś rano bombardowane przez samoloty niemieckie, gdyż leży ona w pobliżu zapasowego drewnianego mostu przez Wisłę, zbudowanego pod Wilanowem, który widocznie Niemcy starali się zniszczyć — zresztą bezskutecznie.

Melduję Panu Prezydentowi sytuację w kraju i zagraniczną oraz uzyskuje kilka podpisów na Dekretach personalnych nominacji urzędników, po czym wracam po spokojnej drodze do Warszawy. Tu, również, koło południa bombardowanie ustało, tak że posiedzenie Sejmu i Senatu zapowiada się spokojnie.

Jadę jeszcze do Kwatery Głównej uzgodnić moją mowę z marszałkiem Śmigłym. Jest spokój na mieście. Niestety, około godziny 14-ej, gdy wyjeżdżam do Sejmu, zaczyna się bombardowanie lotnicze i to wyraźnie okolic Sejmu. Sprawia to wrażenie, że Niemcy poinformowani są o posiedzeniu. Postanawiamy z marszałkami Makowskim i Miedzińskim odbyć posiedzenie punktualnie, mimo bombardowania i o godzinie 14,30 Rząd i Prezesi Najwyższej Izby Kontroli, Najwyższego Trybunału Administracyjnego i Najwyższego Sądu zajmują swe miejsca w sali Sejmu, wobec pełnego kompletu posłów.

Huk bomb, wybuchających w okolicach sejmu sprawia wrażenie, że za chwilę szklany dach runie na zebranych, co oczywiście sprawiłoby pewne zamieszanie w sprawach państwowych,

nie mówiąc już o osobistych. Marszałek Makowski udziela mi głosu i odczytuję moją mowę, w imieniu Rządu. Mówię o napadzie Niemiec na Polskę, bez powodu słusznego i bez wypowiedzenia wojny. Stwierdzam głęboką ufność Narodu Polskiego w zwycięstwo. Jesteśmy spokojni w tej wielkiej chwili.

Z wojny, którą nam narzucono wyjdziemy jako zwycięzcy.

Będziemy walczyć wszyscy, ramię przy ramieniu i, w Imię Boga, zwyciężymy.

Zwyciężymy w tej wojnie, gdyż nauczył nas Józef Piłsudski, jak zdobywać wolność i jak jej bronić.

Zwyciężymy, gdyż dowodzi nami następca i uczeń Józefa Piłsudskiego, Marszałek Śmigły-Rydz. Zwyciężymy, gdyż mamy potężnych Sprzymierzeńców.

Niewzyciężona Armia Polska pokona odwiecznego wroga naszego narodu, słamie butę teutońską i odeprze gwałt.

Mowa, mimo, że odczytana, sprawiła dobre wrażenie, które było zresztą uwarunkowane podniosłym nastrojem wśród posłów, będących na pewno emanacją woli Narodu.

Posłowie i senatorowie chcą masowo wstępować do wojska. Po mnie, w Sejmie przemawiało trzech posłów: przedstawiciel społeczeństwa polskiego, po nim Ukrainiec — poseł Mudryj i Żyd — poseł Seideman. Podnieśli oni jednogłośnie wolę całej ludności Polski oparcia się najazdowi niemieckiemu, bez względu na wielkość wymaganych do tego ofiar. Czulo się całkowitą determinacją walki o istnienie zbiorowego życia, zwanego Polską, zagrożonego tak nagle i brutalnie z dnia na dzień, determinacją, która była udziałem przygniatającej większości mieszkańców Polski.

Około wpół do czwartej, posiedzenie Sejmu skończyło się, ciągle przy huku bomb lotniczych.

W przerwie między posiedzeniem Sejmu a Senatu urządziliśmy z marszałkami Makowskim i Miedzińskim, by wstrzymywać posłów i senatorów od masowego wstępowania do wojska. Do wielu spraw potrzebna będzie waga głosu Sejmu i Senatu w czasie tej ciężkiej wojny i dlatego ciała parlamentarne muszą funkcjonować prawidłowo i przy odpowiedniej ilości posłów i senatorów. Marszałkowie przyrzekli robić tylko nieliczne wyjątki w tej zasadzie, jak np. dla wicemarszałka Sejmu, płk. Wendy, który odchodzi do Naczelnego Dowództwa, jako oficer przyboczny Marszałka Śmigłego.

Tymczasem bombardowanie lotnicze ustało i, punktualnie o godzinie 17-ej, odbyło się pod przewodnictwem marszałka Miedzińskiego, posiedzenie Senatu, na którym znów odczytałem moją mowę, popartą jednomyślnie oświadczeniami senatorów, podobnie jak w Sejmie, wypowiedzeniami w imieniu ludności polskiej, później w imieniu Ukraińców, a następnie w imieniu ludności żydowskiej.

W swym pięknym przemówieniu, wypowiedzianym w związku z wybuchem wojny, wicemarszałek Senatu płk. Dąbkowski

zreferował również, przeprowadzoną przez Sejm zmianę Ordynacji Wyborczej, w myśl której posłowie i senatorowie, wstępujący na czas wojny do wojska, otrzymują urlop z Ciał Ustawodawczych i nie tracą mandatów. Zmiana ta została uchwalona jednogłośnie, jako symbol łączności Ciał Ustawodawczych z Wojskiem, walczącym za Polskę. O godzinie 17-ej min. 30 posiedzenie Senatu zostało ukończone.

Pod wieczór pojechałem na Dworzec Wschodni, gdzie nisko lecący samolot niemiecki rzucił bombę wprost na halę, oznaczoną znakiem Czerwonego Krzyża, w której leżeli ranni żołnierze i cywilni. Część hali została zniszczona, zabijając wielu rannych. Zamiast spodziewanego sterroryzowania, wywołało to odruch oburzenia i chęć odwetu wśród żołnierzy i ludności, za ten barbarzyński akt świadomego zabijania rannych. Ilość ofiar jeszcze nie znana, gdyż straż ogniowa i kolejarze pracują nad usuwaniem gruzów.

Dzisiaj min. Rolnictwa, Poniatowski, wyjechał na inspekcję do Torunia, celem sprawdzenia ewakuacji rolniczych, bydła zarodowego, koni i zboża z obszaru województwa pomorskiego. W Warszawie zastępować go będzie na czas nieobecności, wicemin. Rolnictwa Krawulski.

3 września 1939 r. Niedziela.

Bombardowanie stolicy znów jest dzisiaj rozpoczęte, z punktualnością niemiecką — o godzinie 6 rano.

Wiadomości z frontu nie są pomyślne. Po bohaterskich walkach na Śląsku, jesteśmy zmuszeni ewakuować Katowice. W myśl opracowanego Planu Ewakuacyjnego Województw Zachodnich, urząd wojewódzki z wicewojewodą Salonim, policja z inspektorem Żółtaszkiem i biura starostw zostają skierowane do Lublina, drogą na Kielce.

Wzwany zostałem do marszałka Śmigłego, który mi oświadczył, iż w myśl naszych rozmów, Pan Prezydent Rzeczypospolitej zatwierdził wejście gen. Sosnkowskiego do Rządu, jako ministra. Obecny generał Sosnkowski oświadczył swą gotowość wejścia do Rządu, bez zbytecznego zapatu. Widoczne było, iż drogo kosztuje wyrzeczenie się funkcji dowodzenia, i że robi to jedynie ze względu na nalegania Marszałka Śmigłego, który chce w ten sposób dodać powagi memu Rządowi. Gdyśmy zostali sami w hallu podziemia Kwatery Głównej, gen. Sosnkowski wyraził swe zdanie, iż w tej, krytycznej dla Państwa chwili, należy stworzyć rząd koalicyjny, złożony z przedstawicieli wszystkich stronnictw politycznych.

Uważając, iż nie należy «przeprzegać koni, gdy wóz stoi w brodzie», odpowiedziałem, iż moim zdaniem, Rząd mój, w tej chwili wyteżonej walki z Niemcami, posiada zaufanie znacznej większości społeczeństwa, a może całego Narodu, zmiana więc Rządu nie poprawi naszej sytuacji, której ciężar leży w przewadze uzbójstwa Niemców. Gen. Sosnkowski, mimo to, po-

wtórzył swą propozycję rozszerzenia Rządu Polskiego. Po tej krótkiej rozmowie gen. Sosnkowski poddyktował mi nazwiska kilku współpracowników, których chciałby mieć w swym Ministerstwie, po czym odszedł do Marszałka Śmigłego, celem omówienia sytuacji wojennej naszych wojsk.

Jednocześnie, do Rządu wejdzie wojewoda śląski, Grażyński, jako minister Propagandy. Poza tym, w posiedzeniach Rady Ministrów bierze udział, będący w randze ministra, Generalny Komisarz Cywilny przy Naczelnym Dowództwie, Kostek Biernacki, były wojewoda poleski.

Marszałek Śmigły zawiadomił mnie dalej, iż wobec postępu Niemców, należy przygotować ewakuację urzędów za Wisłę, na prawy jej brzeg, gdyż marszałek przewiduje opór Wojsk Polskich na linii rzeki Wisły.

Wróciwszy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, oddałem techniczną stronę przygotowania dekretów nominacyjnych dla dwóch nowych ministrów w ręce wicemin. Brzozowskiego.

Rozpoczęliśmy w Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwie Spraw Wewnętrznych palenie wszystkich, niezbędnych w czasie pokoju, a obecnie zbytecznych papierów z lat ubiegłych. Dym i płaty spalonego papieru wydobywały się odtąd, przez kilka dni ze wszystkich kominów Ministerstwa, wskazując ludności Warszawy, że coś jest nie w porządku z urzędami, gdy palą tyle papieru. Był to pierwszy objaw ewakuacji urzędów, a więc złej sytuacji bojowej.

Na tle tych smutnych przygotowań zajaśniał radosny fakt, że Anglia i Francja, po upływie 48 godzin ich ultimatum, wypowiedziały wojnę Niemcom.

Udało się nam więc uzyskać to, czego nie otrzymali Czesi — pomoc Anglii i Francji! Jest to wielka rzecz w tej wojnie, którą dotąd prowadziliśmy sami, absolutnie sami.

Rozumieją to wszyscy. Odbywają się manifestacje przed Ambasadą Angielską przy ulicy Nowy-Swiat, Francuską przy ulicy Frascatti oraz przed Ambasadą Amerykańską. I pomyśleć, że alians polsko-angielski zawarliśmy dopiero 25 sierpnia tego roku, czyli tydzień temu. W sam czas! Na ulicach Warszawy, pomimo bombardowania lotniczego maszerują tłumy ludzi, krzycząc: «Niech żyje Anglia, niech żyje Francja!» i śpiewając Marsylianę.

Dzisiaj, o godzinie 11-ej rano, premier angielski Chamberlain wygłosił mowę do narodów, w której powiedział między innymi: «My, razem z Francją, mamy wypełnić nasze zobowiązanie, przychodząc z pomocą Polsce, która tak dzielnie opiera się temu złemu i niesprawokowanemu atakowi na swój naród».

Odetchnęliśmy z ulgą. Przynajmniej, jak mówili Czesi: «Nie jesteście sami».

Zobaczymy tylko, jak prędko odczujemy tu w Polsce pomoc naszych aliantów i czy będzie ona dość wydatna.

Wśród ogólnego podniosłego nastroju ludności zdarzają się

przykre wyjątki. Są ludzie, usiłujący zarabiać na wojnie. U jednego rzeźnika znaleziono 10 tysięcy kilogramów słoniny. Został wystany do Berezy, a sklep jego zamknięty z napisem: «Paskarz, wystany do Berezy, sklep zamknięty».

Kazałem powtórzyć telefonogram do wojewodów z 27 sierpnia rb. o tępieniu wszelkiego ukrywania żywności.

W Warszawie wszystkie sklepy są pootwierane i ceny wypisane na wystawie sklepu. Istnieje jednak już tajny handel żywnością, naturalnie po wyższych cenach od przepisanych. Mimo, że Polska jest krajem rolniczym, są specjaliści i specjalistki od robienia wielkich zapasów, «bo to wojna».

Na ogół jednak, kupcy rozumieją swój patriotyczny obowiązek i ceny dotąd nie drgnęły. Nie jest więc źle w sprawie zaopatrywania ludności w żywność, tym bardziej, że zapobiegliwi porobili pewne nieduże zapasy, w myśl udzielonych wskazówek przez władze samorządowe, jeszcze przed wybuchem wojny.

Warszawa, 4 września 1939. Poniedziałek.

Od rana trwa regularne bombardowanie lotnicze Warszawy. Już się do niego przyzwyczailiśmy i spokojnie pracujemy w biurach, mimo alarmujących ostrzeżeń w radio: «Uwaga, uwaga, nadchodzi!» Unikamy tylko siedzenia przy oknie i chodzenia po dziedzińcu, gdyż odłamki pocisków naszej artylerii przeciwlotniczej fruują w powietrzu i spadają na bruk. Bomby do nas nie dochodzą, ponieważ bombardowanie odbywa się głównie w okolicy dworców kolejowych i w dzielnicach fabrycznych. Mimo to jednak, z naszego podwórza, gdy się podniesie głowę, można widzieć naraz dziesiątek niemieckich samolotów, błyszczących w promieniach jesiennego słońca, którego, niestety, nie zastania ani jedna chmurka.

Dzisiaj zostały już zagrożone przez oddziały pancerne niemieckie, Łódź i Kielce. Wojewoda Dziadosz telefonuje z Kielc, że przed miastem nie ma Niemców, ale ma telefony od starostów z Końskich i Opoczna, że obok tych miast przechodzą czołgi niemieckie, kierujące się na Radom i okręg przemysłowy Skarżyska.

Takie kolumny czołgów niemieckich, niestety, zapuszczają się daleko na tyły naszych wojsk, krając kraj swymi zagonami. Piechota nasza bije piechotę niemiecką, przy spotkaniu z nią oko w oko, ale jest bezsilna w walce z czołgami, które odcinają nasze oddziały od baz zaopatrywania, wyprzedzając je w odwrocie, dzięki przewadze szybkości motoru nad szybkością nóg piechura i niszczą łączność walczących wojsk.

Liczymy jednak, że czołgi zatrzymane zostaną na linii rzeki Wisły, która choć niestety w tej chwili bardzo płytka, jest dla nich dużą przeszkodą.

Tymczasem, w myśl wskazówek Naczelnego Dowództwa, robimy szybkie przygotowania do ewakuacji i rzutu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Prezydium Rady Ministrów. Eszelon

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych prowadzi wicemin. Korsak. Ewakuuje on Departament Samorządowy z dyr. Podwińskim, Departament Administracyjny z dyr. Godlewskim, Szefostwo Gabinetu Ministra z dyr. Hausnerem oraz Główny Urząd Statystyczny z dyr. Sturm de Stremen na czele.

Biura Prezydium Rady Ministrów ewakuuje wicemin. Brzozowski, pozostawiając na miejscu w Warszawie tylko dyr. Olpińskiego. Dyrektorzy: Poniatowski, Jagiełło, Paprocki i Kucharski ewakuują swe Biura tej nocy z wicemin. Brzozowskim.

Wysyłam również naczelnika, sekretarza Stawickiego, aby zajął się przygotowaniem Biur Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Lublinie.

Ewakuacja Ministerstw odbywa się w myśl opracowanego przed kilku tygodniami, w miesiącu lipcu br., planu ewakuacji Rządu, do przygotowanego zawczasu obszaru w województwie Lubelskim. Obszar ten wybrałem osobiście i objechałem cały w towarzystwie wojewody lubelskiego (Tramencourt'a i dyr. Olpińskiego). Gros urzędów ma być umieszczone w samym Lublinie i okolicy, a więc Prezydium Rady Ministrów, Sejm i Senat, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Skarbu. Dyplomacja i Ministerstwo Spraw Zagranicznych zajmują Kazimierz i Nałęczów. Inne Ministerstwa rozlokowane zostały w niedalekiej odległości od Lublina. Archiwa i niektóre biura skierowane zostają do Zamościa i Tomaszowa Lubelskiego.

Każde Ministerstwo wysyła tej nocy, z 4-go na 5-ty wrzesień, większość swych departamentów, pozostawiając w Warszawie przy ministrze jedynie mały sztab urzędników, potrzebnych do bieżącej pracy na czas wojny.

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zostaje ze mną wicemin. Nakoniecznikoff-Klukowski i dyr. Żyborski ze swym Departamentem Politycznym oraz Komenda Główna Policji, z gen. Kordianem Zamorskim na czele.

Ewakuowane urzędy mają niezwłocznie rozpocząć urzędowanie na nowym miejscu pobytu tak, by sprawy Państwa ucierpiały jak najmniej z powodu ewakuacji. Nawiazują one niezwłocznie po rozpoczęciu urzędowania, kontakt z pozostałymi w Warszawie ministrami. Tym sposobem, nawet w razie konieczności ewakuowania urzędów z Warszawy, zachowamy spokój i ciągłość urzędowania Ministerstw.

Pierwsze pociągi ewakuacyjne mają odejść z dworców na Pradze, dzisiaj o godzinie 10-ej wieczorem. W całym Ministerstwie odbywa się gorączkowe pakowanie, «zabijanie» papierów do pak i pożegnania wśród odjeżdżających i pozostających urzędników.

W godzinach rannych zjawili się u mnie b. wicemin. Koc i b. min. Skarbu Matuszewski, celem uzyskania pomocy administracji przy wywożeniu złota z Banku Polskiego, które uskutecznią w porozumieniu z wicepremierem, min. Skarbu Kwiatkowskim, a to wobec postępów Niemców w terenie. Wy-

dają im glejty, zapewniające pomoc wszelkich władz cywilnych i wojskowych.

Wywożą oni złoto z Warszawy: część do Lublina, część do Brześcia, gdzie ma być przechowane w podziemiach jednego z fortów, użyczonych na ten cel przez Ministerstwo Spraw Wojskowych.

Ponieważ samochody specjalne Banku Polskiego nie zabiorą całego złota, wobec tego mamy okazać pomoc również w rekwirowaniu samochodów pod złoto. Wyjazd ze złotem, ze względu na napiętą sytuację wojenną, ma nastąpić możliwie szybko. Część złota naszego, na szczęście jeszcze przed wojną, wywieziona została zagranicę, dzięki zapobiegliwości wicepremiera Kwiatkowskiego.

Z Wilna nacelnik wydziału politycznego województwa, Jasiński, melduje, że Poselstwo nasze w Rydze prosi przez niego o kontakt z Ministerstwem Spraw Zagranicznych w Warszawie, gdyż bezpośrednio nie może się połączyć. Istnieją więc już trudności komunikacji telefonicznej. Poza tym, nacelnik Jasiński melduje, iż Komisarz Generalny Polski w Gdańsku, Chodacki, oraz 10 urzędników Komisariatu są zatrzymani przez Niemców w Gdańsku i pobici, niektórzy do utraty przytomności.

Przekazujemy tę oburzącą wiadomość nowego bestialstwa Niemców Ministerstwu Spraw Zagranicznych, do ewentualnej interwencji.

Min. Beck udzielił dzisiaj wyczerpującej odpowiedzi Poselstwu Holenderskiemu w Warszawie w sprawie bombardowania miast otwartych i ludności cywilnej.

Poselstwo Holenderskie, w zastępstwie Niemiec, zwróciło się w dniu 2 września do naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z notą niemiecką, w której podane jest, iż siły powietrzne niemieckie otrzymały rozkaz ograniczenia się do bombardowania jedynie obiektów wojskowych. Naturalnie, rozkaz ten będzie utrzymany jedynie w wypadku, gdy lotnictwo polskie zastosuje się również do tego ograniczenia. W przeciwnym razie, będą niezwłocznie zastosowane najsurowsze represje, grożą Niemcy.

Na notę tę odpowiedziało nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych tegoż dnia, iż lotnictwo polskie otrzymało rozkaz ograniczenia bombardowań do obiektów wojskowych jeszcze przed rozpoczęciem operacji wojennych. Ten rozkaz jest ściśle wypełniany, mimo że bombardowanie lotnictwa niemieckiego dosięgło już ludności cywilnej w miastach otwartych. Rozkaz ten pozostaje w mocy dla naszego lotnictwa.

Poza tym, w dniu dzisiejszym Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało do Poselstwa Holenderskiego notę werbalną, w której mówi, iż lotnictwo niemieckie bombarduje nawet wieś i strzela do ludzi pracujących w polu. Ostatnio, w czasie bombardowania uzdrowiska pod Warszawą, została uszkodzona willa ambasadora Stanów Zjednoczonych Drexel-Biddle. Był również bombardowany dworzec kolejowy, na którym stał pociąg

Czerwonego Krzyża. Fakty te miały miejsce, mimo że działalność lotnictwa polskiego jest bez zarzutu.

Wojewoda poznański, Bociański, telefonuje, iż, w myśl ogólnych zarządzeń ewakuacyjnych, opuścił Poznań, wobec odejścia stamtąd władz wojskowych. W Poznaniu pozostała straż obywatelska. Pociąg, ewakuujący biura województwa, został zniszczony bombardowaniem lotniczym pod Wrześnią. Dalej, wojewoda melduje, iż już 2-go września, wobec uporczywego bombardowania więzienia we Wronkach, ewakuowano je, transportując 1200 więźniów pieszo na wschód.

Wojewoda Bociański wyjechał naprzód do Gniezna, gdzie zastał silne bombardowanie z samolotów niemieckich. Starosta Kasprzak biadał nad każdym zniszczonym zabytkiem swego pięknego miasta.

W Koninie, policja województwa poznańskiego, pod dowództwem inspektora Sawickiego, objęła odcinek obrony Warty. Biura województwa przeszły do Koła i Kłodawy.

Poleciłem wojewodzie Bociańskiemu niezwłoczne przybycie do Warszawy, celem wykorzystania go przy nadzorowaniu i normowaniu ewakuacji urzędów administracyjnych. Dalszą ewakuację urzędu wojewódzkiego przeprowadzi wicewojewoda Łepkowski.

Gen. Zamorski melduje, iż w okolicach Sochaczewa znajduje się dość duża ilość zbłąkanych, lekko rannych i chorych żołnierzy z armij gen. Bortnowskiego i Kutrzeby, które biją się w okolicach Kutna. Wydałem wicewojewodzie warszawskiemu, Myśliwskiemu, odnośne zarządzenia. Z wojewodą warszawskim, Paciorkowskim, omówiłem sprawę ewakuacji i inne zarządzenia, będące w związku z wejściem Niemców do zachodniej części jego województwa.

Urządujemy obecnie 24 godziny, bez godzin biurowych, śpiąc w przerwach między ważnymi meldunkami. W sekretariacie zmieniają się kolejno na służbie: radca Karwowski, nacelnik Piotrowski, Peżko i Morawski oraz, przy telefonie, przedownicy policji Pawłowski, Bogusławski, Jełowicki i Krupiński. Wszyscy oni mają dosyć roboty, gdyż telefony «urywają się» od nadmiaru wiadomości, niestety, niezbyt różowych.

Wieczorem, przy świetle księżycy, odcinają się wyraźnie na tle nieba 2 balony na uwięzi, strzegące Warszawy. Jest godzina 23-cia. Żaden z pociągów ewakuacyjnych nie opuścił jeszcze Warszawy i nie wiadomo, o której pociągi te zaczną odchodzić. Bombardowanie węzłów kolejowych spowodowało zatory na liniach komunikacyjnych, chociaż kolejarze pracują, jak bohaterowie, pod ogniem bomb i karabinów maszynowych samolotów niemieckich. Poza tym, wolne linie kolejowe zajmują transporty wojskowe. Stąd, ta zwłoka w ewakuacji ministerstw.

Biedni urzędnicy siedzą już od kilku godzin w wagonach, oczekując na odjazd pociągów.

Jak zwykle, od zmroku miasto nie jest bombardowane.

«Piłujemy» władze kolejowe o wypuszczenie naszych pociągów ewakuacyjnych w nocy, by mogły uniknąć porannego bombardowania dworców kolejowych, które rozpoczyna się między 5—6 rano.

Pomimo częściowej ewakuacji Ministerstwa, nad kominem unoszą się ciągle jeszcze dymy palonych papierów, których wywieźć nie można, lub nie warto. Kominy rozgrzane grożą zapaleniem się sadzy. Wyraz «ewakuacja» nie schodzi z ust we wszystkich urzędach ministerstw. W każdym ministerstwie urzęduje, wyznaczony przed kilku tygodniami wyższy urzędnik, jako Komisarz Ewakuacyjny, który w szczegółach technicznych komunikuje się bezpośrednio z dyr. Opińskim w Prezydium Rady Ministrów. Mimo to, omawiam szczegółowo z każdym ministrem ewakuację odnośnych biur ministerstwa. Wobec tego, że wierzymy wszyscy, iż ewakuacja ministerstw z Warszawy jest przejściowa, ministrowie chcieliby zostawić w Warszawie jak najwięcej urzędników, by nie przerywać urzędowania i nie pozabawiać się warsztatu pracy.

Dzisiaj, dopiero o godz. 11-ej wieczorem, mogłem omówić ewakuację biur Najwyższej Izby Kontroli z Prezesem gen. Krzemieńskim. W myśl moich wskazówek, wysłał on w dniu jutrzejszym biura swego urzędu do Tomaszowa Lubelskiego, sam jednak chce zostać z Rządem w Warszawie. Proszę go, by wyjechał, nie czekając na Rząd, co też przyrzeka zrobić. Żegnamy się, jak przed podróżą.

Później, omówiłem ewakuację Najwyższego Trybunału Administracyjnego z Prezesem Hełczyńskim.

Prezes Sądu Najwyższego Supiński i Sąd ewakuują się z Ministerstwem Sprawiedliwości, w porozumieniu z ministrem Grabowskim.

W godzinach rannych omówiłem dzisiaj również ewakuację Sejmu i Senatu z Marszałkami Makowskim i Miedzińskim.

Warszawa, 5 września 1939 r. Wtorek.

Niestety pierwszy pociąg ewakuacyjny ministerstw odszedł dopiero dzisiaj o 5-ej rano, a następne odchodziły aż do południa. Odetchnęliśmy, gdy wreszcie odeszły, gdyż bombardowanie miasta z samolotów niemieckich nie jest dzisiaj wcale słabsze, niż dni poprzednich.

O godz. 10-ej rano odbyła się w Katedrze św. Jana uroczysta Msza święta, celebrowana przez kardynała Hlonda, za pomyślność Oręża Polskiego.

Kardynał Hlond został specjalnie zaproszony przez władze wojskowe do odprawienia tej Mszy, jako Prymas Polski. Tymczasem, obecnie, na skutek zajęcia Poznania przez Niemców, został odcięty od swej Archidiecezji, nad czym bardzo cierpi.

Po mszy, gdy w zakrystii, imieniem Rządu dziękowałem Księdzu Prymasowi za odprawienie nabożeństwa, wyraził on, głę-

boką wiarą nacechowane przekonanie, że, mimo obecnych trudności, Polska ostatecznie zwycięży.

Te słowa były wypowiedziane przy huku bomb lotniczych, pękających w okolicy Katedry. Znowu miało się wrażenie, że Niemcy wiedzieli o nabożeństwie w Katedrze tak, jak to wydawało się z posiedzeniem Sejmu i Senatu.

Po nabożeństwie, o godzinie 11-ej min. 30 odbyła się w mym gabinecie Rada Ministrów, na której omówione zostały dalsze szczegóły ewakuacji Rządu do Lubelszczyzny, oraz, na wniosek min. Skarbu Kwiatkowskiego, uchwalono wypłacić wszystkim urzędnikom ewakuowanym z miejsca stałego zatrudnienia, 3-miesięczne pobory i to, możliwie jeszcze przed opuszczeniem ich siedzib.

Dłuższą dyskusję wywołała sprawa ewakuowania przemysłu wojennego. Centralny Okręg Przemysłowy pracuje, ale straciliśmy już przemysł nasz na Śląsku a Łódź z okolicą i okręg Skarżysko-Starachowice są mocno zagrożone. Przy ewakuacji Śląska próby wywiezienia większych maszyn nie udały się na skutek braku czasu oraz bombardowania linii kolejowych, dworców i szos. Dochodzimy więc do wniosku, że należy ewakuować przede wszystkim wojenne maszyny i warsztaty reparacyjne oraz służące do regeneracji amunicji. Warsztaty te, możliwie kompletne, kierować należy od razu do wschodnich województw, wykorzystując do instalowania ich miejscowości, gdzie istnieje już choćby drobny przemysł. Wykonanie tej uchwały spada na barki min. Romana i Kasprzyckiego oraz wicemin. Rosego i gen. Litwinowicza. Sprawa przystosowania aprowizacji wojska i ludności cywilnej do zmienionych warunków wojennych referowana była przez min. Poniatowskiego i wicemin. aprowizacji Wierusz-Kowalskiego.

Na wstępie swego referatu min. Poniatowski podaje wyniki swej kilkudniowej inspekcji w Toruniu i powiatach województwa pomorskiego oraz, leżących po drodze, powiatach województwa warszawskiego, mającej na celu stwierdzenie stanu ewakuacji urzędów rolniczych z obszaru województwa pomorskiego. Droga była uciążliwa, ze względu na przepełnienie uchoźcami szos i mostów w okolicach Torunia i Włocławka. W bombardowanym 2 razy w ciągu niedzieli Toruniu, min. Poniatowski odbył konferencję z wojewodą pomorskim, Raczkiewiczem. Wywiezienie maszyn i wyprowadzenie byłą zarobkowe jest mocno utrudnione, wobec szybkości posunięć niemieckich oddziałów pancernych oraz ciągłego bombardowania lotniczego. Natomiast, świetnie funkcjonuje dostawa zboża do powiatowych punktów aprowizacyjnych, zabieranego natychmiast przez wojsko. Rolnicy dostarczają zboże pod ogniem bomb lotniczych, a nawet pod ogniem artylerii niemieckiej, uważając dowiezienie zboża dla wojska za swój obowiązek patriotyczny. Doskonale również pracuje bekoniarńia pod Włocławkiem, zaopatrując całym swym zapasem przeciagające i wal-



czące w pobliżu oddziały wojska, bez zbędnych formalności.

Grażynski, jako minister propagandy, wygłosił dziś przemówienie przez radio, w którym wezwie ludność do wstrzymania się od niepotrzebnej, a nawet szkodliwej ewakuacji z miejsc zamieszkania. Niemcy umyślnie straszą ludność okrucieństwami, by zapchać drogi wozami uciekinierów, co utrudnia bardzo ruchy wojska i taborów. Ewakuować się powinni jedynie mężczyźni w wieku poborowym.

Przy końcu posiedzenia, min. Ulrych przedstawił pracę kolei pod stałym bombardowaniem lotniczym, a min. poczty, Kaliński, wysiłki w utrzymaniu łączności telefonicznej i telegraficznej.

Gen. Zamorski organizuje z policji ewakuowanych województw oddziały do oczyszczania dróg z uciekinierów i tworzenia, razem z oddziałami wojska, kordonu ochronnego wzdłuż brzegu Wisły, celem powstrzymania fali uchodźców na przeprawach i mostach przez rzeki.

Korpus dyplomatyczny wyjechał dzisiaj do Kazimierza n/Wisłą i do Nałęczowa, w myśl planu ewakuacyjnego. Na dachach samochodów dyplomatów rozłożone zostały chorągwie odnoszących państw neutralnych, celem ochrony przed bombardowaniem. Przedstawiciele zagraniczni mogli jechać jedynie dość powoli, ze względu na zapchanie dróg, wiodących z Warszawy w kierunku Lublina, który był już również bombardowany przez lotnictwo niemieckie.

Naczelnik Czekalski z urzędu wojewódzkiego warszawskiego melduje, że w dniu dzisiejszym przed południem w okolicy siedziby Pana Prezydenta, we wsi Błota pod Faleńcą, zjawili się, podobno, spadochroniarze niemieccy, być może ze względu na zbudowany tam drewniany zapasowy most na Wiśle. Celem przyścia z pomocą kompanii Zamkowej, gen. Zamorski wysłał szwadron policji konnej z Warszawy, który będzie patrolował okolice rezydencji Prezydenta Rzeczypospolitej i mostu na Wiśle.

Jak dotychczas, nie mamy objawów, tak gorąco oczekiwanej pomocy Aliantów, chociażby lotniczej, ale mamy nadzieję, że za parę dni pomoc ta nastąpi. Robimy w tym kierunku nieustające zabiegi na drodze wojskowej i dyplomatycznej.

Wszyscy pragną bombardowania Berlina w odwet za bombardowanie Warszawy i tylu innych miast polskich. Dzisiejsze wiadomości, iż bombardowanie Berlina przez lotnictwo sprzymierzonych odbyło się tej nocy, okazały się niestety nieprawdziwe.

Zameldował się wojewoda Bociński, zmęczony i wyczerpany podróżą ewakuacyjną. Opóźnił on swój przyjazd, gdyż policja województwa poznańskiego walczyła ze spadochroniarzami niemieckimi w okolicach Koła. Zostali oni wybici, lub wzięci do niewoli.

Ze względu na zmęczenie wojewody Bocińskiego, polecam mu wypaść się i być w Ministerstwie jutro rano.

Wieczorem wyjechaliśmy drogą nad Wisłą, idącą do Faleńcy, z wicepremierem Kwiatkowskim, by zameldować się u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, celem poinformowania Go o sytuacji wojennej, w kraju i zagranicą. W okolicy willi patrolowała już warszawska konna policja. Do Błot jechaliśmy szybko, gdyż było jeszcze dosyć widno. Pan Prezydent na nasze przedstawienia powziął decyzję wyjazdu jutro nad ranem do państwowego majątku leśnego, leżącego pod Lublinem. Jest pełen otuchy i wiary w zwycięstwo naszej słusznej sprawy, mimo ciężkich okoliczności, w których obecnie się znajdujemy i będziemy jeszcze się znajdować.

Droga nasza powrotna do Warszawy rozpoczęła się wyrznięciem bomby w pobliżu nas, przez jakiegoś zapóźnionego lotnika niemieckiego, który spuścił swój ładunek w pobliżu mostu na Wiśle, wyraźnie odcinającego się od posrebrzonej światłem księżycy wody. Na szczęście był to przypadek zupełnie odosobniony i do Warszawy wracaliśmy już spokojnie, ale bardzo wolno.

Z początku próbowaliśmy jechać szybko ze światłem, ale w każdej miejscowości straż obywatelska zatrzymywała nas i trzeba się było tłumaczyć, dlaczego jedziemy ze światłami. Każdy przechodzień zresztą ryczał: «światło»! Woleliśmy więc jechać zupełnie wolno przy świetle księżycy, niż być stale zatrzymywani po drodze. Tak, nie molestowani więcej, przybyliśmy do Warszawy.

Długie jest 14 wojennych kilometrów, które w czasie pokoju robiło się w 15 minut. Dłużyło nam się tym bardziej, że noc wrześniowa jest już dobrze chłodna, niestety, bez deszczu i małej nawet chmurki na niebie. Za to na niebie wojenno-politycznym wielkie chmury wałęsają na nas, bo niemieckie oddziały pancerne obeszły już Łódź, są więc zaledwie około 100 klm. od Warszawy.

Pórnym wieczorem odbyłem konferencję z wojewodą grodzkim Jaroszewiczem, w sprawie sytuacji w stolicy, której nastroje są doskonałe.

Warszawa, 6 wrzesień 1939 r. Środa.

Dzisiaj rano, radosna wiadomość, że lotnictwo angielskie bombardowało Wilhelmshafen w Niemczech. Żeby więcej takich wiadomości. Na razie my tu jesteśmy bombardowani coraz mocniej, przy czym dzisiaj wyraźnie bomby rzucane są na mosty na Wiśle. Dotychczas szkód na mostach nie ma, ale nie są w przyszłości wykluczone, gdyż samoloty niemieckie latają nisko, tuż nad mostami.

Ruch przez Wisłę został utrudniony, ale bynajmniej nie ustał: wozy przejeżdżają jak najszybciej most, korzystając z przerw w rzucaniu bomb, które wznoszą wysokie fontanny wody, wpadając do rzeki. Policja, po obu stronach mostów, reguluje ten

ruch przyśpieszony, obserwując niebo i przelot samolotów niemieckich.

Sytuacja na froncie pogorszyła się. Pancerne oddziały niemieckie są już w połowie drogi między Łodzią a Warszawą.

Marszałek Śmigły wezwał mnie do Kwatery Głównej, mówiąc, że oddziały pancerne niemieckie zbliżają się do Warszawy od południowego zachodu, mimo że generałowie Kutrzeba i Bortnowski walczą wspaniale w rejonie Kutno—Łowicz. Przygotowywana jest obrona rzeki Wisły.

W tych warunkach Naczelne Dowództwo i Rząd wycofuja się. Naczelne Dowództwo do Brześcia nad Bugiem, a Rząd do rejonu: Łuck—Dubno—Równe.

Ewakuacja Rządu w rejon Lublina przestaje być aktualna, wobec organizowania obrony na rzece Wiśle.

Marszałek zrobi wszystko, by Sztab ścisły i Rząd pozostawał w Warszawie możliwie długo, ze względu na fatalne wrażenie, jakie wywoła w społeczeństwie opuszczenie stolicy przez Rząd. Jednak, jeżeli nie uda się Niemców zatrzymać, tej nocy trzeba będzie opuścić Warszawę.

Gen. Sosnkowski nie wejdzie, jako minister do Rządu, gdyż ulegając jego życzeniom Marszałek powierzył mu funkcje dowodzenia na froncie.

Pierwszy rzut biur Ministerstw należy niezwłocznie skierować z okolic Lublina w rejon Łucka, dyplomacja przejdzie z bombardowanego wciąż Natęczowa i Kazimierza do Krzemieńca.

Tu, w Warszawie trzeba również przygotować wszystko do ewakuacji Rządu.

Pożegnałem się z ciężkim sercem i wracałem powoli do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na rogu ulicy Puławskiej i Rakowieckiej spostrzegłem grupę ludzi i, gdy podjechałem bliżej, zobaczyłem żołnierzy, kopiających stanowisko dla działka przeciwpancernego. Ludzie w milczeniu patrzyli na tę pracę bojową na ulicy Warszawy... Twarze ich były skupione i zdecydowane.

Na rogu Nowego Świata i Książęcej naskoczył na nas nalot samolotów niemieckich, lecących nisko. Nagle, spod samolotów zaczęły sypywać, wirując w słońcu, białe kartki papieru. Spadały jak śnieg, aż zasyły ulicę. Tłum rzucił się, by je podnosić.

«Co oni tam piszą?» spytałem młodego człowieka, który trzymał parę ulotek w ręku.

«Co piszą, odpowiedział, głupstwa piszą, żeby się poddać».

Rzeczywiście, w ulotce «stało», że Polacy powinni się poddać, gdyż bombardowanie niszczy Kraj, a klika, która wywołała wojnę, i Rząd Polski już uciekli ze stolicy i nie wiadomo, gdzie się w tej chwili znajdują. Alianci Polsce nie pomogli i nie pomogą na pewno nigdy.

Nagle jakiś głos zawołał: «Niemcy chcą żeby się poddać, że nie ma Rządu, a Rząd jest z nami. Nie damy się! Niech żyje generał Składkowski!» Tłum podchwycił okrzyk: «Niech żyje».

Podziękowałem i odjeżdżałem z ciężkim sercem do Ministerstwa, myśląc, jak zawiodą się ci ludzie, gdy dowiedzą się wkrótce o opuszczeniu stolicy przez Rząd i Naczelne Dowództwo.

Zwołałem, na termin, za godzinę, Radę Ministrów, by przygotować zmienioną ewakuację Rządu.

Zameldował się wojewoda Bociński. Dałem mu nominację na Generalnego Kwatermistrza Rządu, z zadaniem skierowania z rejonu Lublin do rejonu Łuck wszystkich Ministerstw jak najszybciej. Z wojewodą Bocińskim melduje się starosta kaliski, Soboniewski. Przydzielałem go do pomocy wojewodzie w jego funkcjach kwatermistrzowskich. Mają dzisiaj jechać do Lublina i tam pracować z wojewodą Lubelskim Tramencourtem, nad nowym przesunięciem urzędów centralnych.

Starosta Soboniewski podaje «garść» szczegółów z mego okręgu wyborczego, gdzie jestem posłem, powiatów kaliskiego i turckiego. Szczegóły napełniają dumą i otuchą w tej smutnej sytuacji. W Kaliszu i Turku, mimo bombardowań, społeczeństwo w podniosłym nastroju weszło do wojny. Kolega mój, poseł Karśnicki zgłosił się do wojska. W sobotę 3. IX., w Kaliszu, ks. prałat Janowski odprawił uroczyste nabożeństwo w przepelnionym kościele.

Pierwszym smutnym objawem były rzesze uciekinierów z Ostrowa i Krotoszyńna. Starosta Soboniewski wycofał się z Kalisza, razem z generałem Alterem, dowódcą 25 Dywizji Piechoty, dnia 4. IX., o godzinie 1,30 w nocy, gdy Niemcy wchodzili do Kalisza od strony Opatówka. W mieście pozostała milicja obywatelska. W Turku Soboniewski zastał starostę Sulkowskiego jeszcze urzędującego. Naturalnie, zaczął się i on pakować, gdyż Niemcy byli tuż.

Wszędzie, wycofanie się władz i wojska sprawiało przynębiające wrażenie na ludności.

Ale nie ma czasu na długie opowiadania, gdyż oto schodzą się już ministrowie na Radę.

Przedstawiłem sytuację wojenną, zebrany w mym gabinecie ministrom, przy ciągłym odgłosie wybuchów bomb, rzuconych w pobliżu mostów na Wiśle. Wszyscy mają być gotowi do wyjazdu, gdyż nie jest wykluczona ewakuacja nasza z Warszawy, jeszcze tej nocy.

Jechać należy w tym wypadku do Łucka, gdzie w Urzędzie Wojewódzkim otrzymają przydział rejonu, w którym będą ich urzędy

W razie zniszczenia jednego mostu na Wiśle, należy samochody przeprowadzić na prawy brzeg rzeki. W rezerwie na wszelki wypadek będzie motorówka, obok Komisariatu Policji Rzecznej. Wyjeżdżać należy w razie telefonicznego zawiadomienia przez radcę Karwowskiego, Piotrowicza lub Peżkę. Kierować się jest najlepiej na Brześć—Łuck, gdyż na Lublin szosa jest zatłoczona uciekinierami z Warszawy i okolic. Godzina wyjazdu będzie wskazana.

Jeżeli Niemcy będą zatrzymani, to ze względu na nastroje ludności, zostajemy w Warszawie, choć front jest już zbyt blisko.

Specjalne życzenia ministrowie zechcą kierować do wojewody Bocińskiego, który jest Generalnym Kwatermistrzem Rządu i jedzie do Łucka przez Lublin, gdzie dopilnuje ewakuacji Ministerstw.

Lublin, Nałęczów, Kazimierz i inne miejscowości, dokąd miał się przenieść Rząd, są przez Niemców silnie bombardowane.

Znów odnosimy wrażenie, że Niemcy wiedzieli o projektowanych na ewakuację Rządu miejscowościach.

Toteż wydany został rozkaz przeniesienia kolonistów niemieckich, z ich miejsc zamieszkania, do wschodnich województw Polski, celem zmniejszenia plagi szpiegostwa na korzyść wojsk niemieckich, zorganizowanie którego w wielu miejscach zostało wykryte przez cywilne i wojskowe władze bezpieczeństwa.

Min. Beck zawiadamia, iż, z jego polecenia, nasz ambasador w Londynie, Raczyński, zwrócił się do ministra spraw zagranicznych W. Brytanii, Halifaxa, stwierdzając opór Polski na wszystkich frontach, nawet na Westerplatte, jednocześnie przedstawiając wobec przewagi lotnictwa niemieckiego, konieczność natychmiastowej pomocy w postaci lotniczego ataku na Niemcy, co niewątpliwie odciągnie część samolotów niemieckich z Polski.

Lord Halifax odpowiedział, iż choć jedynym celem Wielkiej Brytanii jest pobiec Niemcy i w tej akcji jest i będzie do końca przy boku Polski, to, jednak, Anglia nie może, w tej chwili, rozpraszać swych sił, które będą konieczne w momencie decydującym.

Nasz ambasador w Paryżu, Łukasiewicz, spisał z ministrem spraw zagranicznych Francji Bonnet protokół francusko-polski, w dniu 4 września rb. Protokół ten potwierdza i rozszerza wzajemne zobowiązania Francji i Polski, zawarte w Sojuszu z 1921 i 1925 roku, zarówno co do wzajemnej pomocy na wypadek zagrożenia, jak też zawarcia pokoju z przeciwnikiem, dopiero po wzajemnym porozumieniu Sojuszników.

Ambasador nasz w Berlinie, Lipski, dojechał już do Kopenhagi, gdzie stwierdził publicznie, iż nie otrzymał do wiadomości 16 punktów żądań niemieckich. O wojnie Niemiec z Polską dowiedział się z radio rankiem 1. IX.

Po Radzie Ministrów telefonuję do wicemin. Korsaka i Brzozowskiego, będących w Lublinie, zawiadamiając, iż mają niezwłocznie, z urzędami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Prezydium Rady Ministrów, przejechać do Łucka. Pomoc okaże im wojewoda Bociński.

Łatwo jest polecić to zadanie, lecz trudno je wykonać, ze względu na utrudniony ruch kolejowy przez bombardowanie i liczne transporty wojskowe. Toteż, stanowisko Generalnego

Kwatermistrza Rządu jest, mimo pięknego tytułu, nie do pozazdroszczenia.

Widać to od razu, gdyż wojewoda Bociński i starosta Soboniewski są już obłożeni w sekretariacie, przez ministrów, usiłujących, za ich pośrednictwem, nawiązać kontakt ze swymi ewakuowanymi biurami.

Dodatkowo zawiadamiam wojewodę, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej pojedzie do Ołyki, zamku księcia Radziwiłła, pod Łuckiem.

Koło południa, dzwoni wojewoda pomorski Raczkiewicz z Włocławka. Urzędował on w Toruniu w forcie do ostatniej chwili, aż do wycofania się wojsk. Obecnie znajduje się w okolicy Włocławka, gdzie brakuje mu benzyny do samochodu osobowego i ciężarowego z papierami Województwa. Polecam okazać pomoc z benzyną, a papiery zatopić w Wiśle. Dzięki tej pomocy, po południu zjawia się wojewoda Raczkiewicz i wyjeżdża do Lublina, gdzie ma oczekiwać dalszych zleceń. Biura województwa toruńskiego ma ewakuować wicewojewoda Szczyński.

Również koło południa, dzwoni z Grodziska wojewoda łódzki Józewski. Opuścił on z władzami wojskowymi Łódź dzisiaj o 8 rano. Obecnie, w towarzystwie naczelnika Wrony, stoi w Grodzisku ze swym samochodem na szosie, gdyż zabrakło mu benzyny. W tej samej sytuacji znajduje się tam cały sznur samochodów, tarasujących drogę. Po otrzymaniu pomocy, wojewoda Józewski przejeżdża przez Warszawę i zostaje, aż do dalszych zleceń, skierowany w kierunku Łucka.

Po południu był telefon, iż naczelnik Urzędu Wojewódzkiego Kieleckiego, Krakowin, przeprowadził się z biurami Urzędu przez Wisłę, pod Opatowem.

W godzinach popołudniowych wyjechałem na objazd miasta, by zorientować się w nastrojach. Na rogatce Wolskiej budują barykady przeciwzołgowe. Ludność, zarówno polska, jak i żydowska, z zapalem pomaga. Na mój widok znów były wiwaty na cześć Rządu. Stąd pojechałem za Wisłę, gdyż bombardowanie mostów nieco przycichło, na szosę, wiodącą do Modlina. Na rogatce Pelcowizny panuje cisza zupełna. Jakieś tabory wojskowe stoją w porządku na boku szosy, zwrócone w stronę Modlina. Żadnych więc objawów odwrotu z frontu północnego, o których rozeszły się pogłoski w Warszawie.

Pokrzepiony na duchu, wróciłem do Ministerstwa. A może utrzymamy się w Warszawie i nie trzeba będzie uciekać?

Spokój panował do godziny 10 wieczorem, gdy wezwany zostałem do Marszałka Śmigłego. Marszałek oznajmia, iż czołgi niemieckie są pod Grójcem i dochodzą do stacji radiowej w Raszynie. Są więc o kilkanaście kilometrów od Warszawy. Pośpiesznie ściągane są wojska do obrony stolicy i linii rzeki Wisły.

Tymczasem, w tych warunkach, w Warszawie nie można, ani

spokojnie rządzić Krajem, ani dowodzić wojskiem. Wobec czego, w myśl zapowiedzi, Sztab przechodzi do Brzeźcia, dokąd Marszałek Śmigły przejeżdża tej nocy. W Warszawie zostaje jeszcze na parę dni Szef Sztabu, gen. Stachiewicz z kilku oficerami, celem utrzymania ciągłości pracy.

Rząd, tej nocy ma przenieść się do Łucka. Melduję Marszałkowi o konieczności wydania odezwy do ludności stolicy, przy opuszczeniu jej przez Rząd. Zgadząmy się, że odezwa ta ma być krótka i bez szumnych zwrotów.

Jeszcze, być może, nie wyjedziemy, ale nadzieja jest słaba. Trzeba uprzedzić ministrów, a później, tylko wskazać im godzinę wyjazdu.

Zegnam się z Marszałkiem i przez ludne, choć zaciemnione, ulice Warszawy wracam do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ludność nie wie jeszcze o bliskości Niemców i nastroje są dalej doskonałe.

Telefonuję przez tajny telefon do wszystkich ministrów, powiadamiając ich o smutnej sytuacji z tym, że sekretarz podadzą im porę wyjazdu. Jest to bardzo ciężki obrządek.

Z min. Grażyńskim redagujemy odezwę do ludności stolicy o opuszczeniu jej przez Rząd. Stwierdzam w odezwie, że Rząd zmuszony jest opuścić stolicę wobec warunków wojennych, by wrócić do niej po uzyskaniu zwycięstwa. Czytam odezwę przez telefon Marszałkowi Śmigłemu. Akceptuje jej treść krótką i spokojną.

Wojewoda Grażyński zostaje w Warszawie do jutra, by przypilnować druku i rozplakatowania odezwy, po czym przez Lublin udaje się do Lwowa, by tam wygłosić parę przemówień propagandowych do ludności Polski. Mamy ciągle nadzieję, że zagony niemieckie będą się musiały cofnąć i wrócimy do Warszawy.

Telefonuję do Prezydenta Warszawy Starzyńskiego. Zostaje on na swym posterunku, jak się wyraził: «Ja tu zostaję na gospodarstwie». Spodziewałem się takiej odpowiedzi od dzielnego, sprężystego i ofiarnego Prezydenta Stolicy.

Zegnam się z nim i jadę do biura Prezydium Rady Ministrów z radcą Karwowskim. Opróżniam moje biurko i kasę ogniotrwałą. Część papierów palę, resztę zabieram ze sobą, kasę zamykam i zabieram klucze, choć jest pusta. Do walizki zabieram tylko ubrania wojskowe, gdyż ubiory cywilne nie przydadzą się na nic w ciężkich warunkach wojny, które nas czekają. Wracam do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i kładę się ubrany, czekając jakie będą dzieje tej nocy. Gospodarz Ministerstwa, Kosiński, czuwa przy sekretariacie, by objąć w posiadanie biura, w razie naszego, tak, niestety prawdopodobnego, odjazdu.

7 września 1939 r. Czwartek.

Koło godziny pierwszej w nocy radca Karwowski otrzymuje telefon z Naczelnego Dowództwa, że Rząd ma wyjechać z War-

szawy, gdyż sytuacja nie uległa poprawie i czołgi niemieckie są obok stacji radiowej Raszyn.

Polecam mu powtórzyć wiadomość po kolei wszystkim ministrom, zapisując, kto otrzymał zawiadomienie, a sam idę do pokoju «Juza» rozmówić się z wojewodą lubelskim — Tramentcourtem, celem zorientowania się w sprawie ewakuacji Ministerstw z Lublina do Łucka. Połączenie, po pewnych trudach, jest wreszcie uzyskane. Część ministerstw już odeszła z Lublina do Łucka. Są trudności, gdyż dworzec kolejowy lubelski jest często bombardowany przez samoloty. Wojewoda Bociański jeszcze nie dojechał do Lublina. Ma zadzwonić do mnie do Łucka, dzisiaj wieczorem.

Teraz, koło godziny drugiej w nocy, nadchodzi chwila opuszczenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Rzucam ostatnie spojrzenie na portret Komendanta i schodzę na dziedziniec. W pierwszym samochodzie jedzie dyr. Żyborski, naczelnik Krzymowski i przodownik Pawłowski. Ruszamy powoli z dziedzińca przez wyjazd od Nowego Świata. Wrota, po raz ostatni, zatrząskują się za nami i oto jesteśmy na pustej, cichej ulicy Nowy Świat, kierując się w stronę Alei 3-go Maja. Miasto śpi, nieliczni przechodnie nie zwracają na nas uwagi.

Czekamy za mostem Poniatowskiego, koło parku Paderewskiego, na uwolnienie drogi na Wawer, ale droga wciąż jest zapchana przez setki samochodów i wozów, posuwających się wolno ulicą Grochowską, od mostu Kierbedzia do Wawra. Wjeżdżamy w tę rzekę samochodów, wozów konnych i ludzi i posuwamy się z trudem, za samochodem dyr. Żyborskiego. Jazda do rozwidlenia dróg na Lublin i Brześć trwa na zatłoczonej szosie około półtorej godziny. Zbliża się świt, a z nim bombardowanie lotnicze z samolotów niemieckich.

Wreszcie przed nami wolna, względnie, szosa na Brześć. Jest już szaro. Jedziemy teraz szybciej w tumanach kurzu, z którego co chwila wyskakuje jakiś samochód wojskowy. Parę rozbitych samochodów z boku drogi świadczy o prawdopodobieństwie starcia się pojazdów w takim rozgardiaszu i tumanach kurzu.

W Mińsku Mazowieckim, szofer Prezydium, Andrzejewski, pyta czy nie mógłby wstąpić do żony, która mieszka w pobliżu, by zostawić jej pieniądze. Odmawiam, ze względu na konieczność szybkiego osiągnięcia Łucka, ale obiecuję mu dać krótki urlop, za kilka dni, gdy ustali się sytuacja na rzece Wiśle.

Nad Międzyrzeczem zjawiają się już samoloty niemieckie, lecące w kierunku Białej Podlaskiej. Odczekujemy na ich przelot pod drzewami drogi, ale, gdy samolotów jest jednak coraz więcej, zjeżdżamy w bok lasu pod Białą i tam czekamy na uspokojenie się «nieba».

W Białej Podlaskiej, w Starostwie, mówią, że przed chwilą zostali zabici ogniem lotniczych karabinów maszynowych podróżni w samochodzie na drodze. Biała, lotnisko i fabryka sa-

molotów są bombardowane codziennie. Poza tym, lotnicy niemieccy strzelają z karabinów maszynowych do robotników, reperujących druty telegraficzne, a nawet do ludzi, pracujących w polu.

Na lotnisku w Białej widać z szosy spalone hangary i samoloty. Zgliszczą jeszcze dymią. Lotnicy niemieccy już odlecieli, jest zupełnie spokojnie.

W Brześciu nad Bugiem starosta melduje spokój w powiecie. Bombardowań dużych dotąd nie było. W mieście wojny wcale nie znać. Starosta pokazuje mi w tajemnicy drogę do Naczelnego Dowództwa, które się mieści w Cytadeli, po czym skręcam szosą na południe i, przez Kowel, dojeżdżam na godzinę 17-tą do Łucka.

Tu, wielki ruch przed gmachem Województwa, gdyż napływają już urzędy, które przeszły przez Lublin. Przyjeżdża sekretarz, naczelnik Stawicki i obejmuje urządowanie w Wydziale Rolniczym Województwa, stojącym obok lotniska, gdzie instalują się biura Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Prezydium Rady Ministrów mieści się w biurach Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej.

Wojewoda Hauke-Nowak wszelkimi środkami usiłuje wprowadzić porządek w bałaganie ewakuacyjnym, który nagle spadł na jego głowę. Dzięki jego wysiłkom oraz naczelnika Niżankowskiego i miejscowego starosty, wszyscy są przed nocą umieszczeni lub odesłani, w myśl Planu Ewakuacji, do Dubna i Równego, względnie wsi okolicznych.

Policja daje baczenie, by samochody nie gromadziły się na ulicach i placach, gdyż taki zwiększony ruch samochodów spowodował już bombardowanie Lublina.

Nas, wojewoda Hauke-Nowak chciał umieścić w dworze pod Łuckiem, ale ze względu na ciągłość urządowania, zamieszkujemy w mieście, w hotelu «Polonia», ukrywając starannie samochody pod drzewami skweru i na dziedzińcu sąsiedniego domu rządowego. Stąd, nam zupełnie blisko do nowych biur.

Wojewoda Hauke-Nowak zawiadamia, że 6. IX. wojska francuskie przekroczyły granicę niemiecką. Może to więc odciążą naszą obronę rzeki Wisły. W ciągu paru godzin, w hotelu został założony telefon i wieczorem otrzymałem pierwszy meldunek od wojewody Bociańskiego z Lublina. Dojechał tam ze starszą Soboniewskim, dzisiaj o 7 rano i niezwłocznie rozpoczął urządowanie w Województwie i na Dworcu Kolejowym, kierując wszystkie transporty rządowe na Łuck. Polecam mu, po zakończeniu urządowania w Lublinie, zdążyć do Łucka, a tymczasem prosić gen. Langnera, Dowódcę Okręgu Korpusu we Lwowie, o wysłanie niezwłocznie dwóch cystern z benzyną, pod strażą, do Łucka. Tu nazjeżdżało się tyle samochodów, że grozi, za parę dni, brak benzyny, mimo istniejących zapasów. Natomiast węgla nie brak dotąd, dzięki nagromadzonym przed

wojną zapasom po dworcach kolejowych, zakładach przemysłowych i składach.

Wieczorem jest tu, w Łucku, zupełnie cicho. Bombardowań lotniczych jeszcze nie było i ludność uniknęła dotąd ciężarów wojny.

Łuck, 8 września 1939 r. Piątek.

Dzisiaj w godzinach rannych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, obok lotniska, miał u mnie pierwszy meldunek sytuacyjny wojewoda wołyński, Hauke-Nowak. Jak zwykle, byli obecni przy tym wicemin. Klukowski, Korsak i dyr. Żyborski. Wojewoda Hauke-Nowak ma wiadomości nie tylko z terenu swego, ale i sąsiednich województw, tak więc jego meldunek jest uzupełnieniem wiadomości z całej Polski, zebranych przez dyr. Żyborskiego. Wiadomości te są dosyć skąpe, ze względu na utrudnienia telefoniczne.

W ciągu dnia dzisiejszego dyr. Żyborski nawiązuje kontakt ze wszystkimi urzędującymi jeszcze, a więc, leżącymi na Wschód od Wisły, województwami tak, że na jutro będziemy mieli wiadomości pełniejsze. Wicemin. Korsak przedstawi na jutro projekt przydziału większych sum pieniężnych dla samorządów, celem uporządkowania i naprawy ulic, potrzebnych dla transportów wojskowych, oraz podniesienia stanu zdrowotnego miast i wsi, dla uniknięcia epidemii wojennych, wobec natłoczenia osiedli uciekinierami i wojskiem.

W Warszawie panuje spokój, niemieckie czołgi kręcą się pod miastem.

Połączyłem się telefonicznie ze wszystkimi ministerstwami, urzędującymi w Łucku, Lublinie i Równem, prosząc, by przygotowali na następną Radę Ministrów, która odbędzie się za parę dni, — plan pracy i najpilniejsze potrzeby swego resortu, w związku ze zmianą miejsca pobytu i zmniejszeniem naszego terytorium, wolnego od Niemców. Są tu już wszyscy ministrowie, z wyjątkiem Grażyńskiego, który jest we Lwowie.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej przejechał już do Ołyki i mieszka w zamku księcia Radziwiłła.

Po zorientowaniu się w sytuacji miasta Łucka, w towarzystwie wojewody Hauke-Nowaka, wyjechałem do Naczelnego Dowództwa do Brześcia, celem zameldowania się u Marszałka Śmigłego i zorientowania się w sytuacji wojennej i potrzebach wojska.

Za Stochodem, bliżej Kowla, pod lasem, widzę zaimprovizowane lotnisko wojskowe. Kilka samolotów stało w cieniu drzew lasu, parę unosiło się w powietrzu. Był to widok pokrzepiający.

Za to, pod Kowlem spotkałem na szosie kolumnę uciekinierów, a w niej rozproszonych policjantów, ciągnących zmęczonym ciężkim krokiem, obok wozów, zaprzęzonych w zdrażone konie. Był to, znowu, widok przygnębiający i smutny.

Za Kowlem droga była wolna i wkrótce przybyłem do Brze-

ścia. Pan Marszałek jest zajęty, wobec czego korzystam z czasu i omawiam z gen. Malinowskim i Komisarzem Generalnym Cywilnym, min. Kostkiem Biernackim, kandydatury Komisarzy Cywilnych przy Wyższych Dowództwach. Uzgadniamy, iż pułkownik Świdziński pójdzie do Komisarza Generalnego Kostka-Biernackiego, wicewojewoda Jurgielewicz z Komisarjatu Rządu Miasta Warszawy, do gen. Piskora, a starosta Mieszkowski z Radomia — do gen. Sonskowskiego.

Po tej konferencji melduję się u Marszałka Śmigłego. Sytuacja nie uległa poprawie w ciągu dnia wczorajszego i Niemcy napierają z zachodu aż do Wisły, a na północy sforsowali Narew, mimo bohaterskiego oporu dywizji gen. Młota-Fijałkowskiego. Gen. Stachiewicz jest jeszcze w Warszawie, wkrótce oczekiwany jest w Brześciu.

Mają być wydane w wyniku meldunku zarządzenia:

1) Wzmocnienie kordonów na Bugu policją, ewakuowaną z lewego brzegu Wisły, celem powstrzymania fali uchodźców.

2) Resztę policji zza Wisły gen. Zamorski łączy w zwarte oddziały, celem zasilenia policji województwa wołyńskiego i stworzenia rezerwy dyspozycyjnej.

3) Uregulowanie na drogach światła samochodów, gdyż zupełny brak światła, jak dotychczas, opóźnia bardzo przeciętną szybkość transportów samochodowych i poszczególnych pojazdów.

4) W Łucku zaczniemy wydawać czasopismo, naświetlające sytuację wojenną i pracę Rządu.

5) Proponuję mój wyjazd za parę dni na inspekcję w kierunku frontu, na przykład do Lublina, celem zorientowania się w nastrojach i potrzebach ludności i administracji. Marszałek zgadza się.

Przy wyjściu odbieram meldunek, czekającego na mnie naczelnika Urzędu Wojewódzkiego w Brześciu nad Bugiem Rolewicza, po czym wracam do Łucka i omawiam sprawę organizowania zwartych oddziałów policji z gen. Zamorskim.

Naczelnik Niżankowski telefonuje, że Lublin, Kowel i Chełm były świeżo bombardowane.

Dzwoni min. Skarbu Kwiatkowski, iż, ze względu na sytuację bojową, przesuwa złoto z Zamościa, wartości 130 milionów złotych, na Tarnopol. Proponuję wicepremierowi wyjazd jutro razem do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do Otyki, celem złożenia mu, jak co tydzień, w Warszawie, wspólnego meldunku gospodarczego i politycznego. Wyraża zgodę.

Łuck, 9 września 1939 r. Sobota.

Dyr. Żyborski podaje przy meldunku porannym, iż wczoraj było nocne bombardowanie Lublina. Niemcy rzucili bomby kruszące i zapalające. Podobno domy jeszcze się palą.

Większe sumy pieniężne zostały już rozprowadzone przez wi-

cemin. Korsaka dla podniesienia sprawności i konserwowania ulic «przelotowych» dla wojska w szeregu miast, jak np. Kowel, Łuck i inne.

Przed południem, wyjeżdżamy z wicepremierem Kwiatkowskim do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do Otyki. Pan Prezydent mieszka w prawym skrzydle zamku. Przyjmuje nas gen. Szally i wprowadza do gabinetu Pana Prezydenta. Przedstawiliśmy sytuację polityczną, a raczej wojenną i gospodarczą.

Min. Kwiatkowski jest zadowolony, bo dzisiaj znów duży transport złota, wartości 130 milionów złotych, przeszedł, pod nadzorem b. min. Rajchmana, Tarnopol, kierując się na południe. Tak powoli wyzbywamy się zmory, że samochody ze złotem mogą być odcięte i zagrabione przez zagony pancerne niemieckie.

Pan Prezydent jest zmęczony, ale pełen otuchy, że utrzymamy się na linii Wisły aż do udzielenia pomocy przez Sprzymierzonych.

Po powrocie naszym do Łucka, przeszliśmy o godzinie piątej po południu mocne bombardowanie lotnicze. Rano latały samoloty niemieckie nad miastem, ale bomb nie rzucały. Pewnie Niemcy robili fotografie, lub wypatrywali dogodnych obiektów.

Po południu przyjechał z Lublina wojewoda Bociański i starosta Soboniewski i zaczęli niezwłocznie urządowanie w Kwaterymistrzostwie Rządu, celem uporządkowania jednolitego i sprawiedliwego przydziału kwater dla biur.

Na stację Kiweroce, pod Łuckiem, przyszły już dwie cysterny benzyny, skierowane przez, jak zawsze, niezawodnego, generała Langnera ze Lwowa. Cysterny te, jak na obecne stosunki, przyszły szybko, bo były zamówione przed dwoma dniami dopiero. Oddaliśmy je pod bezpośrednią opiekę naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa w Łucku, Niżankowskiego. Są mocno pilnowane, gdyż benzyna zaczyna iść na wagę złota, a wychodzi jej tutaj obecnie dużo.

Byłem dzisiaj za miastem, w Ministerstwie Spraw Wojskowych, ale nie zastałem min. Kasprzyckiego, wobec czego załatwiłem szereg spraw z wicemin. gen. Głuchowskim. Urzędują wraz z gen. Litwinowiczem w chałupie wiejskiej, ale chwała to sobie, bo nie mieli dotąd bombardowania lotniczego, które codziennie obserwują nad Łuckiem.

10 września 1939 r. Niedziela.

W myśl powziętej przed paru dniami decyzji, dzisiaj wcześniej rankiem, w niestety piękny i słoneczny dzień, wybrałem się na inspekcję do Lublina, wraz z dyr. Żyborskim, radcą Karwowskim i szoferem Królakiem.

Za Włodzimierzem, w Uściługu jest mocna obsada mostu wojskiem i policją. Dalej, wzdłuż rzeki widać rozstawione posterunki, celem ochrony prawego brzegu Bugu od uciekinierów.

W Hrubieszowie, szukam jakiś czas starostwa, gdyż biura, ze

względu na wielokrotne bombardowania lotnicze, przeniosły się z nowego gmachu starostwa do domu położonego na krańcu miasta. W gmachu starostwa przebywają jedynie kolonisti ewakuowani z różnych kolonii niemieckich na Wołyniu, w których wykryto akty sabotażu i szpiegostwa.

Niemcy mają dobry wywiad, gdyż na drugi dzień po przeniesieniu biur starostwa zaczęli bombardować niepozorny dom, do którego te biura zostały przeniesione, oszczędzając dawny gmach.

W biurach starostwa, prócz starosty hrubieszowskiego, Marka, zastają naczelnika wydziału politycznego z Lublina, Kamińskiego. Przyjechał on tu celem sprawdzenia wykonania zarządzeń ewakuacyjnych. Ponieważ skończył już swą pracę, więc wraca do Lublina.

Mnie zatrzymuje problem, nad którym biedzi się starosta hrubieszowski, Marek. Ma on rozkaz nie puszczania uciekinierów za Bug, a tymczasem w gabinecie jego siedzi kilku kwaterymistrzów dużej grupy powstańców śląskich, którzy idą na piechotę od Zamościa i będą tu za parę godzin. Wobec tego, że Niemcy są już na prawym brzegu Wisły, chcą oni przejść Bug w Uściługu, by oderwać się od nieprzyjaciela, z którym mają porachunki z czasów powstań śląskich.

Kwatermistrzowie na rowerach, chłopy jak dęby, wyprzedzili grupę złożoną z 800 ludzi, by przygotować nocleg i przejście przez Bug.

Widzimy więc, że bezwzględny zakaz zatrzymywania uchodźców nie jest tak prosty do wykonania. Istnieją u nas ludzie, którzy nie mogą zetknąć się z Niemcami, jak powstańcy śląscy, wielkopolscy, ich rodziny, rodziny policjantów itd.

Sprawę załatwiamy polubownie w ten sposób, że starosta pomoże kwatermistrzom przygotować dobrą kolację i nocleg (na co zostawiam pewną pomoc), a za to powstańcy skierują się nazajutrz w kierunku południowym, na Uhrynów, Krystynopol i Kamionkę Strumiłową, gdzie, z mego rozkazu, otrzymają pomoc od starostów miejscowych. Tak więc, atmosfera napięcia została pomyślnie rozładowana i ruszam spokojny w dalszą drogę, w kierunku na Chełm.

Na kilkanaście kilometrów przed Chełmem pusta dotąd i spokojna szosa zaczyna się zaludniać. Idą zrazu pojedynczy ludzie, ale za nimi sunie tłum uchodźców, a wśród nich wyróżniają się grupy więźniów, w ubraniach więziennych, które dziwnie odbijają od szerokich przestrzeni, pól i szosy. Strażnicy więzienni idą razem z więźniami, gwarząc przyjaźnie. Wspólna niedola pogodziła ich i połączyła. Jeden ze strażników więziennych wyjaśnia, że Chełm został straszliwie zbombardowany, zarówno węzeł kolejowy jak miasto. Więzienie jest zupełnie rozbite, więc oni otrzymali rozkaz przeprowadzenia dziś więźniów do Hrubieszowa, a dalej będą szukać jakiegoś innego więzienia. Już mój samochód jest otoczony przez szare kapoty więźniów. In-

teresuje ich wojna, pytają o sytuację bojową i, kiedy pobijemy Niemców. Zgadzą się przyjąć po papierosie.

Powoli, jadąc wśród grup uciekinierów i więźniów, docieramy do Chełma. W mieście rzucają się w oczy ślady bombardowania, ale starostwo jest nietknięte w starych grubych murach klasztornych, które kpią nawet z bomb obecnych. Starosta Lipski daje nam benzyny i opowiada o bombardowaniu Chełma, które powtórzyło się już kilka razy.

Ruszamy na Lublin, przez zbombardowane Piaski Luterskie i przybywamy do miasta dopiero pod wieczór. Niedaleko Placu Unii Lubelskiej spotyka mnie wojewoda Tramencourt z naczelnikiem Kamińskim i inspektorem policji Brożyńskim.

Hotel «Victoria», w którym mieli mieszkać posłowie i senatorowie, jest zupełnie rozbity. Wzdłuż ulicy Kościuszki dymią się jeszcze spalone domy. Nie można ich ugasić i tej nocy wskazały światłem drogę samolotom niemieckim, ułatwiając im bombardowanie. Było to pierwsze w Lublinie nocne bombardowanie, po kilku już dziennych. Najsilniej był Lublin bombardowany w dniu wczorajszym, 9. IX. gdy między godziną 10-tą a 12-tą rano naczelnik Kamiński naliczył 24 samoloty niemieckie.

Na Placu Unii Lubelskiej stoją spiętrzone autobusy i samochody, rozbite bombardowaniem. Przed pomnikiem Unii leżą graty, obrazy, meble, wyniesione ze spalonych domów. Dużo ludzi opuściło Lublin po wczorajszym bombardowaniu, które dało około 400 ludzi strat.

Na ulicach patroluje straż obywatelska z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, uzbrojona w dubeltówki. Autobusy i samochody, zbombardowane przez lotników niemieckich, przeznaczone były do ewakuacji biur wojewódzkich i czekały przy Placu Unii Lubelskiej pod drzwiami skweru. Poza tym bombardowane były Zakłady Lotnicze, Zarząd Miejski, Sąd Okręgowy, Brama Lubelska i Katedra.

Pytanie, czy zbombardowanie zostało wywołane przez zwiększony ruch samochodów, czy też Niemcy wiedzieli o projektowanym przeniesieniu Rządu do Lublina. Sądząc z jednoczesnego bombardowania Kazimierza i Nałęczowa również przewidzianych przy ewakuacji dla dyplomacji, należy przyjąć to drugie przypuszczenie. Zdanie to podziela wojewoda Tramencourt i dyr. Żyboński.

Z wielką radością dowiaduję się, że bezcenne narodowe skarby, przechowywane na Wawelu, zostały ocalone z rąk niemieckich. Pułkownik Szuster przywiózł je z Krakowa do Kazimierza Dolnego rzeką Wisłą na barkach, a z Kazimierza zostały zabrane na samochodach rządowych przez władze województwa lubelskiego.

Prze Lublin, w ciągu ostatnich dni był bardzo ożywiony ruch, gdyż rzesze uchodźców napływały od Garwolina i Puław.

Dnia 7 września Dowódca Okręgu Korpusu, gen. Smorawiński, dał rozkaz oczyszczenia szosy Warszawa—Lublin, celem ułatwienia odwrotu dla naszych wojsk, mających bronić prawego brzegu Wisty. Użyci zostali do tego, w zwartych oddziałach, policjanci z województw śląskiego i poznańskiego, razem około tysiąca szeregowych policji. Zepchnęli oni do rowów parę tysięcy samochodów, pozostawionych przez właścicieli z powodu braku benzyny, które barykadowały szosę. W ten sposób została oczyszczona szosa od Lublina do Garwolina.

Połączenia telefoniczne i telegraficzne, mimo wielokrotnego naprawiania, są pozrywane, tak że komunikować się można tylko przez telefony polowe wojska.

Z powodu braku czasu nie zwiedzam biur Urzędu Wojewódzkiego gdzie czeka na mnie wicewojewoda Chmielewski.

Po krótkiej rozmowie z gen. Smorawińskim i komendantem garnizonu płk. Czaplńskim jadę, już wieczorem, przy świetle księżycy, przez Lublin, szosą warszawską, w kierunku frontu do kwatery gen. Dąb-Biernackiego, znajdującej się we dworze w Snopkowie, pod Jastkowem. Za miastem panują zupełne ciemności, bo droga do Warszawy jest wysadzona dużymi drzewami. Ruch wojska ożywiony, przechodzą jakieś piesze oddziały i kolumny amunicyjne. Po bokach szosy słychać nawoływania żołnierzy, należących do sparkowanych taborów.

Po pół godzinie kluczenia wśród opłotków i wawozów lessowych znajduję wreszcie cichy dworek, idąc za wskazówkami telefonistów, zakładających połączenie telefoniczne do Sztabu Armii.

Gen. Dąb-Biernacki wygląda dobrze zmęczony, mówi że żołnierz nasz bije się świetnie, ma przewagę nad piechotą niemiecką, ale nie może sprostać gdy, jak mówią żołnierze: «Żelazo idzie!»

Ta dzielność naszego żołnierza występuje bez różnicy narodowości. Żydzi i Ukraińcy waleczą z takim samym poświęceniem, jak Polacy. Niestety brak nam czołgów do skutecznego oporu.

Czołgi niemieckie zjawiają się wszędzie, zmuszając żołnierzy do odwrotu w ciągu nocy, a do walki przez cały dzień. Niemcy już przeszli Wisłę i trudno będzie wyrzucić ich z powrotem.

Wracam do Lublina, stropiony tą realistyczną rozmową. Zjadamy pośpiesznie kolację w restauracji, z wyrwanym bombą rogami sali i, dobrze po północy, zaczynamy drogę powrotną w kierunku na Łuck.

Do Piasków Luterskich przebiegam niezłe, oświecając od czasu do czasu drogę przed sobą. Za zakrętem na Chełm, dopędzam kolumnę wojskową czołgów i samochodów i tracę wiele czasu, przy jej wymijaniu, gdyż żołnierze są tak samo wrażliwi na świecenie latarniami jak ludność cywilna i krzyczą co chwila: «Światło! światło!»

Wreszcie minęliśmy kolumnę i, świecąc w polu, a gasząc latarnie na krzyki Straży Obywatelskich po miastach, koło 5 ra-

no, skonani, docieramy do Łucka, gdzie właśnie nadlatują poranne samoloty niemieckie.

Inspekcja była męcząca, ale przez naoczne zbadanie, nauczyła mnie wielu zagadnień życiowych, tak odmiennego obecnie bytowania w warunkach wojennych i to w okresie wojny totalnej.

Z rozmowy z gen. Dąb-Biernackim widzę, że dalszy odwrót jest niunikniony. Gdzie więc się zatrzymamy?

Łuck, 11 września 1939 r. Poniedziałek.

Nie można było wypocząć po inspekcji, trwającej 20 godzin bez przerwy. O godzinie 10 rano, Rząd był obecny in corpore na uroczystym nabożeństwie, odprawionym w Katedrze Łuckiej przez biskupa Pieniążka, za pomyślność naszej sprawy i Oręża Polskiego.

Jest wiadomość, że Kanada weszła do wojny.

Na wniosek wicepremiera Kwiatkowskiego, płk. Koc zostaje mianowany wiceministrem Skarbu, którym był dawniej, a to celem ułatwienia mu ważnej misji wywiezienia złota polskiego za granicę i dowiezienie go do Francji.

Miasto Łuck jest regularnie bombardowane przez samoloty niemieckie rano i koło 5 po południu. Jest tu coraz więcej uciekinierów, którzy resztkami benzyny dojechali do Łucka i szukają tej benzyny za wszelką cenę, by jechać dalej. Biegają po całym mieście i opowiadając o bombardowaniach, które przeszli lub o których słyszeli, wzbudzają niepokój wśród przebywających w Łucku przybyszów i miejscowych mieszkańców, obniżając i tak nieświetne nastroje. Starosta miejscowy otrzymał polecenie zajęcia się tą sprawą.

Biuro Kwatermistrza Generalnego Rządu pracuje całą parą. Tysiące ludzi, poszukujących urzędów, do których mają interes, otrzymuje tam wskazówki i wiadomości. Wobec tego, zostały założone filie kwatermistrzowskie: w Równem pracuje wicewojewoda poznański Lepakowski, naczelnik Błażewicz z Poznania urzęduje w Krzemieńcu, a naczelnik Żwirski jest kwatermistrem rządowym w Dubnie. Mają wszyscy dosyć roboty, którą odciażają wojewodę Hauke-Nowaka i jego starostów.

Po południu wyjechałem do Kwatery Głównej do Brześcia. Zameldowałem Marszałkowi Śmigłemu wyniki mojej inspekcji. Wobec naszej ciężkiej sytuacji wojennej, Marszałek zwrócił się osobiście o rychłą pomoc do gen. Gamelin, wodza naczelnego Francji i otrzymał odpowiedź, że w tej chwili jest to jeszcze niemożliwe i, że większa pomoc nastąpi dopiero za jakiś czas. Po prostu Francuzi są sterroryzowani potęgą pancerną i lotniczą Niemiec, i ociągają się z rozpoczęciem większych działań wojennych. Gamelin odmówił nawet szybkiej pomocy lotniczej.

Umiął on, jeszcze 28 sierpnia tego roku, przysłać «przyjaciel-ską» radę Marszałkowi Śmigłemu, by karać bardzo łagodnie Niemców za wykroczenia graniczne, bo szkoda wywoływać



wojnę z powodu tych «drobnych» spraw. Tak radzić jest łatwiej, niż pomóc.

Dla samolotów francuskich jest, rzekomo, zbyt daleko lecieć za każdym razem do Polski, by bombardować wojska niemieckie, a nie mogą pozostać u nas, gdyż nasze bomby nie odpowiadają ich aparatom rzucającym. Tak więc jesteśmy skazani na własne siły wobec miazdzącej przewagi niemieckiej, z którą mierzyć się nikomu nie śpieszno.

Tymczasem Niemcy napierają na nasz front również od północy.

Jeżeli będziemy musieli znów się cofnąć, to podejmiemy obronę w cyplu południowym Polski, w oparciu o granicę węgierską i rumuńską, na linii rzek Stryja i Dniestru.

Gen. Dembiński otrzymuje zadanie umacniania linii rzeki Stryj, a gen. Kamski — rzeki Dniestru. Na razie trzymamy się na Bugu od zachodu i na północ od Brześcia, tworząc poza tym ośrodki oporu: Warszawa, Gdynia, Modlin, Lwów, Brześć itd. Sytuacja jest ciężka.

Po wyjściu od Marszałka spotkałem gen. Malinowskiego, który prosił o popędzanie robót szosy między Wiśniowcem, a Zbarażem w powiecie krzemienieckim, na północ i południe od rzeki Horyń.

Pracują tam już dzień i noc setki ludzi, ale trzeba zwiększyć ilość robotników, gdyż droga ta jest obecnie konieczna dla ruchu wojsk.

Zaraz po przyjeździe moim do Łucka, postanawiamy z wojewodą Hauke-Nowakiem zwiększyć ilość robotników zatrudnionych przy budowie drogi. Telefonuję również w tej sprawie do ministra Komunikacji Ulrycha. Przyrzeka udać się niezwłocznie na miejsce z wicemin. Piaseckim, by przyspieszyć budowę twardej powierzchni i naprawę objazdów oraz sprawdzić stan mostu na rzece Horyń.

Łuck, 12 września 1939 r. Wtorek.

Dzisiaj, ranne bombardowanie nie było dokuczliwe, za to po południu zaczęły fruwać bomby niemieckie na lotnisku i obok leżącego przy nim domu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Gdy zobaczyłem, ile samolotów lata nad Ministerstwem, postanowiłem przenieść miejsce posiedzeń Rady Ministrów, która miała się tu odbyć, do Prezydium Rady Ministrów, w kasie Pożyczkowo-Oszczędnościowej.

W czasie tego posiedzenia bomby padały tak blisko, że sala chwiała się, jak pokład okrętu na wzburzonym morzu. Celem spokojnego obradowania zeszliśmy wreszcie do pokoju parterowego, gdzie było zaciszniej. Porządek dzienny był obfity. Przed wszystkim ministrowie uzgadniali plan swych prac w nowych warunkach istnienia naszego Państwa.

Min. Komunikacji Ulrych i Pózt Kaliński mają więcej i to nagłej roboty niż w czasach normlanych, to też potrzebują kre-

dytów dodatkowych. Min. Spraw Zagranicznych — Beck, Spraw Wojskowych — Kasprzycki i Opieki Społecznej — Kościółkowski również muszą zwiększyć pracę, a więc i budżety swych resortów. Duże sumy w resorcie Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej idą obecnie na doraźną pomoc dla uchodźców z zachodniej i środkowej części Polski, wypłacaną przez odnośne urzędy oraz instytucje samorządowe. Ma z tym dużo pracy min. Kościółkowski, wicemin. Piestrzyński i wicemin. Garbusiński.

Pozostali ministrowie: Oświaty Świętosławski, Sprawiedliwości Grabowski, Handlu Roman i Rolnictwa Poniatowski mają mniejszy zakres pracy, niż czasu pokoju, chcą ją jednak pogłębić i zbliżyć do realnych potrzeb życia, wobec czego zachowują wysokość swej budżetowej raty miesięcznej.

Poza tym minister Poniatowski zwraca uwagę, że jesteśmy w okresie siewów jesiennych. Rolnik potrzebuje ziarna i nawozów sztucznych. Największą pomoc, jaką okazać mu więc możemy, to płacenie natychmiastowe przez Izby Skarbowe kwitów wystawianych przy zakupach przez Wojsko. Każda zwłoka w płaceniu wywołuje gorszą uprawę pola, z którego plony, miejmy nadzieję, zbierać będziemy w roku przyszłym. Ponieważ w interesie Państwa jest, by zbiory roku przyszłego były jak najobfitsze, należy rolnikom wypłacać należne im pieniądze natychmiast. Minister Roman poparł ten wniosek, przenosząc go, przez analogię, na warsztaty rzemieślnicze i drobny przemysł, który zaczyna pracować dla Wojska w części południowo-wschodniej Polski.

Min. Skarbu Kwiatkowski zapewnił, że odnośne zarządzenia wyda natychmiast, gdyż rozumie doniosłość gospodarczą wniosku min. Poniatowskiego dla wolnej części Polski.

Minister Beck wysłał do Ambasadorów naszych w Londynie i Paryżu, z miejsca urzędowania Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Krzemieńcu, pod datą 12 września, depeszę treści następującej:

«Od dwóch dni Niemcy zwiększyli jeszcze systematyczne bombardowanie miast otwartych, leżących daleko od frontu. Jest to robione, niewątpliwie, w celu sparaliżowania całego życia kraju. Między innymi bombardowane były miasta: Lublin, Janów, Zamość, Chełm, Kowel, Łuck, przy czym lotnicy niemieccy pikowali bardzo nisko i zrzucaли bomby w centrum miast.

Zawiadomiłem o tym obecnych tu Ambasadorów. Złożyłem protest oficjalny w poselstwie holenderskim, stwierdzając krzyżące naruszenie oświadczeń niemieckich».

Niestety te nasze prawie codzienne protesty nie wpływają w niczym na postępowanie Niemców, którzy wyraźnie chcą sterroryzować Europę, choć nie zdołali sterroryzować, walczącej samotnie, Polski.

Na tym zakończyliśmy nasze obrady w sprawach zagranicznych.

Wracając do budżetowania, to, jedynie, minister Propagandy naszego Rządu, Grażyński, nie stawia chwilowo dodatkowych żądań pieniężnych, gdyż bawi jeszcze we Lwowie.

Zresztą, obecnie minister Kwiatkowski jest mniej «groszący» niż w czasie pokoju, gdy gros budżetu szło na potrzeby wojska, a budżet był ograniczony. Obecnie jest z budżetem luźniej. Toteż nawet zjawienie się na dzisiejszej Radzie Ministrów, obok min. Kwiatkowskiego, nieubłaganego wicemin. Grodyńskiego, nie wywołuje tradycyjnego popłochu.

Ja, jako minister Spraw Wewnętrznych, pozostaję przy dawnym budżecie.

Po załatwieniu spraw programu prac i budżetowania, uchwaliliśmy kilka dekretów, przy czym wszyscy zgodnie przyznali, że gwałtowne bombardowanie skraca znakomicie dyskusję.

Przy końcu posiedzenia min. Świętosławski referował sprawę ewakuacji narodowych dzieł sztuki, a min. Grabowski działalność resortu Ministerstwa Sprawiedliwości.

Po posiedzeniu Rady Ministrów dowiedziałem się, że dom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w którym miała odbywać się Rada Ministrów, został trafiony bombą lotniczą. Pojechałem na miejsce i stwierdziłem, że bomba przeszła od dachu do suteryny, robiąc studnię, wyrwaną przez całą szerokość domu. Dwie inne bomby upadły obok domu i wykopanych rowów schronowych. Ofiar w ludziach, na szczęście, nie było, gdyż bomba zniszczyła prawe skrzydło budynku, puste w godzinach poza-biurowych. Znajdujący się w sąsiedniej części budynku, urzędnicy Departamentu Politycznego, pełniący 24-godzinną służbę, ulegli silnemu wstrząsowi nerwowemu, gdyż pędem powietrza zostały wyważone wszystkie drzwi i okna, tak że wypadały z futryn. Urzędowanie dalsze w tej części budynku będzie bardzo utrudnione. W każdym razie, dzisiaj wyszliśmy jeszcze z tego bombardowania obronną ręką.

Jasnym jest dla wszystkich, że obecność Rządu powoduje to bombardowanie i Łuck płaci drogę za zaszczyt, że jest chwilową stolicą Polski.

Wicepremier Kwiatkowski sygnalizuje dalszą wysyłkę złota z Dubna do Rumunii przez Tarnopol.

Minister Ulrych przydzielił do budowy drogi Wiśniowiec—Zbaraż dodatkowe sumy pieniężne i tyłu robotników, ilu tylko jest możliwe ze względów technicznych. Robota idzie dzień i noc. Przejazd objazdami jest możliwy, ze względu na suchą porę roku, nawet dla samochodów ciężarowych.

Wieczorem, w Olyce, u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej odbyła się narada w składzie: Marszałek Śmigły Rydz, min. Beck i ja.

Marszałek oświadcza, iż Niemcy napierają od północy na Prześń oraz grożą linii Bugu, wobec czego Naczelne Dowództwo przenosi się chwilowo do Młynowa, leżącego na północ od Dubna. Jednak, z przejściem Niemców przez Bug, zajdzie koniecz-

ność przeniesienia Kwatery Głównej w rejon Kołomyi, by broń się w czworoboku ograniczonym: rzeka Stryj, rzeka Dniestr, granica rumuńska, granica węgierska.

Przygotowania do obrony linii tych rzek są w toku. Musimy uważać na granicę węgierską. Niemcy mieli już zamiar wejść do Polski, kierując się przez Koszyce, spotkali się jednak ze zdecydowaną odmową rządu węgierskiego. Poza tym, nic pociesającego od naszych sąsiadów.

W czasie rozmowy, w dniu 8 września, naszego ambasadora w Moskwie Grzybowskiego z Prezesem Ministrów Sowietów Mołotowem, ten ostatni oświadczył, iż interwencja Anglii i Francji w konflikcie polsko-niemieckim stworzyła nową zupełnie sytuację, z którą muszą liczyć się Sowiety.

Wobec tego, zapewnienia marszałka Woroszyłowa z 27 sierpnia rb. o gotowości dostarczenia dla Polski materiału wojennego i surowców przestają być aktualne. Również umożliwienie tranzytu przez Sowiety dla polskiego materiału wojennego, jest przeciwne, świeżo zawartej, umowie Sowietów z Niemcami. Rosja musi dbać przede wszystkim o własne interesy i o możliwość pozostania poza konfliktem. Polska zaś, w tej chwili dla Sowietów, to jest Anglia. Żadne poprzednie przyrzeczenia nie mają wobec tego znaczenia w chwili obecnej.

Smutne te odpowiedzi nabierają specjalnego znaczenia wobec sygnalizowanych od pewnego czasu ruchów wojsk sowieckich na pograniczu z Polską.

Staje się więc jasne obecnie, że odbywa się mobilizacja i gromadzenie wojsk sowieckich na granicy Polski, rzekomo, przeciw Niemcom.

Poza rozmową Grzybowski-Mołotow, stanowisko Sowietów jest dwuznaczne. Nie chcieli nam sprzedać nawet kompanii czołgów średnich, za które chcieliśmy im zapłacić złotem. Z drugiej strony, upewniają nas o swych przyjaznych zamiarach. Wiceminister Spraw Zagranicznych, Szembek, miał w Krzemieńcu, dnia 11 września, rozmowę z Ambasadorem Sowietów Charonowem.

Ambasador zgodził się na udzielenie wizy na wjazd do Rosji Sowieckiej naszym wysłannikom, jadącym po zakup materiału sanitarnego dla Wojska, zapewniając, że swej strony, iż materiał ten będącym mogli nabyć.

Według jego wiadomości, Warszawa trzyma się tak, że nawet ataki niemieckie osłabły w dniach ostatnich.

Ambasador upewnił, iż mobilizacja w Sowietach, o której tyle mówi się w Polsce, nie ma praktycznego znaczenia, obejmując najwyżej pięć roczników. Wywołana jest ona zbliżaniem się Niemców, którzy bombardowali już miejscowości na granicy zachodniej Sowietów, a z którymi Sowiety nie chciałyby mieć wspólnej granicy.

Ambasador udaje się z rodziną i członkami Ambasady ku granicy sowieckiej, a to celem nawiązania komunikacji telefo-

nicznej z Moskwą, niemożliwej z Krzemieńca. Ambasador miał wrócić do Krzemieńca za parę dni, lub gdyby był wezwany do Moskwy, to najdalej za tydzień. W Krzemieńcu pozostaje, w zastępstwie, drugi sekretarz Ambasady Sowieckiej w Polsce. Wszystko to nie wygląda pocieszająco i nie dodaje otuchy.

Niewiele lepiej przedstawia się sytuacja na zachodzie Europy. Wprawdzie mobilizacja odbyła się bez przeszkód i angielskie wojska już znajdują się we Francji, co odpowiada, być może; zapowiedzianej ofensywie na Niemców od zachodu. Dużo jednak zależeć będzie od uchwał Najwyższej Rady Wojennej Sprzymierzonych, która odbyła się we Francji z udziałem Chamberlaina i Chatfielda ze strony Anglii oraz Daladier i Gamelina po stronie Francji.

Sytuacja nie jest więc na ogół różowa, ale wierzymy w możliwość dalszego oporu przeciw Niemcom, po zageszczeniu wojsk w widłach Dniestru i Stryja oraz stworzeniu szeregu punktów oporu w miastach Polski, które okazały się dobrą przeszkodą dla czołgów.

Broniąc się w oparciu o Węgry i Rumunię, będziemy żądać niezwłocznej pomocy lotniczej Aliantów, aż do powrotu naszych 500 lotników, których wysyłamy po aparaty do Syrii.

Po powrocie do Łucka od Pana Prezydenta, koło godziny 11-ej wieczorem miałem dwie rozmowy telefoniczne z wojewodą Biłtykiem, który jest we Lwowie. Zapytywał on co ma robić, gdyż Niemcy weszli już do Lwowa. Odpowiedziałem, iż w porozumieniu z władzami wojskowymi, winien wycofać się z miasta na wschód, do jednego ze starostw i tam dalej urzędować. Wojewoda Biłyk odpowiedział mi na to, iż krępuje się opuścić miasto, gdyż gen. Sosnkowski i gen. Langner znajdują się w mieście i kierują operacjami wyrzucenia Niemców z okolicy dworca kolejowego. Poleciłem wobec tego wojewodzie Biłtykowi uzależnienie swego pobytu w mieście od porozumienia z władzami wojskowymi. Ja, tu z Łucka nie znam sytuacji i dobrej rady dać mu nie mogę. Niech się trzyma władz wojskowych. Na tym zakończyliśmy, już około północy, naszą rozmowę, pełną dramatycznego napięcia ze strony wojewody lwowskiego.

Łuck, 13 września 1939 r. Środa.

Wchodzi szybko w życie zarządzenie o reorganizacji policji na terenach utrzymanych. W myśl tego zarządzenia: Policja województwa warszawskiego kierowana jest do Brześcia. Policja województwa Łódź — do Lwowa, policja śląska — do Brześcia. Policja Miasta Warszawy do Łucka. Tu również kierowana jest policja województw pomorskiego i poznańskiego. Otrzymujemy w ten sposób znaczne wzmocnienie policji w wyżej wspomnianych miejscowościach i województwach.

Te pomocnicze oddziały używane są do: wyłapywania dywersantów, spadochroniarzy, szpiegów, utrzymywania porządku i regulacji ruchu pojazdów w miastach, nadzorowania wy-

lotów ulic miast, mających większe znaczenie dla ruchu wojska i transportów, wreszcie kontroli osób podejrzanych.

Poza tym inspektor policji Misiewicz obsadza policją linię rzeki Bug na odcinku: Włodawa, Uściług, Hrubieszów, Sokal, a inspektor Zdanowicz z 400 policjantami stanowi w okolicach Hrubieszowa ochronę przed zagonem niemieckim z kierunku Rawa Ruska i Sokal.

Również ewakuowani urzędnicy oraz część urzędników zredukowanych z Ministerstw została przydzielona do miejscowych urzędów celem podniesienia ich sprawności i wydajności pracy, wobec wywołanego przez napływ uchodźców, zwiększonego zakresu działania.

Dyr. Żyboriski otrzymał wiadomości z walczącego jeszcze raz Lwowa. Zagon pancerny Niemców na miasto został odparty. Działa strzelały na ulicach miasta do czołgów, odległych o paręset kroków. Cztery czołgi zostały rozbite w nocnej walce, jeden czołg niemiecki zdołał uciec. Wojewoda Biłyk wyjechał ze Lwowa. W urzędzie wojewódzkim pracuje dzielnie komendant wojewódzkiej policji, inspektor Goździewski.

Minister Grażyński wyjechał dzisiaj ze Lwowa do Łucka.

Przeszły dzisiaj przez Łuck samochody, ewakuujące papiery belwederskie. Prowadzi rotmistrz Biliński. Otrzymał wszelką pomoc.

Był u mnie min. Kwiatkowski. Dwa duże transporty złota doszły już do Śniatynia, trzeci transport z Zamościa jest już poza Lwowem, uchodząc od pancernych wojsk niemieckich. 4 tony złota na wszelki wypadek pozostają w forcie w Dubnie. W Banku Polskim w Bukareszcie zostało zdeponowane złoto za 10 milionów złotych. Tam będzie nasza baza zaopatrywania na wypadek konieczności płacenia złotem. Tak więc, gotowiśmy nie stracić z naszych zapasów złota, mimo strasznej szybkości wojsk pancernych niemieckich.

Złoto, znajdujące się w Dubnie, ma przygotowany specjalny samochód, którym w każdej chwili może być szybko wywiezione na południe.

Telefonował min. Roman, iż odbył w dniu wczorajszym konferencję w Ministerstwie Przemysłu i Handlu z udziałem dyrektorów oraz prezesów Izb Przemysłowo-Handlowych i Rzemieślniczych, którzy znajdują się w wolnej części Polski, w sprawie dalszego organizowania warsztatów przemysłu wojennego oraz nawiązania kontaktu handlowego z krajami ościennymi dla zorganizowania zakupów dla wojska. Warsztaty mają być rozlokowane w miejscowościach, gdzie istnieje już odnośny przemysł. Tak więc, w Łucku i okolicy — wyrób obuwia dla wojska, w Stanisławowskim — wyrób kożuszków baranich itd. Prace są w toku.

14 września 1939 r. Czwartek.

Nie ma dla nas spokoju w pracy rządu. Dzisiaj, o godzinie 4

rano przybył do hotelu «Polonia» gen. Malinowski, przywożąc rozkaz ewakuacyjny do rejonu Kołomyja, Kuty, Kossów. Pan Prezydent przenosi się do majątku Załucze, ad Śniatyń.

Niemcy przeszli rzekę Bug pod Kryłowem i posuwają się szybko grupą pancerną w kierunku wschodnim.

Dyplomacja opuszcza dzisiaj rano Krzemieniec i przenosi się do Kut, na samą granicę rumuńską.

Rząd wyjedzie stopniowo, pojedynczymi samochodami, dziś po południu tak, by na jutro rano być w rejonie Kossowa.

Należy zabrać ze sobą tylko koniecznych do natychmiastowej pracy urzędników. Reszta podaży w dniach następnych, w miarę dostarczenia środków lokomocji. Dużo czasu już nie ma, gdyż jutro Niemcy mogą przeciąć drogę Łuck—Tarnopol swymi oddziałami pancernymi. Pan Marszałek prosi, bym jadąc z Łucka do Dubna wstąpił do niego w Młynowie, gdzie mieści się Sztab i Kwatery Główna.

Gen. Sosnkowski walczy z Niemcami na zachód od Lwowa. Siły jego będą wycofane na rzekę Stryj, by dołączyć do nich grupę gen. Dembińskiego która obsadza brzegi rzeki Stryja. W miarę możliwości, będą ściągnięte nad rzeki Stryj i Dniestr inne również oddziały, bijące się na północ od Lwowa, w rejonie Kamionka Strumiłowa, Rawa Ruska.

Reszta wojsk utworzy punkty oporu po miastach i na Polesiu, broniąc się, póki można, czekając na jesień i pomoc Sprzymierzonych.

Gen. Malinowski odjeżdża, po omówieniu tych spraw, a my, po meldunku codziennym wojewody wołyńskiego, Hauke-Nowaka i dyr. Żyborskiego, zaczynamy szykować się do ewakuacji, wydzielając znów urzędy pierwszego rzutu, odjeżdżające natychmiast i drugiego rzutu, oczekujące na dalsze środki transportowe.

Wojewoda Bociński, ze starostą Soboniewskim, otrzymują polecenie wyjazdu do rejonu Kossów, celem zajęcia się tam rozlokowaniem urzędów Ministerstw, Sejmu, Senatu, Najwyższej Izby Kontroli Państwa i Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

Tymczasem Niemcy, jakby przeczuli lub też spostrzegli nasz ruch na południe, zaczynają bombardować samolotami drogę Łuck, Dubno, Krzemieniec z niespotykaną dotąd gwałtownością. Poszczególne nawet samochody, jadące tą szosą, są bombardowane i ostrzeliwane z karabinów maszynowych.

Wyjeżdżamy koło czwartej po południu z Łucka, w którym zostaje wojewoda Hauke-Nowak i cały jego sztab. Kierujemy się na południe, drogą na Dubno. Samoloty niemieckie eskortują nas, latając wysoko.

Pierwszy jedzie samochód dyr. Żyborskiego, potem nasz. Koło Młynowa wysiadam i idę meldować się u Marszałka Śmigłego.

Wychodzę po tej rozmowie, pokrzepiony planem dalszego

skutecznego oporu przeciw Niemcom w obszarze, nadającym się dobrze do obrony, zwłaszcza gdy zbierzemy tam więcej wojsk. Marszałek, omawiając plan dalszego oporu, zapala się i mówi: «Będziemy się bili, choćby z jednym batalionem walczyć przyszło».

Wracam na szosę do samochodów i, pod wieczór, docieramy do Krzemieńca. Ludność, pod nadzorem wojska, ustawia barykady przeciwczołgowe z wyrwanych z bruku ulicznego kamieni.

W starostwie dowiaduję się, że objazdy drogi Wiśniowiec, Zbaraż są doprowadzone do porządku tak, że i samochody ciężarowe wszędzie przejadą, tym bardziej że nad rzeką Horyniem też jest sucho, z powodu braku deszczu.

Opuszczamy przeludniony Krzemieniec.

Za miastem, już na ciemnej drodze, też zaczyna się robić coraz luźniej. Trafiliśmy do kolumny reparacyjnej warsztatów lotnictwa, jadącej w tym samym co my kierunku, na południe. Za Horyniem widzimy znak objazdu, szosa się kończy i zaczynamy jechać po piaszczystej drodze w tumanach kurzu, świecimy wszyscy latarnie, bo lotników niemieckich już nie ma. Wreszcie przed nami, po wyminięciu szeregu zakrętów i przeszkód objazdowych, zaczyna się znów szosa i, za chwilę, wjeżdżamy do historycznego Zbaraża. Między Zbarażem a Tarnopolem zostajemy zatrzymani przez kordon policji, która puszcza nas dalej dopiero po przekonaniu się, kto jedzie.

W obecności dyr. Żyborskiego odbywam konferencję z woj. tarnopolskim Malickim, wicewoj. Rogowskim, naczelnikiem bezp. Klimczakiem i daję im instrukcje. Tarnopol jest zupełnie zaciemniony, to też jedziemy tu już znowu bez świateł.

Po kolacji wyprowadzeni jesteśmy za miasto, przez ciemne ulice, pilotowani przez starostę tarnopolskiego Majkowskiego.

Jest już widno, gdy, koło czwartej rano, docieramy do uśpiołego Kossowa, gdzie starosta Fiala wskazuje nam kwatery. Nie śpi on całą noc, gdyż od północy przyjeżdżają pojedyncze samochody ministrów, tak jak wyjeżdżały rozproszone z rejonu Łucka, celem uniknięcia bombardowania lotniczego Niemców.

Kossów, 15 września 1939. Piątek.

Po tej dwunastogodzinnej podróży samochodem, koło godziny 10 rano, rozpoczynamy urzędowanie, utrudnione brakiem dostatecznej ilości telefonów. Min. Poczty Kaliński robił wszelkie wysiłki by temu zapobiec, przez założenie dodatkowych aparatów. Wicemin. Argasiński osobiście nadzoruje pracę telefonistów. Urzędujemy w zarekwirowanych willach uzdrowiska i w urzędach Starostwa. Przestrzeń zajmowana przez urzędy oraz ilość urzędników zmalały nagle, tak zresztą jak i zakres naszej pracy.

W samym Kossowie mieści się: Prezydium Rady Ministrów, Sprawy Wewnętrzne, Wojsko, Propaganda i Skarb. W Różno-

wie ułokowane zostały: Sprawiedliwość, Oświata, Komunikacja i Ministerstwo Poczty. W Kutach urzęduje Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Dyplomacja. We wsi Kńiaże rozlokowano: Opiekę Społeczną, Rolnictwo, Przemysł i Handel, Najwyższą Izbę Kontroli, Najwyższy Trybunał Administracyjny, Sejm i Senat. Pan Prezydent przebywa w Załuczu.

Naczelne Dowództwo przybyło koło południa do Kołomyi.

Jeżeli w Łucku wrzało jeszcze życie w urzędach, to tutaj wyraźnie nie ma na razie za co rąk zaczepić. Dyr. Żyboriski nawiązuje kontakt telefoniczny ze Stanisławowem, Lwowem i Tarnopolą, a ja wykorzystuję czas, by poinformować ministrów o sytuacji i naszych zamiarach obronnych. Robię to samo z Marszałkami Sejmu i Senatu oraz Prezesami Najwyższej Izby Kontroli, gen. Krzemińskim i Najwyższego Trybunału Administracyjnego — Hełczyńskim.

Rozchodzą się wieści o zabiciu, w czasie przejazdu z Krzemieńcą, Ambasadora Francji Noela. Wieści te są na razie niesprawdzone, ale niewykluczone, wobec bombardowania przez lotnictwo niemieckie nawet poszczególnych samochodów na szosach w dniu wczorajszym.

Po południu wyjeżdżam do Kołomyi, do Sztabu i w rozmowach z Marszałkiem Śmigłym i gen. Stachiewiczem utwierdzam się w przekonaniu o zamiarze i możliwości dalszego naszego oporu. Ta bliskość granicy rumuńskiej jest denerwująca dla wszystkich.

Kossów, 16 września 1939 r. Sobota.

Poszedłem rano do wicepremiera Kwiatkowskiego. Mieszka na początku lasu, przy odgałęzieniu szosy do wsi Zabie.

Sprawa transportów złota jest już pomyślnie załatwiona, przeszły one do Rumunii. Teraz kierujemy je dalej do Francji.

Obok mieszkania min. Kwiatkowskiego stoi zielony furgon z napisem: «Bank Polski».

Proszę wicepremiera, by pomyślał o zmianie części tangenty miesięcznej niektórych budżetów, jak Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Spraw Wewnętrznych na walutę obcą, a to ze względu na wydatki na wywiad i wyjazdy zagraniczne urzędników. Rzecz technicznie jest łatwa: w Banku Polskim są obce waluty. To jednak postanawiamy jeszcze tego nie robić. Sprawa rozejdzie się wśród urzędników i może sprawić złe wrażenie, ze względu właśnie na tę bliskość granicy rumuńskiej.

Wracam do miniaturowego Prezydium Rady Ministrów. Wojewoda Bociański i starosta Soboniewski pracują znów w biurach starosty Fiali, informując dziesiątki nadjeżdżających urzędników o rozkwaterowaniu Ministerstw.

Wysyłam wojewodę Raczkiewicza, jako Prezesa Związku Polaków Zagranicą, do Francji i Ameryki, celem oddziaływania przez naszych rodaków na opinię społeczeństw i rządu o przyspieszenie wydatnej pomocy dla walczącej resztkami sił Pol-

ski. Myślę, że ze względu na stosunki i długoletnie znajomości wojewody Raczkiewicza, byłego wielokrotnego ministra i Marszałka Senatu, wśród Polaków, mieszkających zagranicą, misja jego da dobre wyniki.

Wkrótce po wyjeździe wojewody Raczkiewicza, wysyłam w świat adwokata z Krakowa, posła Schwarzbarta, by wśród Żydów zagranicznych poruszył sprawę zaatakowania nas przez Hitlera i niebezpieczeństwa grożącego, między innymi Żydom polskim, oraz potrzebę natychmiastowej pomocy. Przyrzeka pracować zagranicą dla wspólnej sprawy ze wszystkich sił.

Wojewoda stanisławowski Jarecki i jego naczelnik Bezpieczeństwa Machniewski telefonują kilkakrotnie w sprawie rozruchów w powiatach Stryj, Żydaczów i Drohobycz, czyli akurat wzdłuż biegu rzeki Stryj, na której organizujemy obronę. Miejscowe elementy O.N.U., być może, wspomagane przez spadochroniarzy niemieckich, atakują elementy polski: ziemian, nauczycieli i urzędników. Specjalnie krwawe rozruchy mają miejsce we wsi Grabowiec i m. Mikołajów—Rozdół. Oddziały policji walcą w tej chwili w okolicy tych miejscowości.

Polecam wzmocnić policję zwartymi rezerwowymi oddziałami, uzyskanymi z ewakuowanych województw i przydzielić im karabiny maszynowe. Rozruchy mają być stłumione za wszelką cenę w tym ważnym dla nas terenie.

Ważne jest, by utrzymać również porządek wzdłuż granicy węgierskiej i rumuńskiej województwa stanisławowskiego. Wzywam więc do siebie dowódców oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza, Straży Granicznej i komendantów Obrony Narodowej, celem wspólnego przeciwdziałania z organami bezpieczeństwa publicznego ewentualnym próbom ruchu zbrojnego, wymierzonego przeciwko Państwu.

Otrzymują szczegółowe instrukcje: ppłk. Semerga, mjr. Słoka i ppłk. Klein. Mają oni działać pod kierownictwem płk. Prósłowicza.

Sprawa dywersji w powiatach Stryj, Żydaczów i Drohobycz jest bardzo ważna, to też polecam, by wojewoda Jarecki lub też, jeśli on będzie w terenie, to wicewojewoda Seidlitz zatelefonovali do mnie w tej sprawie jeszcze dzisiaj wieczorem. W razie koniecznej potrzeby dopiero użyjemy wojska, które nie powinno brać udziału w walkach z ludnością cywilną.

Niespodziewanie zjawił się dzisiaj u mnie wojewoda lwowski Biłyk. Oświadczyłem od razu, że nie przyjmuję żadnych jego meldunków, ma wracać do Lwowa lub, jeżeli to niemożliwe, do wolnych powiatów swego województwa i tam urzędować w dalszym ciągu. Stamtąd przyjmę jego telefoniczny meldunek. Wojewoda Biłyk wyjechał i odtąd go nie widziałem. \*)

\*) Dnia 4 lutego 1940 roku, będąc internowany przez rząd rumuński w Baile Herculane, otrzymałem następujące pismo:

Po południu wyjechałem do Zalucza złożyć meldunek Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej o sytuacji bieżącej. Dwór i wieś leżą na lewym brzegu Czeremoszu, niedaleko od ujścia do Prutu. Obchodzimy dwór z mjr. Hartmanem, adiutantem Pana Prezydenta. Widać stąd dworzec w Śniatyniu i część miasta. Po drugiej stronie Czeremoszu — już Rumunia. Trzeba będzie dodać tu ludzi na posterunku policji, gdyż kompania zamkowa nie

«Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Angers, dnia 5 stycznia 1940 r.

Rząd węgierski nadesłał do Poselstwa R. P. w Budapeszcie testament śp. wojewody Bilyka. Testament ten był zatrzymany przez władze śledcze węgierskie na czas trwania dochodzenia w sprawie śmierci śp. wojewody. Obecnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zgodnie z wolą zmarłego, przesyła kopię Panu Generalowi.

Do Pana Generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego.  
Odpis.

Do całej Polski i wszystkich Polaków, za pośrednictwem Poselstwa Polskiego w Budapeszcie.

Mówiłem: «aby Polska żyła, muszą ginąć jej synowie».

Mówiłem: «będziemy ginęli my i dzieci nasze — będzie żyła Polska».

Mówiłem: «będziemy przechodzić rzeczy straszne, ale zwycięstwo będzie nasze».

Nie mogłem walczyć we Lwowie, gdyż — zgodnie z wytycznymi Szefa Rządu — opuściłem go w warunkach, które mogą słowa moje postawić w pozornej sprzeczności z tym czynem.

W ten sposób znalazłem się na emigracji.

Dalsze moje życie zdaje się nie przedstawiać wartości dla Polski.

Być internowanym do końca wojny nie chcę.

Chcę ocalić honor.

Po Polsce wszystkie myśli moje są przy Tobie, Marylu, Leszku, Basiu, Ewo i Jerzy.

Życie szczęśliwi, jeśli to będzie możliwe.

Proszę, aby te moje słowa były rozgłoszone, aby nietkniętym został mój honor.

Munkacz, 19. 9. 1939.

*Alfred Bilyk*  
Wojewoda Lwowski.

Przede wszystkim niech otrzyma o tym wiadomość Wódz Naczelny Śmigły Rydz, Generał Składkowski i moje Miasto Lwów.  
Munkacz, 19. 9. 1939.

*Alfred Bilyk*  
Wojewoda Lwowski.

Za zgodność odpisu z oryginałem:

W. Grabowska».

Uważam za swój obowiązek testament woj. Bilyka przytoczyć tutaj, choć wychodzi on poza ramy tej pracy. W ten sposób wypełniam wolę zmarłego: «Proszę, aby te słowa moje były rozgłoszone...»

Oczywista nie mogę dyskutować ze zmarłym tragicznie kolegą.

wystarcza przy tej bliskości granicy zza której nie wiadomo co przydarzyć się może w każdej chwili.

Po złożeniu meldunku Panu Prezydentowi, zwiedziłem posterunek policji, przyrzekając komendantowi posterunku, że otrzyma wzmocnienie w najbliższym czasie, być może, jeszcze dzisiaj, a to celem mocnego patrolowania otoczenia dworu.

17 września 1939 r. Niedziela.

Dziś rano —radosna wiadomość, po której granica rumuńska wydaje się dalsza: gen. Sosnkowski w kilku atakach nocnych rozbił niemieckie oddziały pancerne, walcząc na zachód od Lwowa. Nasi zniszczyli około 100 czołgów i Lwów znów jest uwolniony od najazdu niemieckiego. Tak więc, będziemy się bronić, być może na zachód od rzeki Stryj, gdyż Niemcy mają duże straty. Nareszcie coś dobrego w tej wojnie.

Druga, choć znacznie mniejsza, radość jest z powodu opanowania rozruchów w Stanisławowskim, bez użycia wojska, o czym telefonuje wojewoda Jarecki. Gorszą wieścią jest meldunek o usiłowaniach wywołania powstania ludności huculskiej w Żabiem, ale damy sobie radę z tym nawet naszymi siłami policyjnymi, będącymi na miejscu. Znów, na pewno, robota niemiecka, ale bezskuteczna.

Dopiero godzina dziesiąta rano przyniosła straszną wiadomość, której na razie wierzyć nie chcieliśmy. Wojska sowieckie przeszły granicę naszą czołgami i, po złamaniu oporu oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza, posuwają się na zachód, wołając, że idą walczyć z Niemcami, by całej Polski nie zabrali. Telefonuje to wojewoda tarnopolski Malicki, ale wkrótce jest już wiadomość radiowa, że wojska sowieckie przeszły granicę polską na całej długości od Dźwiny do Dniestru.

Jesteśmy tym zupełnie zaskoczeni. Taki cios nieoczekiwany. Przecież mamy z Sowietami pakt nieagresji z 1932 roku, poparty umową z końca zeszłego roku i traktatem handlowym. To coś potwornego i to w chwili, gdy zdawało się, że będziemy mogli oprzeć się Niemcom, choć na tym skrawku ziemi polskiej.

Teraz dopiero staje się jasne, dlaczego Ambasador Sowietów Charonow tak nagle uciekł z Krzemieńca.

Marszałek Śmigły wzywa mnie i min. Becka na godzinę 11-tą do siebie, do Sztabu w Kołomyi.

Telefonuję do Zalucza o konieczności natychmiastowego przejazdu Pana Prezydenta do Kut, spod eksponowanego na wschód Śniatyna, gdzie wkrótce mogą być bolszewicy.

Siadam do samochodu. Może jest jeszcze jakaś nadzieja? jakieś wyjście z tej sytuacji straszliwej. W Kwaterze Głównej czekam na przybycie min. Becka, po czym rozpoczynamy naradę. Wyniki jej są następujące: Sytuacja ogólna Polski pogorszyła się gwałtownie z wejściem do wojny z nami Sowietów. Mamy przeciw sobie obecnie, nacierających koncentrycznie ze

wszystkich stron Polski około 200 dywizji. W tych warunkach, trudno zorganizować skuteczny i długotrwały opór.

Czołgi i wojska sowieckie przełamały już oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza i prą naprzód wśród naszych oddziałów etapowych i służb pomocniczych, nie mogących powstrzymać naporu nowej wielkiej potęgi militarnej, która zwała się na nasze tyły.

Jednak musimy się opierać w poszczególnych punktach, jak Hel, Warszawa, Modlin, Lwów, by Hitler nie mógł ogłosić światu, że opór Polski skończony, że więc mocarstwa zachodu nie mają po co już walczyć. Musimy przedłużać naszą walkę ze względów politycznych.

«Wypowiedzenie wojny» nastąpiło w ten sposób, że dzisiejszej nocy nasz ambasador Grzybowski został wezwany do p. Potiomkina, który wręczył mu notę rządu sowieckiego o treści tak prowokującej, że ambasador Grzybowski odmówił jej przyjęcia. W nocy tej, podpisanej przez premiera rządu Sowieców Mołotowa, po stwierdzeniu, że wojna polsko-niemiecka wykazała słabość Państwa Polskiego, że Rząd Polski uciekł i nie daje znaku życia, Sowiety uważają, że umowy polsko-sowieckie straciły swe znaczenie. Wobec tego, że niepewna obecnie sytuacja w Polsce może być groźbą dla Związku Sowieców, wojska sowieckie otrzymały rozkaz przekroczenia granicy sowiecko-polskiej, a to celem obrony ludności bratniej Ukrainy i Białorusi Zachodniej oraz uwolnienia ludności Polski od nieszczęsnej wojny, w którą wciągnięta została przez nieprzewidujących przywódców, i zapewnienia jej spokojnego życia.

Sytuacja Naczelnego Dowództwa i Rządu jest zagrożona. Jutro będą w Kołomyi wojska sowieckie, gdyż w tej chwili czołgi Sowieców przekroczyły Dniestr w Uściczku.

Rząd i Naczelne Dowództwo mogłyby przedzierać się z policją i stu żandarmami, będącymi jedyną siłą dyspozycyjną przez Żabie na zachód, wzdłuż granicy węgierskiej, ale oddala nas to od jedynej granicy alianckiej, którą jest granica rumuńska. Przy przejściu granicy węgierskiej będziemy niezwłocznie internowani, podczas gdy Rumuni są naszymi aliantami, mającymi wobec nas zobowiązania jasno określone. Obowiązani są oni, w razie wkroczenia Sowieców do Polski, wejść do wojny i mobilizować swą armię, która przechodzi, razem z Wojskiem Polskim, pod dowództwo Marszałka Śmigłego, celem wspólnej walki z Sowiecami. Postanawiamy zwolnić Rumunów z obowiązku walczenia z Sowiecami, którego na pewno nie wykonają w sytuacji obecnej, natomiast jako sojusznicy żądamy od nich przepuszczeniu Rządu, Naczelnego Dowództwa i Wojska Polskiego przez Rumunię, celem udania się do sprzymierzonej Francji i prowadzenia dalszej wojny za pomocą utworzonej tam armii polskiej.

Decydujemy się na to, gdyż zadaniem Rządu i Wodza Naczelnego nie jest wygranie lub przegranie poszczególnej bitwy oraz

wykazanie męstwa osobistego. Zadaniem i celem naszym jest dalsze prowadzenie i wygranie wojny. Gdy to wygranie wojny w Polsce jest już niemożliwe, należy prowadzić ją gdzie indziej, aż do zwycięskiego końca.

Jedyną więc decyzją, możliwą dla dalszego prowadzenia wojny, jest przejazd przez Rumunię, potem morzem lub lądem do Francji, celem dalszego organizowania wojny o całość Polski. Decyzja przykra i upokarzająca, ale jedyna, umożliwiająca dalszą skuteczną walkę.

Nie możemy pozwolić sobie na stoczenie bitwy lub potyczki i oddanie się do niewoli niemieckiej lub sowieckiej, gdyż jesteśmy przez obecność Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Rządu i Naczelnego Dowództwa, w krajach sprzymierzonych, atutem i znakiem ciągłości Sprawy Polskiej.

Wycofamy się zagranicę dopiero pod bezpośrednim zagrożeniem nas ze strony Niemców lub wojsk sowieckich.

Min. Beck jedzie do Kut omówić możliwości naszego przejazdu przez Rumunię z ambasadorem Rumunii w Polsce Grigorcea, a z ambasadorem Francji w Polsce Noelem — sprawę naszego pobytu we Francji celem prowadzenia dalszej wojny u boku Aliantów. Za parę godzin zameldujemy się u Pana Prezydenta w Kutach, celem przedstawienia mu wyniku naszych narad oraz zbadania odpowiedzi rumuńskiej i francuskiej na propozycje min. Becka.

Z tą ciężką decyzją wracam do urzędu w Kossowie. Zawiadamiam o niej wicemin. Klukowskiego, Korsaka i Brzózowskiego oraz dyr. Żybońskiego. Obecny przy tym wicemin. Sprawiedliwości Chelmoński błędnie, wołając: «A jednak wojnę tę trzeba było przyjąć, zrobiliśmy dobrze!»

Upewniam go o dalszym zamiarze walki poza granicami Polski, ale to nas pociesza tylko rozumowo. Uczuciowo cios jest straszny.

Po południu idę do Pana Prezydenta do Kut. Przybywa Marszałek Śmigły i min. Beck. Meldujemy, do zatwierdzenia Pana Prezydenta, wyniki naszej narady porannej. Poza tym min. Beck podaje, iż ambasador rumuński mówił z komory granicznej na drugim brzegu Czeremoszu, po stronie rumuńskiej Wyżnicy, przez telefon, z ministrem Spraw Zagranicznych Rumunii Gafenco. Rumunia zgadza się na nieoficjalny przejazd Pana Prezydenta i Rządu Polskiego przez swe terytorium do Konstancy lub innego punktu granicznego z krajami neutralnymi, prosząc o szybkie uskutecznienie tego przejazdu, bez zatrzymywania się długiego na terenie rumuńskim.

Z Marszałkiem Śmigłym, Naczelnym Dowództwem i Wojskiem będą pewne trudności formalne, ale wszyscy będą mogli przejechać do Francji.

Ambasador Francji upewnił min. Becka o lojalnym sojusznictwem stanowisku swego kraju, wobec Głowy Państwa, Rządu i Władz Wojskowych oraz Wojska Polskiego.

W czasie narad otrzymuję telefon od dyr. Żybońskiego: Starosta ze Śniatynia melduje, że wojska sowieckie doszły do Śniatynia i zajęły przejście graniczne do Rumunii; bariera została opuszczona i wszelki ruch graniczny wstrzymany. Na północ od Śniatynia czołgi i wojska sowieckie posuwają się dalej w kierunku zachodnim. Nie ma więc wątpliwości, że bolszewicy mogą być jeszcze dzisiaj w Kołomyi, a nam pozostaje już tylko jedna wolna droga graniczna do sojuszniczej Rumunii, przez Kuty — most na Czeremoszu — Wyżnicę.

Wobec tej sytuacji zapada uchwała przejścia tej nocy z wszystkimi formacjami wojskowymi do Rumunii, celem dalszego przejazdu do Francji.

Redagujemy Orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do ludności Polski, datowane dniem dzisiejszym, 17 września w Kutach. Orędzie stwierdza, iż Pan Prezydent powziął decyzję przeniesienia siedziby Głowy Państwa i Władz Centralnych do jednego z krajów sprzymierzonych. Z tego nowego miejsca Władze Polskie, przy zachowaniu pełnej suwerenności będą mogły czuwać nad dobrem Rzeczypospolitej i prowadzić dalej wojnę przy boku Sprzymierzonych Państw.

Marszałek Śmigły wyda rozkaz do wojska, który będzie dołączony do ostatniego na terenie Polski Rozkazu Operacyjnego, przygotowywanego w tej chwili przez Szefa Sztabu, gen. Stachiewicza.

Wychodzę z tej ostatniej narady u Pana Prezydenta Mościckiego na Ziemi Polskiej, którą musimy wkrótce opuścić.

Min. Beck wysłał z Kut, dnia 17 września jednobrzmiące depesze do Ambasadorów Polski w Londynie, Raczyńskiego i w Paryżu, Łukasiewicza, w których stwierdza, iż Ambasador nasz w Moskwie, Grzybowski, odmówił przyjęcia noty p. Mołotowa i wyraził protest przeciw napadowi.

Min. Beck polecił Ambasadorowi Grzybowskiemu zażądać paszportów i opuścić Moskwę.

Rząd Polski działając na terytorium polskim i w kontakcie z korpusem dyplomatycznym, wyraził protest przeciwko insynuacjom sowieckim. Nasze oddziały graniczne opierały się inwazji.

W myśl tej instrukcji telegraficznej ambasadorzy nasi w Paryżu i Londynie złożyli w Ministerstwach Spraw Zagranicznych Francji i Anglii w dniu dzisiejszym (17 września) noty, zawiadamiające o napadzie wojsk sowieckich na Polskę, z naruszeniem paktu nieagresji, przedłużonego umową z 5 maja 1934 roku, do 31 grudnia 1945 roku, oraz prośbie Rządu Polskiego i oporze wojsk pogranicza Polski. Musimy, niestety, ograniczać się już tylko do protestów, jako ostatnich naszych czynności rządowych na Ziemi Polskiej, z której spychają nas wojska sowieckie, zbliżające się z każdą godziną do miejsca pobytu i urzędowania Rządu Polskiego, o którym, rzekomo, Sowieciom nie jest wiadomo. Tymczasem szybkie posuwanie się ich

czołgów wzdłuż granicy rumuńsko-polskiej świadczy aż nadto dobrze o zamiarach, które żywią wobec Prezydenta Rzeczypospolitej, Rządu i Naczelnego Dowództwa Polskiego.

W Kutach pracuje już wojewoda Bociński, utrzymując porządek wśród wielkiej ilości samochodów, które nagromadziły się na paru ulicach tej małej granicznej miejscowości. Szczególnie trudny jest tu zakręt przed posterunkiem policji przy zjeździe do mostu, gdzie usiłują dostać się wszystkie samochody.

Zawiadamiam kwaterymistrzów o decyzji wyjazdu wieczorem i konieczności utrzymania porządku na drodze. Naprzód pójdą samochody dyplomacji, później Rządu i Wojska, a później dopiero prywatne.

Obecnie również przechodzą granicę samochody prywatne, ale dzieje się to bardzo powoli, bo komora celna rumuńska w Wyżnicy pracuje, nie śpiesząc się, jak za dobrych pokojowych czasów. Proszę wojewodę Bocińskiego, by udał się z oficerem miejscowej policji na stronę rumuńską i interweniował o szybsze załatwienie przejścia przez granicę samochodów cywilnych, celem odciążenia ulic Kut i możliwości podciągnięcia samochodów Rządu i wojska.

Wracam z Marszałkiem do Kossowa, gdzie Marszałek zostaje aż do przybycia Sztabu z Kołomyi, po nadaniu przez radio rozkazów.

Cała droga od Kut do Kossowa utrzymana jest we wzorowym porządku, dzięki pracy starosty Fiali i jego policji.

Zawiadamiam poszczególnych ministrów, marszałków Sejmu i Senatu oraz Prezesów Najwyższej Izby Kontroli i Najwyższego Trybunału Administracyjnego o decyzji przejścia granicy rumuńskiej tej nocy. Wszyscy przejadą do wsi Czerhanówka, leżącej między Kossowem, a Kutami i tam w samochodach lub sąsiednich chatkach będą czekać na sygnał wyjazdu.

Wysłałam urzędników do Kut, by w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wystawili paszporty zagraniczne dla tych ministrów i urzędników, którzy ich nie posiadają.

Wszystkie wyloty ulic Kossowa zostały obsadzone przez żandarmerię i policję. Poza tym policja patroluje drogi naokoło miasta, gdyż bolszewicy mogą zjawić się w każdej chwili.

Jesteśmy spakowani, zapada zmrok. Czekamy na przyjazd Sztabu z Kołomyi, gdzie gen. Stachiewicz nadzoruje nadawania przez radio ostatniego rozkazu Naczelnego Dowództwa Polskiego do Wojsk Walczących. Tak, mija godzina ósma i dziewiąta. Jesteśmy niespokojni, gdyż Sztab, tak samo jak my, posiada jako osłonę tylko kilkudziesięciu żandarmów. Wreszcie meldują, że Sztab już przejechał w kierunku na Kuty. Wychodzimy do samochodów. Pan Marszałek jest spokojny, ale twarz ma zupełnie szarą.

W Czerhanówce widzimy samochody rządowe i podciągamy je za sobą. Wzdłuż całej drogi, po prawej stronie szosy, stoją dwa rzędy samochodów osobowych i ciężarowych. Władza bez-



pieczeństwa i oficerowie policji utrzymują porządek. Po paru zatrzymaniach dojeżdżamy do Kut. Pan Prezydent wyjechał już w towarzystwie ambasadora rumuńskiego w Polskę, Grigorcea do pałacu biskupiego w Czerniowcach, gdzie zamieszka chwilowo.

Obecnie wyjeżdża dyplomacja. Samochody nasze stają w długiej kolejce na ulicy, wiodącej do mostu. Mija godzina. Komora rumuńska pracuje wciąż powoli. Zachodzi obawa, że o świcie nadlecą samoloty niemieckie i zbombardują ten wąż samochodów, który stoi jeszcze pod Kossowem.

Udaję się z rozkazu Marszałka Śmigłego z policjantem miejscowym na stronę rumuńską.

W naszej małej budce granicznej przy moście, pełno karabinów, które zostawili ci, co nie chcieli oddać ich w ręce Rumunów. Po stronie rumuńskiej spotykam pułkownika rumuńskiego, attaché wojskowego w Warszawie, który czeka tu, by zameldować się Marszałkowi Śmigłemu. Wpływa on na gorliwego porucznika celników tak, iż wozy zaczynają szybko odjeżdżać jeden za drugim, bez badania celnego lub badane jedynie powierzchownie. Wracam na brzeg polski. Wąż samochodów posuwa się w kierunku mostu. Nadchodzi i nasza kolej opuszczenia Polski.

Zaraz po przejeździe mostu, Marszałek w towarzystwie attaché rumuńskiego kieruje się na rumuńską komorę celną, będącą o paręset kroków od mostu.

Wiszą tu jeszcze, na znak przyjaźni z Polską, portrety Marszałka Piłsudskiego i Prezydenta Mościckiego. Przez pięć i pół godzin — do 4½ rano Marszałek czeka aż skończy się ewakuacja formacji wojskowych z Polski. Przy moście nadzorują przejazd pułk. Muennich, mjr. Krzeczkowski oraz mjr. Kaciukiewicz.

Kilka razy interweniuje, gdy światła samochodów przez most posuwają się zbyt wolno, by przyśpieszyć odprawę celną. Najsmutniejszym obrządkiem tej odprawy jest rozbieranie naszych żołnierzy. Smutno jest patrzeć, gdy nasza świetna broń polska dostaje się w ręce półcywilnych żołnierzy rumuńskich, którzy nawet trzymać jej porządnie nie umieją. Żołnierze, policjanci i żandarmi, gdy przychodzi oddać broń za mostem, wręczają ją szybko, a potem idą we wskazanym kierunku, nie oglądając się, jakby z obawy, że za chwilę wrócą i wyrwą karabin z rąk Rumuna. Przychodzą szalone myśli do głowy: krzyknąć na naszych i rzucić się na tych, co broń odbierają. Nonsens, oczywiście, ale że wieliby, to na pewno!

Okolo pierwszej godziny po północy telefonuję z Wyżnicy do min. Becka w Czerniowcach, zapytując o sytuację. Odpowiada, że w domu gubernatora Czerniowiec konferuje z przedstawicielem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Mijają wozy, a Sztab jeszcze nie nadciąga, co niepokoi Marszałka. Wreszcie przejeżdża Sztab, Skarbiec Wawelski, Fundusz

Obrony Narodowej, wozy z pożyczką złotą na wojnę, na końcu jedzie wielki obóz samochodowy lotników z gen. Kalkusem.

Jest już świt, godzina czwarta rano. Zaczynają przechodzić samochody cywilne.

W czasie przejścia samochodów urzędowych było kilka scysji między utrzymującymi porządek, gdyż nerwy są napięte. Wojewoda Bociański i starosta Soboniewski skończyli już swą pracę nadzorowania ruchu. Nie mamy tu więcej nic do roboty. Marszałek daje znak do odjazdu; rzucamy spojrzenie na Ziemię Polską i Kutę za Czeremoszem. Po błotnistej drodze (tu padał deszcz) jedziemy do Czerniowiec przez Storożeniec. Prowadzi nas samochód attaché wojskowego. Po drodze spotykamy dwa działa artylerii rumuńskiej, zaprzężone każde w cztery chude koniki. Boże, gdzie nasza cudna artyleria?! Wszystko to już daleko za nami, ale i przed nami, bo jedziemy by dalej walczyć!

Wreszcie, w mglisty, zachmurzony poranek jesienny, zatrzymujemy się przed wielkim, w stylu wschodnim zbudowanym, pałacem biskupim w Czerniowcach, gdzie mieszka Pan Prezydent Mościcki i Marszałek Śmigły. Jesteśmy rozbici wrażeniami tej nocy.

*Felicjan SŁAWOJ SKŁADKOWSKI.*

(Dok. nastąpi.)

## Teksty zapomniane

### 19. XII.

*Democratic Vistas* Whitmana — przygnębienie gniece duszę przy czytaniu. Gdzie miejsce dla nas, dla Polski, w tych perspektywach, gdzie pewność i wreszcie: gdzie potrzeba samej tej pewności. List Whitmana do rosyjskiego tłumacza, poczucie powinowactwa dwóch ogromów przyszłości. Smutek! smutek! Nie można bez zastrzeżeń oddać się człowiekowi, zaufać mu. — A śmieszność myśli, która się boi człowieka, przyszłości jego. Przed laty mówiłem bezlitośnie o Krasińskim — dzisiaj nadszedł jego odwet. Polska dla Whitmana to tylko feudalizm w jego pojęciu i przecież t a k j e s t właściwie. Trzeba myśleć, trzeba przekonywać siebie, trzeba przypominać, że Polska to także warunek nieupośledzonej przyszłości 20 milionów, które miały, mają lub będą miały nieszczęście urodzić się Polakami. Ale to już inna perspektywa. Niema tu miejsca na oceaniczną bezbojaźliwość, — precysja się trzeba szczelinami. Stąd wopółczucie dla Sorrela: i on ma na sobie przeszłość zorganizowaną, rozczłonkowaną, raz na zawsze niezmienną, żyć musi w jej warunkach. To nie zmienia rzeczy, że Whitman się ludził, choć nie do tego stopnia jak to przypuszczałem, pisząc o nim niesprawiedliwie i sucho, jest on mądrzejszy, bardziej «*dix-huitième siècle*», niż myślałem, — naturalnie to znaczy, że ma w sobie więcej tego elementu, niż myślałem, nie znaczy, aby go ten element określał — ale jego złudzenia nic nie znaczą. Fakt jest, że pomiędzy każdym z nas i błogosławieństwem myśli, leży nieszczęście, rzecz określona, ciasna i uboga. Kasprowicz i Whitman — istotnie to określa. Biedny, oślepy słończnik i szeroka, żywa, nieogarnio-

na, widząca dusza oceanu w wicherze i słońcu. Biedny oślepy słończnik!

.....

Pamiętam minę Dawida, gdym mu mówił, że chcę pisać o S. T. Coleridge'u. To luksus. Naturalnie. Literatura wogóle jest to luksus, jeśli się wierzy w politykę, ale literatura subtelnie, dokładnie z miłością znana literatura, to jedna z najniezawodniejszych dróg, prowadzących do wyzwolenia od brutalnie głupich i deprawujących zabobonów politycznych.

.....

Każdy myślący Polak musi dziś czuć to samo: myśli nasze butwieją w ciągu jednej nocy. Nie znoszą zetknięcia z powietrzem i ziemią — tym powietrzem i tą ziemią, jakie są z naszej i ojców naszych zasługi — jedynym naszym gruntem. — Czy więc istotnie nie wszystko jedno?

### 22. I.

.....

Starając się zachować spokojną ocenę faktów, zastanówmy się, czym była polska literatura Rzeczypospolitej niepodległej, pojęta, jako manifestacja natury ludzkiej i źródło głębokiej wiedzy o człowieku. Lękam się, że ani jedno nazwisko nie wytrzyma najwyższej miary, że co najwyżej Skarga ma prawo do bezwzględnej uznania w swoim zakresie, bo Kochanowski nie zastąpi ani Shakespeare'a, ani Danta, ani zapewne nawet Spensera lub Aryosta czy Tassa. Ale jeżeli już, to najwyżej może rościć sobie prawo do miejsca obok tych ostatnich.

.....

Widzenie świata Berenta, światopogląd Nałkowskiej, głębokość Żeromskiego. Nie: — nędzą polskiej literatury, jej potępieniem jest b r a k m y ś l i. Ani jednej myśli w całym tym ruchu. Nic, co by zostało tu po męsku w sposób określony i dobitny pomysłane i przeżyte.

Ci ludzie wiedzą, że istnieje zawsze pewna potencja uczucia, giestykulującego wzruszenia; myśl była potrzebna im tylko o t y l e, o ile wywoływała uczuciowe echa.

.....

W moim artykule o rosyjskiej rewolucji i narodowych demokracjach polskich, drukowanym w «*Russkom Bogatstwie*» i uwa-

żanym przez I. Daszyńskiego i C-ie za zdradę z mojej strony, jest pomiędzy innymi ostry i rzeczywiście możnaby myśleć więcej niż ryzykowny, nie dający się usprawiedliwić ustęp o «oświacie ludowej». Bywały już chwile, gdy czyniłem sobie wyrzuty z tego powodu. Właściwie jednak rzeczy mają się gorzej i tragiczniej, i wszystkie moje frazesy nie wyczerpały goryczy jaka jest w faktach. Trucizna musi być w słowach, jeżeli jest w procesie. Oświata ludowa jest życiem umysłowem na cudze conto, jest kombinacją obłudy, tchórzostwa myślowego, zanikiem twardej woli obywatelskiej i politycznej. Wierzy się w lud. W istocie nie wierzy się tylko w siebie. Ale wierząc w lud zyskuje się mistyczny grunt dla nadziei i programów politycznych, za które myśl nie pozwoliłaby nam przyjąć odpowiedzialności jako za własną działalność. Tam, gdzie widzimy niemożliwość i braki, tam wysuwa się mglista myśl, że na tym właśnie przecież polega posłannictwo ludu, że on dokonać zdoła rzeczy, których my nie umiemy nawet pomyśleć. Wolno więc nam jest mieć wiarę dziejową, nie mając woli. Temu ludowi my dostarczamy wiedzy i myśli. Ta wiedza ma być tylko pierwszym przedwstępnym krokiem. Może to nie być więc uznawana przez nas wiedza. Twórczość ludu z tej fazy wydobędzie prawdę. Na razie ta nie jest prawdą dla nas nawet. I tak wolno nam mieć wiarę nie mając prawdy, nie troszcząc się o nią. Wolno żyć poza dążeniem do prawdy, do krytycznie wytkniętego i sprawdzonego celu i zachowywać przeświadczenie dodatniości własnej, więcej: przodownictwa i poświęcenia. To są czynniki psychiczne z których wyrastają dziś nudy oświatowe. To jest przyczyna, że dzisiaj znowu wydaje się to drogą prowadzącą z rozbicia. Jest tu możliwość wyzwolenia się od odpowiedzialności a zachowania samoceny, do których prawo nam daje tylko odpowiedzialność skutecznie i czynnie podejmowana. Historyk fałszów, które żarły i trawiły, zatruiwały i niszczyły życie myślowe naszego narodu, samą jego istność wewnętrzną, które zagrażają samemu naszemu istnieniu, nie powinien, nie może zapomnieć o oświacie ludowej.

### 3. II.

..... Pisać Polakom, że historia sama się robi, że wskutek tego plany historyczne, o jakich pisałem ja, a przede wszystkim już w swoim mądrym, głębokim

i męskim artykule p. Koneczny, jest rzeczą niepotrzebną, jest wszczynaniem kwestyi sztucznych — to już szczyt ograniczonosci. A ci panowie z «Widnokregów» z tą samą dobrą miną dobrze wychowanych chłopczyków przełknęli artykuł Konecznego i drukują teraz kwasy starokawalerskie Irzykowskiego. To wydaje się im bezstronnością, równowagą myślową, powagą. Bóg wie wreszcie. Żadną miarą nie umiem sobie wyobrazić wnętrza głowy Biegeleisenów. Historia się robi sama. Nie sama, lecz przez olbrzymie maszyny woli wyętej przeciwko nam. Nie mogę pisać nawet dla siebie o tym. Pragnę zapomnieć o istnieniu Irzykowskiego; jest to prawdziwa zmora. Jeżeli zwaryuję, on i Herbaczewski będą moimi widmami przesładowczemi.

.....

Mój Boże, jak mam już was dosyć, was wszystkich niepolitycznych, ciekawych, wybitnych, prawdziwie oryginalnych. Jak kurz to przesłania słońce, dusi i nie daje oddychać.

Niema niepospolitego umysłu bez woli prawdy — a Irzykowski, a \*\*\*, a wszyscy dzisiejsi z młodo-polskiej kultury — nie wiedzą nawet, jak to wygląda. Nie rozumieją oni, że prawda poznania daje spokój i stanowczość i że tylko fałszywy umysł ma tu coś do powiedzenia. Naturalnie związek ten tak się właściwie przedstawia, że myśl, która daje woli naszej, charakterowi naszemu spokojną pewność, zaufanie — jest prawdą i to jest jedyne ludzkie jej określenie. Ale właśnie musi być ten charakter, ta wola — inaczej myśl Tersytowska, która nigdy nie znajduje spokoju i sądzi, że ta jej ruchliwość to właśnie niezaspokojoność, bezwzględność, nieustraszeność dążenia do prawdy.

Trzeba ignorować — ignorować jakby nigdy nie istniał ów brzuchomówczy, świegotliwy element Tersytowski. Trzeba coraz pogłębiać fundamenty i coraz wyżej wznosić wały, mury, palisady i strażnice.

Być samym. Bez chęci nawet i żalu, by było inaczej. Nie polemizować. Pisać w stylu konstatowania i kształtowania rzeczywistości, zupełnie nie dostrzegając Biegeleiseniady, Irzykowszczyzny, Zofii Nałkowskiej i tutti quanti.

.....

Młodszość cywilizacyjna Polaków, pisał Szujski. Boże miłosierny, siwieją już włosy, starość odbiera rzeźkość i sprężystość

wiązaniom członków i wciąż nie młodszość — ale lekkomyślna, zuchwała niedorobłość. Zuchwałstwo jest bezpłodne w myślowym świecie. Warchoł nie widzący grozy, przekrzyknąć usiłujący tragizm nieunikniony — nie dojdzie nigdy do źródła prawd płodnych. Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyczuty brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzejającymi sprawami życia gatunkowego. Nie chcemy mierzyć samych siebie wielką miarą.

.....

Aktorstwo w pisaniu. Jak nadużyliśmy słowa jako *naturlautu*. Do niemożliwości. I tu Heine może dostarczyć gruntu, ale uwydatnić powinowactwo z Nietzschem — tylko wydobyć na jaw piękne i okrutne dziewictwo duszy Nietzschego. Ten rys, za który kochać nie przestanę i biada wszystkim, co go zdradza. Za tę czystość jego, za skandynawską śnieżną nieprzystępność duszy, za granit i fiord kontemplacji. Z a t o jedno powinien on być czczony. Jaka szkoda, jaka szkoda, że znał on i dał się uwieść tej «dziewce» Wagnerowi. Żle z każdym, kogo nie boli wagnerianizm Nietzschego. Nienawidzę Wagnerowskiej frazeologii. Jest to mój wróg osobisty. O Schopenhauerze nie mogę dzisiaj mówić. Prawie wszystko konkretne zapomniałem. Jeszcze nie umiałem czytać konkretnie. Dobrze byłoby go czytać tuż przy Heinem — ale nie odwlekaj. Napisz dumną przedmowę — a będziesz wracał i uzupełniał.

Dalej Stirner i Thoreau. Ach tak! ciągnie do przejechań się po niemczyźnie, po hypnozie wszystkich Irzykowskich tego świata. Ten Stirner nadaje się do tego. Ach, nie oszczędzać go. Tłuc ze wszystkich stron. Ukazać ohydę i bezkształtność w zestawieniu z łacińskim światem, brudnowatość w zestawieniu z stuzmysłową i leśną duszą Thoreau. Trzasnąć w łeb srebrną trąbą, rogiem odważnego poszukiwacza skał, źródła i męstwa — Stevensona, przywalić granitowym złodem, wśród którego ruiny, jak cud, w coś wszczepiły korzenie niezapominajki, dzikie głogi polne — Norwida. Cudowne piękno duszy polskiej. Tej duszy, którą dzisiaj zdradza wszystko. Boże mój, Boże mój, pozwól mi pracować, pozwól skupić siły. Daj jeszcze żyć dla Polski.

Z rozkoszą, dumą — bezwzględnością po Stirnerze zawadzić Feuerbacha. Bokiem jeszcze tylko i zawsze śmiertelnie, nie w osobę, ale w zmorę tego narodu-wroga. Carlyle, Emerson, Renan, Newman — cios ostateczny. Potem Kleist — tu mężnie i z dumą. Miecz pochylić. Tarczę pod skrławioną głowę. Nic z Nowaczyńskiego. Głębokiej duszy Niemiec się pokłonić. Skrzyżować miecz przed cieniem Bismarcka. Ukazać widmo w grozie. Wieżę je po szanłach. Na Wawelu je postawić. Tam rzucić wyzwanie żelazną mową. Niech się obudzą. Śmia krytykować Wyspiańskiego — Irzykowski, Herbaczewski et C-ie. Sz. ma pewne zastrzeżenia. T. nie wie, «czy Wyspiański patrzył na świat historycznie». Kańczuga na rozzuchwalone plemie. Na zadomowioną małość duszy polskiej.

Kipling i d'Annunzio. Głęboko można tym korytem wpłynąć w duszę nowoczesną. D'Annunzio — i Włochy. Ukazać próby nowego odrodzenia. Cień Mazziniego. Carducci. — Żelazna dusza Crispi'ego. Boże, daj siły, daj siły.

— Carlyle, Michelet i Renan — krótkie charakterystyki i wywody.

Jerzy Sorel — jako mistrz moralnego życia epoki, jego sumienie.

Poezja Wordsworth'a i nauka moralna Kanta — wykazać powinowactwa i różnice, ugruntować religijne pojęcie poezji.

Wreszcie moje studium o filozoficznym znaczeniu pojęcia Boga, a raczej coś całkiem nieobjętego przez ten tytuł — obronę religijnego życia, atak na optymistycznego filistra, szlachcica i żyda. Jowialskiego i Papkina. Daj się przejechać Panie — a do gruntu po tem tałatajstwie, splukać głupotę i miarki wrzask z polskiego życia. Nie dawać pardonu rozkochanym w sobie skrofułom. Narcyzowatości nóg wykrzywionych przez chorobę angielską nie szczędzić. Walić z ramienia w szpetotę. Bić śmiechem. Tańczyć na pobjowisku. Sprawić stypę. Z czaszki Feldmana pić za zdrowie wiecznie żywej duszy polskiej. Irzykowskiego padlinę na pożywienie chartom, które szczują zajęczo kręte omamienia dzisiejszej kultury niemieckiej.

Z „PAMIĘTNIKA”

STANISŁAWA BRZOWSKIEGO.

## Archiwum polityczne

### Wojna 1939-1945 była drobnym epizodem

Mój artykuł pt. «Katolicyzm a Polska» (Nr. 2-3 «Kultury») zacząłem od stwierdzenia, że w dziedzinie duchowej tylko przewroty religijne uważam za epokowe. Podtrzymuję tę tezę. Do tego dodam, że w dziedzinie materialnej przełomowe znaczenie przypisuję wyłącznie zmianom ludnościowym. Na dłuższą metę hierarchia państw, powstawanie mocarstw i ich upadek, potęga militarna i gospodarcza, ekspansja i kurczenie się, rozkwit i upadek — wszystko to jest funkcją procesów demograficznych. To malthusowe wyznaczenie wiary — jedyną formę materializmu dziejowego, którą byłbym skłonny uznać — przejąłem od mojego starego mistrza Adama Krzyżanowskiego i pozostaję mu wierny.

Francja przodowała na kontynencie dopóki jej ludność dwukrotnie przekraczała liczbę mieszkańców Wielkiej Brytanii czy Włoch, a półtorakrotnie Rzeszy. Niemcy odznaczają się wybitną agresywnością od chwili, gdy stały się najliczniejszym narodem Europy, jeśli nie liczyć półazjatyckiej Rosji. Polska podupadła na skutek wyludnienia, spowodowanego klęskami XVII wieku. Upadek cesarstwa Rzymskiego, później Tureckiego — miał swe prazródło w depopulacji tych imperiów. Epidemia dżumy w latach 1348/9, która zmniejszyła ludność zachodniej Europy o jedną trzecią — zmieniła zasadniczo charakter średniowiecza.

Zabrałem się przeto z fanatyczną ciekawością do studiowania przeglądu międzynarodowego cyfr ruchu ludności, opublikowanego przez UNO za rok 1947. Cyfry te są ułamkowe i wysocze niekompletne. Nie ma oczywiście ani jednej cyferki, dotyczącej Z.S.R.R.: kollaboracja z Moskwą nawet w dziedzinie statystyki jest niemożliwa. Dla Chin podana jest tylko globalna cyfra ludności — 455 milionów — i z dopisku wynika, że jest

wzięta z powietrza. Bardziej szczegółowe cyfry, dotyczące Indyj są podane z zaznaczeniem, że są i niedokładne i niekompletne. Zupełnie pominięte zostały: imperium kolonialne francuskie, angielskie (z wyjątkiem Dominów), holenderskie, portugalskie, Belgijskie Kongo, Abisynia, kraje arabskie (z wyjątkiem Egiptu), Turcja, Iran, Sjam, Afganistan i cała Polinezja. Oczywiście biedne kraje bałtyckie — Litwa, Łotwa i Estonia dla UNO nie istnieją. Jugosławia też widocznie nie nadesłała danych, bo nie ma o niej żadnej wzmianki. Podobnie jest z Albanią. W rezultacie nasze statystyki pokrywają tylko obie Ameryki, Europę bez Rosji i zagrabionych przez nią terytoriów, Dominia brytyjskie i drobne skrawki Afryki (głównie Egipt) i Azji (głównie Japonia). Słowem przeszło połowa ludzkości jest z tego przeglądu wyłączona, w tym trzy kraje istotne dla obrazu demograficznego świata tj. Z.S.R.R., Chiny i Indie.

Ponadto dostępne statystyki są nad wyraz sumaryczne. W jednych krajach obejmują DP'isów, w innych — nie. Podobnież z siłami zbrojnymi, stacjonowanymi poza granicami kraju. Co ważniejsze, nie dla wszystkich krajów uwzględnionych figurują tablice urodzeń i śmierci; i tak na przykład dla Polski ich nie ma, widocznie cyfr warszawskich UNO nie dostało. Oczywiście stopień wiarygodności poszczególnych cyfr znacznie się waha. W toku mych rozważań będę, w miarę możliwości, zaznaczał naruszające się wątpliwości.

Przegląd otwiera szereg tablic, podających coroczny szacunek ogółu ludności dla krajów uwzględnionych. Dla niektórych, jak na przykład Polski, lata wojenne są wykropkowane. Tablice zaczynają się w 1937 r., kończą się w 1946 względnie 1947 roku. Poniżej podaję różnicę netto, zaokrągloną do 100 względnie 50 tysięcy, między ludnością w roku 1937 a 1946/7, a za każdą cyfrą przybliżony procent wzrostu względnie spadku, przy czym za podstawę biorę oczywiście cyfry 1937 roku. Procent jest obliczony z grubsza: chodzi o orientację nie o dokładność. Zaczynam od krajów, których ludność w ubiegłym dziesięcioleciu wzrosła. Dla zilustrowania dalszych wywodów, na czele tej tabelki umieszczam państwa europejskie.

Bułgaria: 800 tys. (13%), Dania: 350 tys. (10%), Finlandia: 200 tys. (5%), Grecja: 400 tys. (6%), Węgry: 300 tys. (3%), Włochy: 2 mil. 200 tys. (5%), Holandia: 1 mil. (11%), Norwegia: 200 tys. (7%), Portugalia: 900 tys. (12%), Hiszpania: 2 mil. (8%), Szwecja: 400 tys. (7%), Szwajcaria: 250 tys. (6%), Zjednoczone Królestwo: 1 mil. (ale należy do tego dodać 1 milion Brytyjczyków w siłach zbrojnych, które są w danych angielskich zupełnie błędnie pominięte, tak więc ogólny przyrost ludności Zjednoczonego Królestwa za ubiegłe dziesięciolecie wyraża się cyfrą 2 milionów czyli 4%). Razem więc przyrost ludności w krajach europejskich, wykazujących zwyżkę, wyraża się cyfrą 11 milionów. Jest to cyfra skromna i jeśli przyj-

miemy przedwojenną ludność Europy (bez Rosji) na 350 milionów, to otrzymalibyśmy wzrost około 3%.

Ale zanim przejdziemy do krajów pozaeuropejskich, musimy uwzględnić kraje europejskie, których ludność bądź pozostawała statyczna, bądź wykazuje niżkę. Wszystkie kraje obu tych kategorii znajdują się w Europie. Poza Europą wszystkie bez wyjątku kraje odznaczają się zwykłą ludnością — i to bez porównania silniejszą niż kraje europejskie.

Bez zmiany pozostała ludność w następujących krajach: Austria, Belgia, Islandia i Irlandia (tj. Wolne Państwo Irlandzkie, północna Irlandia jest włączona do Wielkiej Brytanii). Austria (a także i Węgry) miały w 1946 roku ludność mniejszą niż w czasie wojny (katastrofalne straty w 1945) ale nie mniejszą niż przed wojną. Nadwyżka Irlandii (około 150 tysięcy za ubiegłe dziesięciolecie) w całości wyemigrowała głównie do Wielkiej Brytanii. Co do Austrii warto jeszcze dodać, że do jej ludności zostali dodani DP'isi oraz uciekinierzy niemieccy z Czech i Węgier. Liczba rdzennych Austriaków zapewne zmalała. Ciekawy jest też fakt braku wszelkiej nadwyżki w Belgii, podczas gdy ludność sąsiedniej Holandii wzrosła równocześnie o milion ludzi czyli aż o 11%.

A teraz kraje europejskie, których ludność zmalała w porównaniu z okresem przedwojennym. Oto rozmiary ich strat, a w nawiasach stosunek procentowy wobec przedwojennej ich ludności: Polska: 10 milionów (34 miliony i 24 miliony — 30%), Rumunia: 3 mil. (—16%), Czechosłowacja: 2 mil. 300 tys. (—17%), Niemcy: 2 mil. (—3%), Francja: 1 mil. 500 tys. (—4%). Razem ubytek tych pięciu państw wynosi 18 milionów 800 tys.

Do tych cyfr należy dodać następujący komentarz: straty Polski, a jeszcze bardziej Rumunii, tłumaczą się w znacznej części utratą terytoriów na rzecz Sowietów; straty czeskie są głównie rezultatem wypędzenia 3 milionów Niemców sudeckich oraz utraty Rusi Podkarpackiej (w czasie wojny stopa urodzin w Czechach wzrosła!); straty niemieckie są częściowo mniejsze, częściowo większe niż z cyfry wynika; większe, bo w liczbie ludności Rzeszy włączonych jest około miliona DP'isów; mniejsze, bo w cyfrze 67 milionów obecnych mieszkańców Niemiec, nie są uwzględnieni niemieccy jeńcy wojenni, których dotąd jest około 700 tysięcy we Francji, około pół miliona w Anglii i zapewne około 2 milionów w Rosji; jeżeli wszyscy powrócą — Niemców będzie więcej a nie mniej niż przed wojną, co się tłumaczy bardzo silnym przyrostem naturalnym w Rzeszy w czasie wojny oraz repatriacją mniejszości niemieckich z Europy środkowo-wschodniej, nawet z Rumunii i Węgier; jeden tylko rok 1945 — rok klęski — dał naturalny ubytek ludności niemieckiej (przewyżkę zgonów nad urodzinami); już rok 1946 przyniósł znaczny spadek śmiertelności i poważny wzrost stopy urodzin do 16<sup>1</sup>/<sub>00</sub> w zonie brytyjskiej — i w konsekwencji przyrost naturalny około 4 na tysiąc ludności, czyli

na całe Niemcy około 250 tysięcy dusz. Liczba urodzin w Niemczech nawet dzisiaj przekracza liczbę urodzin we Francji i dorównywa liczbie urodzin w Wielkiej Brytanii. W świetle tych cyfr bajania naszych domorosłych «ekspertów niemieckich» o depopulacji Niemiec, są bezgranicznie naiwne; niestety nie ma o tym mowy: ludność Rzeszy nadal wzrasta, choć mniej gwałtownie niż za Hitlera, silniej jednak niż w latach 1932/3, kiedy Niemcy znajdowały się na dnie kryzysu. Summa summarum Niemcy wyszły w wojny, pod względem ludnościowym, obronną ręką. Znacznie gorzej przedstawia się sytuacja we Francji, która od 1937 roku do 1946 roku miała rok rocznie niedobór ludnościowy; powrócę do tej sprawy przy omawianiu stopy urodzin i śmiertelności.

Tak więc Europa, jako całość (bez Rosji), wykazuje straty ludności netto 8 milionów (w cyfrach okrągłych). Do tej sumy należy dodać straty jugosłowiańskie (niewątpliwie, ale nie podane, przyjmijmy je na pół miliona), oraz ludność trzech państw bałtyckich, które przechodząc pod jarzmo sowieckie przestały dla Europy istnieć: tę ostatnią przyjmijmy na 6 i pół miliona. Tak więc ogólną stratę ludności Europy należy przyjąć na netto 15 milionów. Dwie trzecie tych strat przypada na zabory rosyjskie. Gdyby Rosję utrzymano w jej granicach przedwojennych, to cała strata ludności Europy wyniosłaby netto może niespełna 5 milionów. Jak na sześćdziesięcioletnią wojnę i hekatombę ofiar — jest to niesłychanie mało — zaledwie półtora procent przedwojennej ludności Europy. Stratę tę można by odrobić w ciągu dwóch, trzech lat. Nawet obecne, znacznie większe straty, wywołane zaborczością sowiecką, Europa nadrobi w niespełna 10 lat, o ile obecna stopa rozrodczości się utrzyma.

Atoli osłabienie demograficzne Europy występuje wyraźnie, a nawet jaskrawo, w zestawieniu ze światem pozaeuropejskim. Kraje objęte zestawieniem wykazują za ubiegłe dziesięciolecie wzrost o 68 milionów «dusz», to znaczy, ich zyski nie tylko wyrównują wszystkie straty Europy, ale jeszcze dają nadwyżkę 53 milionów. Jeżeli do tego dodamy nadwyżki krajów nieuwzględnionych, a więc Chin, Indyj, świata arabskiego, czarnego i niestety, zapewne również i Z.S.R.R. (choć w tym wypadku zachodzi możliwość, że pomimo zaborów ludność Sowietów pozostała mniej więcej statyczna na skutek strat wojennych, a zwłaszcza wzrostu śmiertelności ludności cywilnej) to możemy z całą pewnością przyjąć, że ludność świata pomiędzy rokiem 1937 a 1947 wzrosła o co najmniej 100 milionów, a zapewne i więcej. Przyjmując ludność globu na 2 miliardy, stanowiłoby to wzrost o 5% lub więcej. Zgadzałoby się to z oceną Międzynarodowego Biura Zycności, które dowodzi, że obecne braki i trudności aprowizacyjne są w dużej mierze spowodowane wzrostem ludności świata o 5 do 10 procent.

Tak więc podstawowa cecha czasów współczesnych — od roku 1700-go mniej więcej — to jest stały, nieprzerwany, znaczny

wzrost ludności — utrzymuje się nadal; druga wojna światowa, podobnie jak pierwsza, nic w tym nie zmieniła.

W liczbach bezwzględnych największy był przyrost ludności w Stanach Zjednoczonych — 15 milionów, choć procentowo należał do najmniejszych: 11%; pod tym względem w tyle za Stanami pozostają tylko: Kanada, Nowa Zelandia, Urugwaj i Honduras, — około 10%. We wszystkich innych krajach, statystyką objętych, procent wzrostu był znacznie silniejszy. Najwyższy był w Alasce i na Hawajach — około 75—80% — czyli ludność tych dwóch wysuniętych baz w ciągu dziesięciolecia prawie się podwoiła. Ten wzrost oczywiście tłumaczy się wyłączeniem wzmocnieniem garnizonów, demograficznie jest obojętny. Jeśli pominąć te dwa skrajne wypadki, to najwyższy wzrost wykazuje Palestyna, której ludność wzrosła z miliona 400 tysięcy do miliona 900 tysięcy, czyli o pół miliona, tj. aż o 35%. Ten zdumiewający wzrost wywołany jest zarówno żydowską reemigracją, jak i fantastyczną rozrodczością, najwyższą na świecie, wyższą niż w Japonii i Meksyku, wyrażającą się stopą 44 na tysiąc w roku 1946, a dochodzącą do niewiarygodnej stopy 54 na tysiąc w letnim kwartale 1947, podczas gdy w Polsce, w latach 1935-8, stopa ta wynosiła tylko 26‰, a i to było przedmiotem podziwu i zazdrości wszystkich badaczy problemów demograficznych. Widocznie Żydzi i Arabowie zainicjowali nie tylko wyścig zbrojeń ale i urodzin.

Najwyższy przyrost ludności wykazuje Ameryka Łacińska zarówno południowa jak i środkowa. Przeciętą dla tych obu subkontynentów przekracza 20%, dla Argentyny, Wenezueli, Paragwaju, Dominiki i Salvadora przekracza 25%, czyli jedną czwartą ludności w 1937 roku. Tylko w drobnej mierze ten wzrost można przypisać imigracji — podstawą jego jest silny przyrost naturalny. Kanada jest nawet krajem silnej emigracji do Stanów. Z krajów pozaamerykańskich bardzo silny wzrost zaznacza się w Egipcie, Filipinach i Ceylonie, natomiast nieco osłabł w Japonii, której ludność wzrosła tylko o 7 milionów, tj. około 10% (co oczywiście nie znaczy, by nawet ten wzrost nie ukrywał w sobie zarodków najpoważniejszych niebezpieczeństw). Słowem świat się coraz bardziej zapełnia, «miejsca» jest coraz mniej, rasy kolorowe łącznie z Indianami Południowej Ameryki i Murzynami Indii Zachodnich rozradzają się znacznie szybciej niż biali, a — poza Europą — na szarym końcu rozrodczości, znajdują się nadal dominia brytyjskie.

Dla obrazu demograficznego bezwzględne i względne cyfry przyrostu za ubiegłą dekadę są znacznie mniej ważne od stopy urodzin, śmierci i przyrostu naturalnego, które razem wyznaczają tzw. ruch ludności. One bowiem decydują o tym jaki będzie stan ludności za lat 30, a nawet 50.

Dla zrozumienia cyfr, cytowanych poniżej, należy pamiętać, że dla utrzymania gatunku przyjmuje się, że potrzebna jest stopa urodzin 20‰; przy stopie niższej aczkolwiek może istnieć

przyrost naturalny skutkiem spadku stopy śmiertelności, czyli przedłużania się życia ludzkiego, zachodzi niebezpieczeństwo, że liczba kobiet, będących w stanie rodzić, za lat 20 będzie mniejsza od odnośnej liczby w czasie obecnym; jeżeli każda z tych kobiet nie będzie miała więcej dzieci — nastąpi spadek ludności. Przyrost naturalny oblicza się, rzecz jasna, przez odejmowanie liczby, względnie stopy, zgonów od liczby, względnie stopy, urodzin. Wszystkie stopy oblicza się w stosunku do tysiąca ludności (promille).

Najbardziej uderzającą cechą ruchu ludności w Europie i anglosaskich krajach zamorskich jest bez mała nieprzerwany i wcale znaczny wzrost stopy urodzin. Wzrost ten jest tak nieoczekiwany i tak sprzeczny z całym «trend'em» ruchu urodzin w latach 1920-31, okresie stałego i gwałtownego spadku, że można mówić bez mała o rewolucji, tym dziwniejszej, że zupełnie niewytłumaczalnej.

Przed wojną cała północno-zachodnia Europa oraz Stany Zjednoczone i dominia angielskie pędziły w zawrotnym tempie, w ślad za Francją (która pierwsza pokazała drogę), po linii samobójstwa rasy; stopa urodzin spadła poniżej 20‰ (a w kilku wypadkach nawet poniżej katastrofalnego poziomu 15‰), w Anglii, Francji, Irlandii (!), Holandii, Belgii, krajach skandynawskich, Estonii, Finlandii, Szwajcarii, Austrii, Czechosłowacji, Niemczech, Stanach Zjednoczonych i dominacjach angielskich. W Europie — poza Rosją — wysoką stopę urodzin miały tylko: Polska, Litwa, Rumunia, Węgry, Jugosławia, Bułgaria, Włochy, Hiszpania i Portugalia, chociaż i w tych krajach stale malała, aczkolwiek znacznie wolniej niż na Zachodzie. Proces ten został zatrzymany tylko w Niemczech przez Hitlera; olbrzymimi zapomogami dla młodych małżeństw i propagandą zdołał on zwiększyć stopę urodzin z 13% (jedną z najniższych na świecie) do 19‰ w 1938 roku i, o dziwo, jeszcze wyżej aż do roku 1943, w którym to roku zaczął się gwałtowny spadek. Ówczesny sukces Hitlera — wyścigu kolysek — uważano za cud. Tymczasem «cud» ten nastąpił w całej bez mała Europie i zamorskich krajach anglosaskich. Nastąpił w krajach neutralnych i nawet wojujących; nastąpił bez żadnej akcji rządowej, bez żadnego planu; nastąpił w najgorszych warunkach, bo w czasie wojny, nalotów itd. Oto cyfry: W Austrii z 12,8‰ w 1937 stopa urodzin wzrosła aż do 21,8 w pierwszych latach wojny (Anschluss więc dał ludności nowe nadzieje), spadła gwałtownie do 14,5 w 1945 roku (inwazja, bombardowania), w roku 1946 już wzrosła do 15,9 i w 1947 dalej wzrasta, pomimo okupacji, ruiny, głodu, w każdym razie jest wyższa o 3 punkty niż w 1937 r. W Belgii z 15,4 w 1937 stopa ta spadła aż do 12,2 w r. 1941 (skutki inwazji), potem stale wzrastała, w 1946 r. już doszła do 18,1 (wzrost o 3 punkty, 25% w porównaniu ze stanem przedwojennym). W Bułgarii stopa urodzin utrzymuje się na ogół bez zmian przez całą wojnę, na poziomie około 25‰. W

Czechosłowacji widzimy nieprzerwany wzrost przez cały okres Monachium, protektoratu, wojny z 16,2<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w 1937 r. do 21,9<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w 1946 i dalszy wzrost trwał. Już tam Czechom nie najgorzej powodziło się pod butem niemieckim.

Wszystkie państwa skandynawskie wykazują poważny wzrost stopy urodzeń: Dania z 18<sup>0</sup>/<sub>00</sub> do 23,4<sup>0</sup>/<sub>00</sub> (też pod Niemcami żyło się jej bardzo dobrze), w Norwegii wzrost jest jeszcze większy, z 15<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w 1937 do 22,5 w 1946 r., w Szwecji z 14,4<sup>0</sup>/<sub>00</sub> do 19,6<sup>0</sup>/<sub>00</sub>. Również Szwajcaria wykazuje stały wzrost z 14,9<sup>0</sup>/<sub>00</sub> do 20<sup>0</sup>/<sub>00</sub>. Inny jest trochę przebieg wypadków w Finlandii: tam przedwojenna stopa 19,9<sup>0</sup>/<sub>00</sub> spada do 16,5<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w r. 1942 (wojna z Rosją), ale już w 1946 wzrasta aż do 27<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, a w r. 1947 rośnie dalej czyli wzrost w stosunku do szczęśliwych lat przedwojennych wynosi 50%. W katolickiej Irlandii wzrost jest znacznie mniejszy niż w protestanckiej Skandynawii — z 19,2<sup>0</sup>/<sub>00</sub> do 22,9<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, za to dalszy wzrost jest w toku. W neutralnej Portugalii stopa urodzin powoli spada z 26,7 przed wojną do 24,7 po wojnie. W Hiszpanii i Włoszech cyfry dla 1937 i 1946 są prawie bez zmiany — około 22<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, przy czym w obu tych krajach wyraźny był spadek w najgorszym roku wojny — 1939 w Hiszpanii, 1945 we Włoszech. Zdumiewający jest przebieg wydarzeń w Holandii z 19,8<sup>0</sup>/<sub>00</sub> przed wojną stopa urodzin wzrastała przez całą wojnę aż w roku 1946 doszła do niesłychanego poziomu 30,2<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, tj. znacznie wyższego niż w Polsce przedwojennej. W dwu krajach tylko stopa urodzin spadła poważnie, tj. na Węgrzech i w Rumunii; na Węgrzech z 20,2 przed wojną do 17<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w 1946 r., bez mała więc do połowy stopy holenderskiej; w Rumunii 30,8 do 23,8 po przejściowym spadku aż do 19,6 w roku inwazji bolszewickiej. Smutny wyjątek, jaki stanowią te dwa kraje o strukturze ludnościowej wielce podobnej do naszej, każą mi bardzo sceptycznie zapatrywać się na przechwałki warszawskie o niesłychanym przyroście ludności w Polsce (dla której wiarygodnych statystyk ruchu ludności nie ma); z przykładu Węgier i Rumunii widać jak ciężka jest okupacja rosyjska i jak wypada ten najmniej fałszowany plebiscyt, którym jest płodzenie dzieci przez społeczeństwo.

Wysoce dramatyczny był przebieg wypadków we Francji. Niezwykle już niska stopa rozrodczości w r. 1937 — 15<sup>0</sup>/<sub>00</sub> — spadała dalej, aż w r. 1941, roku następnym po klęsce (oczywiście wszystkie katastrofy odbijają się na stopie urodzin z opóźnieniem 9 miesięcy) doszła do «dna»: 13,3<sup>0</sup>/<sub>00</sub> (niższą jednak jeszcze stopę urodzin miała Belgia w tymże 1941 r. oraz Austria przed wojną). Ale — i to jest zdumiewające — od tego roku stopa urodzeń we Francji zaczęła stale rosnąć, pomimo wojny, okupacji, nalotów, inwazji, bardzo powoli wprawdzie ale stale; gwałtowny skok nastąpił w 1946 roku do 20,6<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, a częściowe cyfry za rok 1947 wskazują na prawdopodobieństwo jeszcze wyższej stopy za rok ubiegły. Tak więc wyglądałoby, że nawet polityka propopulacyjna, zapoczątkowana przez Vichy,

miała pewne skutki i to samo trzeba by powiedzieć o polityce M.R.P.'owskich ministrów resortu ludności. Mimo tego wzrostu urodzin Francja miała w latach 1937-45 nieprzerwany niedobór, dochodzący w najgorszych latach do 5<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, czyli pół procent ludności, a więc około 200 tysięcy rocznie, zaś cały ubytek tego katastrofalnego okresu przekroczył milion. Dopiero w r. 1946 Francja uzyskała drobną nadwyżkę — 7<sup>0</sup>/<sub>00</sub> czyli około 300 tysięcy; za rok 1947 ludność Francji powinna wzrosnąć o liczbę dość podobną. Istota problemu tkwi w tym, czy obecna rozrodczość jest wyjątkowa, spowodowana zakończeniem wojny i połączeniem rodzin, czy też stanowić będzie początek nowego okresu. Tylko w tym drugim wypadku można by mówić o przyszłości bez najgłębszej troski. Dla zamorskich posiadłości Francji UNO danych nie ogłosiło.

W Wielkiej Brytanii natomiast stopa urodzin stale i stopniowo wzrastała z 15,3 przed wojną do 20,2 w r. 1946, czyli mniej więcej tak samo jak we Francji, z tym że rok 1941 nie przyniósł dramatycznej zniżki. Prowizoryczne dane za rok 1947 wskazują na dalszą wyżkę mniej więcej do poziomu 22 promille, czyli najwyższego od 1920 r.; atoli dane za pierwsze tygodnie 1948 wskazują na spadek liczby urodzin, wprawdzie łagodny, ale mniej więcej do poziomu 1945 r. Jak dotąd jednak zarówno w Anglii, jak we Francji, wygląda na to, że raczej stopa około 20 się utrzyma niż przedwojenna stopa 15 — miałyby powrócić. Ale tylko cyfry mogą dać definitywną odpowiedź jaka będzie przyszłość demograficzna obu mocarstw zachodnich.

Krajem pozaeuropejskim mogę poświęcić tylko kilka słów. Najwyższą rozrodczość ma, jak już zaznaczyłem, Palestyna. Niestety źródła nie podają jaka jest rozrodczość Żydów, a jaka Arabów. W Japonii natomiast nastąpił nareszcie spadek z 30,6<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w 1937 r. do 23,3<sup>0</sup>/<sub>00</sub> w 1945, lecz już w 1946 stopa urodzin wzrosła do 25,3<sup>0</sup>/<sub>00</sub>, a w 1947 zaznaczył się dalszy niepokojący wzrost.

Wszystkie pięć zamorskich krajów anglosaskich — Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, Nowa Zelandia i biali Południowej Afryki — miały przed wojną stopę rozrodczości poniżej 20 — skandaliczną, jeżeli zważyć, że były to najbogatsze kraje świata z największymi perspektywami na przyszłość. We wszystkich liczbą urodzin przez całą wojnę nieprzerwanie wzrastała, aż stopa rozrodczości doszła w r. 1946 do 23 w Australii, 23,3 w Stanach Zjednoczonych, 25,2 w Nowej Zelandii, 26,5 w Kanadzie i 27,7 dla białych w Południowej Afryce. Tak więc wszystkie te kraje mają dzisiaj stopę urodzin znacznie wyższą niż Francji i Anglia — co jest naturalne i niższą niż Holandia — co jest dziwne. Ogólnie jednak ich pozycja demograficzna jest doskonała. Prowizoryczne dane za r. 1947 wskazują na prawdopodobieństwo dalszego, bardzo silnego, wzrostu w Stanach Zjednoczonych — być może do rekordowego poziomu 25<sup>0</sup>/<sub>00</sub>.



Stopa śmiertelności jest znacznie mniej interesująca od stopy urodzin, albowiem odkąd epidemie zostały opanowane przyrost ludności zależy niemal wyłącznie od liczby urodzin. W ciągu ubiegłego dziesięciolecia śmiertelność wahała się stosunkowo mało i ogólnie biorąc miała raczej tendencję spadkową. Raz jeszcze potwierdziła się lekcja pierwszej wojny światowej, że straty w polu nie zmieniają zasadniczego obrazu demograficznego. We wszystkich krajach pozaeuropejskich zaznaczył się spadek śmiertelności, w Stanach Zjednoczonych na przykład z 11,3 do 10,1‰, przy czym w r. 1947 osiągnięto cyfry jeszcze niższe. Najniższą stopę śmiertelności, czyli największą długowieczność ma dzisiaj rasa biała Południowej Afryki, 8,8‰, czyli średnia ekspektatywa życia przekracza 100 lat.

W Europie kraje neutralne uzyskały poważny spadek, najsilniejszy w Hiszpanii, z 18,9 w roku zakończenia wojny domowej, do 12,1 w roku 1946. Wzrost wykazuje jedyna Rumunia z 19,3 w 1937 do 20 w 1946 r., poza tym minimalny (o ułamek promille) Austria i Belgia.

W czasie wojny wzrost zgonów w związku z działaniami wojennymi, wykazały: Francja (19,2 w 1940, 19,8 w 1944 — inwazja, bombardowania), Belgia (16,2 w 1940 — inwazja), Finlandia (19,8 w 1940 i 1941 — wojna z Rosją). Klęska i załamanie w 1945 roku odbiły się silnie na śmiertelności kilku krajów najsilniej w Japonii (29,9 w 1945 r. — bomba atomowa), następnie w Austrii (24,8. — zdobycie Wiednia), oraz Niemiec (bodaj, że jeszcze wyższa, ale dokładnych danych brak). Drobną zwykłą śmiercią przyniósł tenże rok przełomowy we Włoszech, Czechosłowacji i Holandii, gdzie toczyły się walki. Rok 1946 przyniósł wszędzie poprawę śmiertelności, co dowodzi, że opowiadania o głodzie i niedożywieniu są wszędzie przesadzane.

Jak wiadomo śmiertelność dzieci do 1-go roku życia ma decydujący wpływ na stopę zgonów. W ciągu lat wojennych stopa ta uległa znacznej niższej: rekord dzisiaj trzyma Szwecja, tylko 26 zgonów na 1000. Śmiertelność dzieci w r. 1946 w porównaniu z okresem przedwojennym, wzrosła tylko w dwóch krajach, tj. we Francji (do 73 na 1000) i w Niemczech (108 na 1000). Ale poprawa zaznaczyła się wyraźnie już w ciągu 1946 roku, tak że tę zwykłą należy uznać za czysto przejściową. Postępy higieny i medycyny wszędzie powodują silny spadek zgonów, szczególnie niemowląt, — może największe postępy zanotowano pod tym względem w Południowej Ameryce. Proces ten będzie trwał dalej, tym samym poprawiając perspektywę wzrostu ludności.

Jakież więc wnioski się nasuwają na najbliższą przyszłość, zakładając, że stopa urodzin za rok 1946 utrzyma się przez szereg lat, zaś stopa śmiertelności będzie się nadal poprawiać wskutek postępów medycyny i higieny (pierwsze założenie jest hipotetyczne, drugie pewne).

W tym wypadku anglosaskie kraje zamorskie będą miały roczny przyrost naturalny około 15‰ (półtora procent) czyli wyższy niż polski przedwojenny, który się wahał około cyfry 10‰ (1 procent) rocznie. Francja i Anglia będą miały przyrost z lekka przewyższający pół procent czyli dostateczny dla salwowania przyszłości, choć we Francji niedostateczny dla wyrównania strat wojennych w należycie krótkim czasie. Sytuacja krajów skandynawskich ulegnie radykalnej zmianie. Niderlandy będą najbardziej rozradzającym się ludem Europy — będą miały nadwyżkę aż 2% rocznie. Groźnie wyglądają tylko perspektywy w Austrii i na Węgrzech oraz w Rumunii (przyrost poniżej 3‰ rocznie). A wszystkie te trzy kraje znajdują się w strefie sowietycznej.

W innym sensie niepokojąca jest sytuacja w Niemczech i Japonii. Znaczne zmniejszenie ludności tych dwóch krajów jest nieodzowne w interesie pokoju. Tymczasem w trzech strefach zachodniej Rzeszy (o sowieckiej nie ma żadnych danych) Niemcy się mnożą i poza jednym jedynym rokiem 1945 mają rok roczny przyrost naturalny, który już w r. 1946 musiał wynieść około 300 tysięcy, a w r. 1947 więcej. Jest to ołowiana chmura na horyzoncie europejskim.

Podobnie rzeczy się mają w Japonii jeden tylko rok 1945 dał nadwyżkę zgonów nad urodzinami. Już jednak rok 1946 przyniósł nadwyżkę 8‰, a rok zeszedł znacznie większą — może aż 12‰. Innymi słowy wygląda na to, że ludność Japonii będzie nadal rosła o milion rocznie. Oznacza to konieczność jakiegoś nowego wybuchu w niedalekiej przyszłości. Na wyspach japońskich 78 milionów ludzi wyżyć w żadnym wypadku nie może.

Wnioski z tego przeglądu są oczywiście i bardzo smutne.

Gdyby jakiś historyk w roku 5000 miał odtworzyć przeszłość tylko na podstawie statystyk demograficznych, doszedłby zapewne do wniosku, że żadnej wojny światowej nie było: była tylko jakaś wojenka środkowo europejska, w której brały udział Niemcy, Francja, Polska, Belgia, Austria, Węgry, Rumunia i Czechosłowacja. Wojnę tę — tak musiałby rozumować — przegrała przede wszystkim z kretesem Polska, następnie Rumunia, Czechosłowacja i Węgry. Silne bardzo cięgi otrzymały Francja, Austria i Belgia, Niemcy wyszły obronną ręką. Inne kraje w tym widowisku udziału nie brały. W Japonii musiało nastąpić w 1945 roku jakieś wyjątkowe trzęsienie ziemi, po którym kraj wrócił szybko do normy.

Ten sam historyk nie umiałby zapewne wytłumaczyć zdumiewającej poprawy stopy urodzin w krajach bogatych, przeważnie protestanckich, ze Skandynawami i Anglosasami na czele, która nastąpiła w latach 1939-46. Pozostaje ona zagadką. Wszak wszyscy demografowie przepowiadali dalszy spadek urodzin; Kobiety, obecnie rodzące, same urodziły się bądź w okresie

wojny 1914-18, tj. wolno było oczekiwać, że ich witalność będzie osłabiona, bądź też po roku 1918, a więc w latach malejącej rozrodczości, czyli ich liczba jest mniejsza niż w pokoleniu ich matek, które są odpowiedzialne za wielki strajk kołysek lat 1920-39. Co się więc stało? Nikt w czasie wojny propagandy za rozrodczością nie uprawiał. Rodziny były rozdzielone. Padały bomby, przyszłość była nie pewna. Co skłoniło skąpych Francuzów, ostrożnych Anglików, chłodnych Skandynawów, szwajcarskich dusigroszów do płodzenia dzieci?

Zdaję sobie sprawę, że odpowiedź na to pytanie wymaga drobiazgowej analizy, cyfr dużo kompletniejszych, studiów całych batalionów wytrawnych badaczy. Osobiście skłaniam się do następującej tezy: 1) Współczesne, uprzemysłowione społeczeństwa obawiają się bezrobocia bardziej niż wojny: wybuch wojny zażegnał bezrobocie, które było zmorą robotnika przez lat dwadzieścia; 2) wojna wywołała wszędzie znacznie bardziej egalitarny podział dochodu społecznego, na którym stracili kapitaliści i inteligencja, zyskali robotnicy — i robotnicy użyli swych ekstradochodów by mieć więcej dzieci; 3) działać mogły wreszcie jeszcze inne pobudki psychologiczne, jak patriotyzm, poczucie braku siły roboczej, a zatem brak obaw o losy potomstwa, wreszcie pobudki religijne. Są bowiem poważne dane, że w krajach o wyznaniach mieszanych, pół na pół, a więc przede wszystkim w Holandii i Kanadzie, rozrodczość katolików jest o 50% wyższa niż ich protestanckich współziomków. Podobnie ma wyglądać sytuacja w Stanach Zjednoczonych, gdzie anglosascy autochtoni wymierają.

Podstawowy wniosek jest następujący: ludzkość może sobie na wielkie światowe wojny pozwalać. Najsilniejszym hamulcem przed nowymi wojnami byłaby świadomość, że wykrwawienie wojenne podcina biologiczne podstawy narodu, jest więc nawet w wypadku zwycięstwa samobójstwem rasy. Ta świadomość istniała we Francji po 1918 r. i musi tam istnieć dziś znowu, nawet jeszcze silniej. Powinna ona istnieć i w Polsce, chyba że fenomenalna rozrodczość pozwoli nam nawet nasze olbrzymie straty lekceważyć. Tego rodzaju myśli mogą się błąkać w Austrii, Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii. Ale już Niemcy mogą się z nich śmiać. Demograficznie mogą sobie na trzecią wojnę śmiało pozwolić. Jakaż różnica z wojną trzydziestoletnią, która ludność Rzeszy zmniejszyła o połowę (notabene czyniąc Niemców słodziutkami na okres całego stulecia, do wstąpienia Fryderyka II na tron), a już o świecie pozaeuropejskim szkoda gadać. Ludnościowo jest on zdolniejszy do wojny niż kiedykolwiek przedtem.

Dlatego ten artykuł zatytułowałem «Wojna 1939-45 — była drobnym epizodem». Dlatego też, po zbadaniu statystyki ludnościowej, jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że III wojna światowa jest absolutnie nieunikniona i że nic nie

stoi na przeszkodzie, by miała wybuchnąć w niedalekiej przyszłości. Logika wymaga też by była ona nieskończenie bardziej mordercza i by jej zasięg był znacznie większy: pod tym czy innym pretekstem biały człowiek bowiem, który ze swej supremacji dobrowolnie nie zrezygnuje, wciągnie w nią ludy kolorowe, przede wszystkim azjatyckie. Nikt dzisiaj jednak nie jest w stanie przewidzieć ani rozmiarów strat, ani ruchu ludności po tej trzeciej, na pewno dużo gorszej masakrze.

W. A. ZBYSZEWSKI.

*Od następnego numeru Redakcja „Kultury” wprowadza stały dział bibliograficzny pod redakcją p. Jana Bielatowicza. Dział ten ma na celu rejestrowanie wydawnictw polskich i poloników na emigracji. Autorzy i Domy Wydawnicze proszeni są o nadsyłanie do Redakcji swoich wydawnictw, o ile możliwości — w dwóch egzemplarzach.*

# Sprawy i troski

## Polacy w Palestynie

Zabójstwo Dwiduka (błędnie potraktowanego przez część prasy żydowskiej za Polaka, był to bowiem Ukraińiec, szpieg niemiecki w pierwszym okresie wojny, aresztowany przez polskie władze wojskowe w Palestynie i z inicjatywy tych władz osadzony w jednym z obozów koncentracyjnych), oraz zatrzymanie i badanie kilku Polaków przez organizacje żydowskie, nie były wypadkami odosobnionymi, bowiem w drugiej połowie stycznia i w pierwszej połowie lutego br. fakty tego rodzaju stały się znacznie liczniejsze. W Tel-Awivie, a właściwie przy przechodzeniu z Jaffy do Tel-Awivu, zabito 3 Polaków, z których Narkiewicz został dosłownie podziurawiony 18 kulami. Znane są wypadki ciężkiego pobicia Polaków przez Żydów zarówno w Tel-Awivie, jak i w Jerozolimie. W Jerozolimie praktycznie każdy Polak, mieszkający, lub przychodzący do dzielnicy żydowskiej, zostaje zatrzymywany i badany przez organizacje żydowskie. Takie przesłuchanie trwa nieraz po kilka godzin i prowadzone jest albo w sposób grzeczny i kulturalny, z częstowaniem papierosami i herbatą, a czasem pod groźbą rewolwerów i brutalnie, nie wyłączając bicia po twarzy i zadawania cięższych uszkodzeń cieleśnych. Przesłuchaniu, trwającemu 4 godziny, połączoneму z dokładną rewizją, był poddany nawet kaleka, chodzący o kulach. W większości wypadków brane jest od badanych zobowiązanie, iż zachowają oni w całkowitej tajemnicy fakt, sposób i treść badania, stąd ustalenie liczby zatrzymanych jest trudne. Polacy podzieleni są przez czynniki żydowskie na trzy grupy: na winnych przeciwżydowskiej działalności, i przez to poszukiwanych, na podejrzanych i na bez zarzutów, którzy jednak są stale obserwowani. Organizacja posiada kartoteki oraz fotografie. Rezultat — Polacy, mieszkający w dzielnicach arabskich, a takich jest znaczna większość, przestali chodzić do dzielnic żydowskich.

Uprowadzony w styczniu kaleka Grabowski, nie został wypuszczony, ani też nie znaleziono jego ciała.

W lutym terroryści napadli na biuro ekspozytury delegatury w Tel-Awiv, gdzie zrabowali 800 funtów gotówką, oraz czeki.

O ile stosunek Żydów do Polaków wyraźnie pogorszył się, o tyle Arabowie stali się bardziej tolerancyjni i mniej nieufnie nastawieni niż to miało miejsce w grudniu 1947 r. Jest to wynikiem ostrzejszego ustosunkowania się Żydów względem Polaków.

Na pogorszenie się stosunku Żydów wpłynęły m. in. następujące fakty:

1. Częste wzmianki w prasie żydowskiej o współpracy Polaków z Arabami, o szkoleniu przez nich bojówek arabskich i zaciąganiu się do legionu arabskiego.

2. Opublikowanie wezwania, skierowanego do Związku Weteranów b. Międzynarodowej Brygady z hiszpańskiej wojny domowej, przez sekcję żydowską związku, w którym uprzedza ona elementy demokratyczne wszystkich krajów o istnieniu spisku, dążącego do rozlewu krwi w Palestynie, organizowanego przez byłych nazistowskich SS i byłych żołnierzy armii gen. Andersa.

3. W dn. 1. II. został wysadzony w powietrze gmach, mieszczący drukarnię Jerusaleem Press, redakcję największego dziennika palestyńskiego Palestine Post, Hamashkif i in. Był to największy i najdotkliwszy z zamachów antyżydowskich. Od razu rozszerzyła się pogłoska iż w zamachu tym wzięli udział czynni Polacy — albo do spółki z Anglikami, albo zapłaćeni przez Arabów.

Interesującym jest fakt, iż nie ma prawie dnia, aby w prasie nie było ogłoszeń o zagubieniu paszportów polskich, wystawionych jeszcze przed rokiem 1945, np. w dn. 6. II. Palestine Post podaje ogłoszenia o sześciu zgubionych paszportach. Nazwiska wyłącznie żydowskie (np. Izrael Rozenek, Henoch Goldkranz, Chaskiel Szydowski, Mendel Rozendlich, Benzion Landau, Kagan itd). Ponieważ w wielu wypadkach przy wyjeździe potrzebny jest paszport rządu warszawskiego, więc w ten sposób osoby te mogą dostać paszport warszawski, zachowując dotychczasowy — na wszelki wypadek.

Luty przyniósł od dawna zapowiadaną, ogólną ewakuację Polaków z Palestyny. W dniu 15 b. m. odszedł transport 471 osób do francuskiej strefy Niemiec i do Polski. W końcu miesiąca ma wyruszyć w tym samym kierunku transport uchodźców polskich, Żydów, a nadto około 200 Polaków chrześcijan wyjedzie do Libanu.

Oprócz tych trzech transportów organizowanych przez IRO, w dniu 16 lutego wyjechało z Palestyny do W. Brytanii około

40 osób, a jeszcze w tym miesiącu spodziewany jest dodatkowy, ostatni transport do Anglii.

W ten sposób uchodźstwo polskie w Palestynie zostanie prawdopodobnie zlikwidowane. Zależy to jeszcze od tego, czy dopisze w preliminowanych rozmiarach ewakuacja do Libanu i ilu Żydów skorzysta z transportu IRO.

Poniżej zobrazujemy fakty, które poprzedziły okres gorącego rozładowywania uchodźstwa na tym terenie w związku z wypadkami politycznymi.

W końcu ubiegłego roku IRO wezwała wszystkich uchodźców polskich do indywidualnego wypowiedzenia się, co zamierzają robić: pozostać w Palestynie, wyjechać do Anglii, czy też udać się do miejsca tymczasowego przesiedlenia, wyznaczonego przez IRO. Tylko w tym ostatnim wypadku — zastrzegając się ta instytucja — uchodźca będzie mógł liczyć na dalszą opiekę IRO. Pozostanie w Palestynie będzie uważane za wybór miejsca stałego osiedlenia, zwalniający IRO od obowiązku zajmowania się uchodźcą.

Większość Polaków, nie tylko tych, którzy liczyli na wyjazd do Anglii lub wahali się czy nie pozostać w Palestynie — zgłosiła na wszelką ewentualność swoją decyzję korzystania nadal z opieki IRO i z ewakuacji, którą ta organizacja przeprowadzi.

Rozwój wypadków w Palestynie przekreślił przede wszystkim możliwość pozostania w tym kraju tych, którzy mieli nadzieję utrzymać się tu na jakiejś posiadzie, założyć sklep czy inny warsztat pracy. IRO obiecywała nawet chcącym tu pozostać pomoc w uzyskaniu stałego prawa pobytu.

Należy dodać, że sporo Polaków znalazło pracę w instytucjach brytyjskich i dopóki ewakuacja Brytyjczyków z Palestyny nie stała się faktem niewątpliwym (przez dłuższy czas nie wierzono w nią, mimo solennych zapewnień władz) — pozostawała nadzieja, że «jakoś to się wszystko ułoży» i będzie można zapuścić tu korzenie.

Około 60 Polaków było całkowicie zdecydowanych na pozostanie i zaopatrzyło się w certyfikaty, będące podstawą uzyskania w przyszłości obywatelstwa palestyńskiego. Wśród nich znajdowali się byli wojskowi, którzy uzyskali prawo stałego pobytu na tej podstawie, że zmobilizowani byli swego czasu na terenie Palestyny. Oczywiście wyłączeni oni są spod opieki IRO, a jak się później okazało, stracili bezpowrotnie prawo wyjazdu do W. Brytanii w ramach ewakuacji wojskowej.

Wiele osób, które złożyły podania o wciągnięcie ich na tzw. «listę współczucia» (Compassion List), dającą prawo wyjazdu do Anglii 500 osobom nieuprawnionym do tego z tytułu służby pod dowództwem brytyjskim — otrzymało odpowiedzi odmowne z powodu wyczerpania tego kontyngentu.

Tymczasem sytuacja w Palestynie stawała się z dnia na dzień przykrzejsza dla Polaków i ewakuacja przygotowywana przez IRO nabrała cech jedynej korzystnej możliwości. IRO, jak się

wydaje, skwapliwie wykorzystano ten moment zagrożenia, by zabrać Polaków do obozów, co w normalnej sytuacji byłoby trudne do przeprowadzenia i napotykałoby na opór ze strony uchodźców.

Perspektywy tej ewakuacji rysowały się zagadkowo. Najmniej zachęcająca, ale początkowo najbardziej realna była możliwość wywiezienia uchodźców do obozu El-Shat w Egipcie, znanego Polakom jako miejsce, w którym stale byli zatrzymywani uchodźcy w drodze do Polski, przed zakrętowaniem; jest to obóz urządzony bardzo prymitywnie. Poza tym wymieniano Cyrenaikę, Afrykę Wschodnią, Włochy, a jako najbardziej zachęcające — Liban i Cypr. Nie wszystkie z tych miejsc figurowały rzeczywiście w planach IRO: niektóre, jak Cypr, były — zdaje się — tylko obiektami pobożnych życzeń. Co do Libanu, to ten rzeczywiście był brany pod uwagę, ale mało prawdopodobny z tego względu, że IRO nie kwapiła się płacić zasiłków w tej wysokości, jaka przyjęta była w Libanie, kalkulując o wiele niższe koszty utrzymania w którymś ze swoich obozów.

Nie mówiło się początkowo nic o jeszcze jednej możliwości — ewakuacji do Niemiec, aczkolwiek na pytanie przedstawiciela uchodźców na jednej z konferencji w IRO, mjr. H. A. Griggs, przedstawiciela IRO na Palestynę i kraje Lewantu, oświadczył, że ewentualność ta nie jest wykluczona, zaznaczając, że z terenu Niemiec łatwiej będzie przeprowadzić akcję ostatecznego rozmieszczenia uchodźców w innych krajach, gdyż Niemcy są terenem, na który zjeżdżać będą komisje różnych państw kwalifikujące ludzi do imigracji. Palestyna i Liban są krajami, które mają najmniej szans, by którakolwiek z takich komisji tam dotarła.

Mimo to w świadomości ogółu uchodźców możliwość wyjazdu do Niemiec nie znajdowała zgoda miejsca. Wydawało się to tak dalekie od rzeczywistości, by garstka (w porównaniu z 600.000 wysiedleńców w Europie) Polaków, nie mogących powrócić do swego kraju, miała być włączona na teren nabrzmiały tragicznym problemem DP-sów.

A jednak właśnie ten wybór został dokonany przez IRO, po odmowie Egiptu na wpuszczenie uchodźców Żydów i po odmowie Włoch wpuszczenia uchodźców polskich w ogóle.

Wyznaczono termin ewakuacji uchodźców chrześcijan na 15 bm. Mieli być przewiezieni do Port Said, skąd 20 bm. mają odplynąć do Genui. Tam repatrianci zostaną odłączeni i skierowani drogą lądową do Polski, reszta zaś uda się do francuskiej strefy Niemiec. Żydzi mają opuścić Palestynę 26 lutego, drogą morską bezpośrednio z Haify.

W międzyczasie Rada Naczelna Uchodźstwa Polskiego w Palestynie poczyniła starania o przewiezienie chociażby części Polaków do Libanu. Udało się uzyskać od rządu libańskiego zapewnienie udzielenia około 200 wiz. Dzięki dalszym staraniom,

IRO wyraziła zgodę na wypłacanie zasiłków osobom, które przyjmie Liban. Sporządzone zostały listy kandydatów na wyjazd do Libanu i przedsięwzięte właściwe formalności paszportowe.

Kroki te zaczęły się dłużyć i komplikować. Bejrut czynił pewne trudności, kwestionując np. przyjazd osób samotnych, i nie śpieszył się z nadysłaniem wiz. IRO ze swej strony zaczęła wprowadzać poprawki i skreślenia na listach kandydatów. Ponieważ wykluczone było, by wyjazd do Libanu mógł nastąpić przed 15. lutego, IRO ogłosiła, że nikt nie może liczyć na ten wyjazd i jeśli nie pojedzie do Niemiec, ryzykuje utratę opieki IRO. Pozwolono zostać tylko tym osobom, które otrzymały od IRO urzędowe zawiadomienie, że na pewno pojedą do Libanu.

Wydane zostały szczegółowe instrukcje dotyczące podróży do Niemiec i Polski w formie listu, który uchodźcy obowiązani byli przyjmować za pokwitowaniem. Na miejscu, w Niemczech, IRO obiecywała rychłe zjawienie się komisji kwalifikujących do wyjazdu do krajów osiedlenia, takich jak Kanada, Australia etc. Osoby, które zostaną uznane za nie nadające się do przesiedlenia i rozmieszczenia, pozostaną w dalszym ciągu pod opieką IRO i każdy będzie miał sposobność, która obecnie istnieje w Europie, indywidualnego przesiedlenia. Poza tym — głosił dalej list IRO — prawdopodobnie już na pokładzie okrętu rozpocznie się działanie komisji brytyjskiej przy Ministerstwie Pracy, która zakwalifikuje odpowiednie osoby spośród uchodźców do natychmiastowego wyjazdu do W. Brytanii. Nikt nie będzie ani obecnie, ani w przyszłości repatriowany, poza tymi uchodźcami, którzy zwrócą się o to osobiście do IRO.

W liście tym znalazło się wreszcie takie zdanie: «Przed zaokrętowaniem się podpisze Pan oświadczenie stwierdzające, że Pan postanowił udać się do francuskiej strefy okupacyjnej w Niemczech». Klauzula ta spotkała się z energiczną krytyką ze strony uchodźców. Nikt — mówili oni — nie wybierał tego celu podróży, lecz jeśli pojedzie tam, to dlatego, że IRO postawiło go w sytuacji bez wyjścia. Wielu tych, którzy zdecydowali się jechać tym transportem, powiedziało, że podobnego oświadczenia nie podpisze.

Rozgoryczenie przybrało duże rozmiary. Szereg osób oświadczyło, że do Niemiec nie pojedzie i że IRO obowiązane jest opiekować się nimi nadal w Palestynie. Akcję protestacyjną podjął Zw. Kombatantów, rozsyłając depesze do najwyższych władz brytyjskich i polskich.

Na marginesie tej ewakuacji należy wspomnieć, że skład uchodźstwa polskiego w Palestynie obciążony był grupą zwolnionych już dawno z wojska kryminalistów, m. in. dawnych więźniów świątokrzyskich, wólczących się bezkarnie, wiecznie pijanych i często uprawiających swój proceder. Domyślano się, że pojedą oni tym transportem (co istotnie nastąpiło), gdyż dłu-

ga droga i nowy teren dawały im większe możliwości «działania». Ci, którzy oburzali się na ewakuację do Niemiec «za druty», nazywając to poniżeniem godności b. żołnierza i w ogóle Polaka, zwykli dodawać i ten argument, że wywozi się ich z pijakami i bandytami.

W dniu 15 lutego odjechało z dworca kolejowego w Jerozolimie przeszło 300 osób. Grupę kryminalistów spotkała niespodzianka, gdyż policja odseparowała ich i umieściła w oddzielnym wagonie. W drodze — z Jaffy, Tel-Awivu, Ramleh i Haify — dołączyło do transportu jeszcze około 150 osób. Grupa powracających do Polski liczyła w tym transporcie 60 osób.

W chwili obecnej, tj. po odjeździe wyżej wymienionego transportu i wyjazdu następnego dnia (16 bm.) do Anglii około 40 osób — z dotychczasowej liczby około 1.100 uchodźców polskich, będących na opiece IRO w Palestynie, pozostaje tu jeszcze około 600.

Jak już wspomnieliśmy na początku, 200 osób powinno pojechać do Libanu. Wśród pozostałych około 400 uchodźców, 350 stanowią Żydzi, dla których przewidziany jest transport z Haify na 26 lutego. Gdyby wszyscy uchodźcy Żydzi odjechali tym transportem, pozostałoby jeszcze około 50 osób, w tym około 30 chorych. Pewna liczba pozostałych będzie musiała walczyć o odzyskanie praw do opieki IRO, instytucja ta bowiem pozbawiła ich prawa do zasiłków z powodu nie skorzystania z ewakuacji do Niemiec.

Istnieją jednak widoki na jeszcze jedną możliwość wyjazdu pewnej liczby Polaków, zarówno spośród pozostałych w Palestynie (w tym i «libańczyków»), jak i tych, którzy odjechali transportem IRO do Egiptu i tam byłiby jeszcze odłączeni przed zaokrętowaniem w Port Said. Możliwością tą jest jeszcze jeden, dodatkowy transport do W. Brytanii spodziewany w końcu lutego.

Mianowicie, po wyczerpaniu «listy współczucia», na początku lutego przyszła wiadomość, że Anglicy godzą się przyjąć do swego kraju dodatkowo jeszcze 200 b. żołnierzy (w tej liczbie prawdopodobnie i «dependants») z Palestyny i Libanu. Polskie władze wojskowe zaczęły przyjmować nowe podania, które mają być rozpatrzone w szybkim tempie.

Wśród starających się o wyjazd do W. Brytanii są kategorie, których sytuacja przedstawia cechy specyficznych problemów. Jest mianowicie około 30 matek, które wyprawiły swoich synów, junaków, do Anglii, otrzymawszy zapewnienie, że będą mogły się z nimi połączyć. Do tego czasu jednakże nie udzielono im tego prawa. Kilka żon czeka bez skutku na pozwolenie wyjazdu do mężów, którzy są w PKPR. W takim samym położeniu znajduje się pewna liczba rodzeństw członków PKPR. Są małżeństwa nieślubne w ten sam sposób rozdzielone. Osoby wyżej wymienionych kategorii są w rozpacz i jedyną ich nadzieją jest jeszcze możliwość znalezienia się na liście 200-tu, której

ogłoszenie spodziewane jest w dniach najbliższych.

Najlichnieszka kategoria, która czuje się w pełni uprawniona do wyjazdu do W. Brytanii — to b. żołnierze, zwolnieni na kategorię «E» przed 15 czerwca 1945 r., tj. przed terminem wymaganym dla otrzymania prawa wjazdu do tego kraju w ramach normalnej ewakuacji wojskowej. Osób tych jest około 300.

Parę słów chcemy jeszcze poświęcić uchodźcom Żydom. Zapowiedziana dla nich przez IRO ewakuacja na 26 lutego może nie dopisać z uwagi na reakcję, jaką wywołała wśród pewnych radykalnych grup syjonistycznych. Pismo żydowskie «Yedioth Hadashot», wydawane w Jerozolimie, doniosło, jakoby przedstawiciel IRO (nie podano nazwiska; być może, chodzi tu o mjr. Griggs'a) otrzymał list z pogrózkami za to, że zmusza Żydów do wyjazdu z Palestyny.

W związku z ewakuacją uchodźstwa, zakończyły się audycje dla Polskich Sił Zbrojnych, nadawane przez brytyjską radiostację wojskową w Jerozolimie. Ostatnio kierownikiem tych audycji był p. Z. Miłoszewski.

W dniu 4 lutego b. r. o godz. 8 min. 55 rano wygłosił on ostatnią, 1732-gą z kolei audycję.

Organem informacyjnym uchodźstwa polskiego w Palestynie jest od 8 lat «Gazeta Polska», wychodząca w Jerozolimie.

Wobec zmniejszenia się liczby czytelników — wskutek wyjazdu wojska i dużej części uchodźców («Gazeta» docierała do Egiptu i Libanu) — od dnia 1-go grudnia ub. r. wychodzi ona w zmniejszonym formacie, odbijana na powielaczku.

## Kronika kulturalna

### Plastycy polscy w Paryżu

Życie i praca największego skupienia, poza granicami Polski, artystów Polaków w najważniejszej kuchni sztuki współczesnej, jaką ciągle jest Paryż, przedstawia dość interesującą pozycję w dorobku kulturalnym Polski lat ostatnich.

Grupa artystów-plastyków Polaków, znajdujących się w chwili obecnej, tj. w pierwszej połowie 1948 roku, w Paryżu, składa się z kilku warstw narosłych w związku z kolejnymi przemianami politycznymi ostatniego dziesięciolecia.

Najdawniej osiedli, posiadający w większości własne pracownie, dorobek przedwojenny i względnie — jak na stosunki paryskie — wyrobioną pozycję w świecie artystycznym, stanowią podstawę tej grupy.

Do nich przede wszystkim należą: Aberdam, K. Brandel, F. Black, St. Grabowski, W. Jahl, Mela Muter, Kretz, Piramowiczówna, Prochaska, Dobrzycki, Olin-Olesiewicz, Zawadowski, Milich, Kwiatkowski.

Warstwą młodszą, z kolei, są ci, którzy przybyli do Paryża tuż przed wojną i pracownie zatrzymali lub zdążyli je zająć zaraz po liberacji. Między innymi są tu: Bibentalówna, Cyjankiewicz, Ernest-Kosmowski, Król, Lille, Łopuszniak, Kernerówna, Pinkusiewicz i Zielenkiewicz.

Następną choronologiczną warstwą są ci, którzy przybyli do Paryża po ustaniu działań wojennych w Europie, poprzez obozy cywilne i wojskowe, oraz z wojska. Do ich liczby należą: Boniecki, Domaradzki, Grocholski, Lupa, Kundzia i Stefan Mroźewscy, Wojcieszynski.

Ostatnimi, najświeższej daty, paryżanami są stypendyści instytucji naukowych i artystycznych z Kraju, przybyli parę miesięcy temu: Kantor, Grabska, Janemianka, Siemion, Strzałęcki i studenci przybywający z terenu Niemiec, stypendyści Misji cywilnej i wojskowej: do nich należą między innymi: Ekert, Al. Kujawski, J. Kujawski, Sobociński, Szczepański, Ortyl. Jedni z

ostatnich przybyli stypendyści Instytutu Sztuk Pięknych w Edynburgu: Janikowski i Garbolewska.

Wymienione nazwiska nie wyczerpują listy artystów-plastyków Polaków w Paryżu. W Związku Plastyków, w początku 1948 roku, zgrupowanych jest około 70 członków. W przybliżeniu można przyjąć, że od zakończenia wojny — w 1945 roku — około 100 plastyków polskich przebywało ponad rok w Paryżu, a około  $\frac{3}{4}$  tej liczby było jego stałymi mieszkańcami.

Osobno wspomnieć należy o pobycie w tym czasie, w Paryżu, Józefa Czapskiego, niestety od wojny nie malującego.

Istniejący przed wojną Związek, grupujący polskich plastyków z terenu Paryża, z przyczyn zawitych i trudnych do odcyfrowania, nie został wznowiony. Nie ma on nic wspólnego ze Związkiem, którego legalizacja i istotny rozwój datuje się od początku 1948 roku, a który faktycznie założony został już w roku 1946. Przez pierwsze lata swego nieformalnego istnienia Związek działalność swoją ograniczał jedynie do pewnych akcji charytatywnych, spełniając pomocniczą rolę przekazywania darów Polonii Amerykańskiej i Polskiego Czerwonego Krzyża. Jednak mimo swej nieoficjalnej formy spełniał on rolę jedynej w Paryżu płaszczyzny styku artystów wszystkich odzieni wiary artystycznej i politycznej.

Jednym z punktów zastrzeżonych statutem jest zakaz rozmów na tematy polityczne i zakaz prowadzenia sporów religijnych. Dzięki temu był to jedyny teren spotkań podczas zebrań koleżeńskich, na którym można było widzieć przybyłych z Kraju kolegów, świeżych purpuratów, nominatów na katedry profesorskie Akademii, uczelni artystycznych, dawnych i nowopowstałych i przedstawicieli Związku Plastyków w Kraju.

Związek paryski jest w istocie organizacją niezależną od Związku Plastyków w Kraju. Zachowanie tej niezależności od władz krajowych oplaca Związek paryski en bloc brakiem zaproszeń do udziału w oficjalnych manifestacjach państwowych, organizowanych przez przedstawicielstwa dyplomatyczne, brakiem poparcia w formie stypendiów itp. Między innymi na przykład pominięto zupełnie Związek paryski w konkursie eliminacyjnym na Olimpiadę w roku 1948.

Za utrzymaniem jednak charakteru apolitycznego wypowiedziała się znakomita większość członków na jednym z zebrań, na wiosnę ubiegłego roku.

Tylko nieliczni z artystów Polaków znajdują możliwości zbytu swej produkcji, większość czerpie środki utrzymania z pracy zarobkowej, z niemałą krzywdą dla pracy artystycznej.

Z. GROCHOLSKI.

## „POD PRĄD”

*Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii*  
(wychodzi 3 razy w miesiącu)

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
**FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.**

DO NABYCIA:

**FRANCJA:** «*Libella*», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
*Librairie T. Pajor*, 47, rue de l'Université, Paris VII<sup>e</sup> (cena 15 fr.).

**W. BRYTANIA:** *Centralna Skł. Książek S.P.K.*, 57, Edbrooke Road, London W. 9 (cena 6 d.).

**BELGIA:** *Księgarnia Polska*, 42, rue Defacqz, Bruxelles (cena 7 fr.).

**WŁOCHY:** *J. Miecznikowski*, Via dei Villini 18, int. 4, Roma (cena 25 lir.).

## KLUB KSIĄŻKI POLSKIEJ

Co miesiąc Klub ofiarowuje swoim członkom cztery wysoce wartościowe i interesujące książki do dowolnego wyboru po cenie od 25% do 40% niższej od katalogowej. Książki te są sprzedawane w księgarniach po cenach normalnych. Poza tym członkowie korzystają z licznych nagród książkowych.

Korzystajcie z okazji i zapisujcie się do Klubu. Członkiem może być każdy i członkostwo jest bezpłatne. Wymagana jedynie jest opłata wstępna 4 s. 6 d. na koszty katalogów i korespondencji w ciągu roku.

Zgłoszenia na wstąpienie do Klubu (wraz z należnością za wybrane książki i porto) należy nadsyłać listownie lub na niżej podanym kuponie do:

**POLISH BOOK CLUB, o/o The Vistula Press Ltd.,**  
**86, Avenue Road, London, N. W. 8.**

# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja  
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,  
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

## ● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII 9 d.

## ● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/.

## ● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.  
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton  
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa „Orła Białego”,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

BERRY C<sup>o</sup>, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

## Współpraca Czytelnika

### W rozpowszechnianiu pisma:

Proszę:

o wysłanie numeru okazowego do niżej wymienionych osób  
(prosimy o załączenie 10 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

o przyznanie bezpłatnego dwumiesięcznego abonamentu osobom, które niewątpliwie będą kontynuowały prenumeratę (prosimy o załączenie 20 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

### W redagowaniu pisma:

Proszę, aby „KULTURA” poruszyła w najbliższych numerach następujące tematy:

Mam następujące zarzuty i uwagi pod adresem pisma:



**(Prosimy wypełnić i wysłać)**

Do:

THE VISTULA PRESS LTD.  
86, Avenue Road, London N. W. 8.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę sh. 16.

jednego roku — za cenę £ 1. 10. 0.

*(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)*

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania  
za miesiąc .....

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu  
powiadamiał, dołączając 1 sh. na koszty sporządzenia nowej  
matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres: .....

(drukowanymi literami)

**(Prosimy wypełnić i wysłać)**

Do:

LIBRAIRIE « LIBELLA »  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę 500 frs.

jednego roku — za cenę 800 frs.

*(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)*

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania  
za miesiąc .....

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu  
powiadamiał, dołączając 10 fr. na koszty administracyjne.

Imię, nazwisko, dokładny adres: .....

(drukowanymi literami)

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

## Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZECH 200 lir;  
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZECH 9 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr.szw.

## Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.  
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.  
we WŁOSZECH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir  
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.  
w NIEMCZECH: roczna 90 Mr.; ½-roczna 50 Mk.  
w SZWAJCARII: roczna 18 fr.szw.; ½-roczna 10 frs.

Cena ogłoszeń: cała strona 4.000 fr. fr.; ½ strony 2.500 fr. fr.

## Przedstawicielstwa:

We FRANCJI: Librairie « Libella », 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IVe)  
W W. BRYTANII: The Vistula Press Ltd., 86, Avenue Road, — London N.W.8  
We WŁOSZECH: Jan Miecznikowski, «Kiosk Polski», via Vittorio Veneto 62, Roma  
W PALESTYNIE: United Publishers Ltd., 8, Storrs Ave., — Jerusalem  
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.  
W NIEMCZECH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel  
Bienberg, U. S. Zone.  
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10

Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV.

Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się  
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca  
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma  
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

# INSTYTUT LITERACKI

Ukazały się i są w sprzedaży następujące nowe książki

## INSTYTUTU LITERACKIEGO:

- Arthur Koestler: **KRUCJATA BEZ KRZYŻA**  
*Przekład G. Herling-Grudzińskiego.*  
Cena we Francji . . . . 250 fr.  
Cena w Anglii . . . . 9/6 sh.
- Jan Bielatowicz: **PASSEGGIATA**  
*Wybór szkiców włoskich.*  
Cena we Francji . . . . 180 fr.  
Cena w Anglii . . . . 7/6 sh.
- Gustaw Grudziński: **W OCZACH PISARZY**  
*Wybór opowieści wojennych.*  
Cena we Francji . . . . 260 fr.  
Cena w Anglii . . . . 12/6 sh.
- Bolesław Miciński: **PORTRET KANTA  
I TRZY ESSAYE O WOJNIE**  
Cena we Francji . . . . 130 fr.  
Cena w Anglii . . . . 5/6 sh.

*Książki te są do nabycia we wszystkich punktach sprzedaży  
KULTURY. Redakcja KULTURY wysyła je również  
z a z a l i c z e n i e m p o c z t o w y m  
Żądajcie katalogów wydawnictw Instytutu Literackiego*

---

**W najbliższym czasie Instytut Literacki wydaje:**

- Arthur Koestler: **CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE**  
*w przekładzie Tymona Terleckiego.*
- Józef Czapski: **NA NIELUDZKIEJ ZIEMI**